



GABRIELA
GARGAŚ

*Lato utkane
z marzeń*



GABRIELA
GARGAŚ

*Lato utkane
z marzeń*



GABRIELA
GARGAŚ

*Lato utkane
z marzeń*



Lato z marzeń utkane

Podaruj sobie spokojne sny , *kubek dobrej kawy o poranku, kilka chwil*

szczęścia.

Rozgrzesz się z drobnych słabości. Zapomnij o tym, co boli. Nie szukaj dawnych uniesień, słów, które dzisiaj nie mają znaczenia. Daj się porwać ulubionym dźwiękom muzyki. Niech łzy zmyją cierpienie. Podaruj sobie chwile z ludźmi, których kochasz. I książkę. Książkę też sobie podaruj.

Przeczytaj historię, która sprawi, że zadrży Ci serce.

Zacznij kolejny dzień z przytupem.



Prolog

Wiesz, bo ja myślałam, że między Tobą i mną: wszystko. Bo musiało przecież być to coś.

Nie wierzę, że nie było nic. Nie mogłam sobie tego uroić, wyobrazić. Widziałam to w Twoich oczach, w uśmiechu. Cały wszechświat był w Twoim spojrzeniu. Ty uśmiechałeś się do mnie, patrzyłeś na mnie. No, wiesz jak. No, tak... Może nie z uwielbieniem, nie zalotnie. Nawet nie potrafię tego ubrać w słowa. Ale jakoś tak, że chciałam, byś patrzył na mnie nieustannie. Kobiety niekiedy za dużo sobie wyobrażają. Roztrzęsają w *głowie wypowiedziane słowa, wałkują je w kółko, uśmiechają się do swoich myśli. Żebyś wiedział, jakie ja mam myśli! Może lepiej, że nie siedzisz mi w głowie. Bo ja... Sama się rumienię, kiedy pomyślę, co mi po niej chodzi. Czasami mam wrażenie, że zrobiłam z siebie idiotkę, bo może sama chciałam bardziej, a ty mniej. Bo może faktycznie mi się wydawało. I widzisz, po co o tym myślę...?*

Michalina spojrzała na napisane wyrazy. Chciała porwać kartkę, jednak nie mogła pozwolić, by kolejne słowa nie zostały doręczone do adresata.

Tak rzadko mówimy o tym, co czujemy. Myśli, emocje, uczucia pozostawiamy w głowie, w sercu, nie wypuszczamy ich na światło dzienne. Dlaczego nie mówimy, że za kimsz szalejemy, kogoś kochamy, kogoś pragniemy? Bo zazwyczaj boimy się odrzucenia.

— To nie jest dobry moment! — powiedział kilka dni przed rozstaniem Artur.

— Zawsze! Zawsze jest dobry moment na to, by zostać, by uratować miłość. By być.

Zawsze! Jeśli tylko byś chciał... — Michalina wycelowała w niego palcem. — Jesteś draniem!

Nikt nam życia nie zwróci, nie cofnie, nie da możliwości, żeby zacząć jeszcze raz... Nikt nam tego nie odda; tego, co jest teraz między nami.

Potem wtuliła się w jego ramiona.

— Powinniśmy popracować nad naszym związkiem. — Wiedziała, że tonie, jednak chwyciła się swoich słów niczym tonący brzytwy.

— Może kiedyś... Przepraszam.

Delikatnie ją odsunął, odwrócił się i odszedł.

A ona podeszła do odtwarzacza CD i puściła płytę IRA. Zawsze kiedy była smutna, słuchała rzewnych piosenek.

Zatrzymaj mnie, nie daj mi odejść.

Zapomnę cię, nie będzie już nic.

Cienie we mgle, jak znajdę drogę?

*Jutro już nikt, a dziś jeszcze my.*¹

1 IRA, *Nie daj mi odejść.*

Rozdział 1

Michalina stała oparta o białą drewnianą balustradę na werandzie i przyglądała się ogrodowi, gdzie kwitły azalie i lwie paszcze. Odwróciła głowę w stronę domu. Po jednej ze ścian pięły się winorośle, a po drugiej róże, których dorodne pączki wyglądały tak, jakby miały pęknąć. Czas od wiosny do jesieni był czasem ukwieconym; tak go nazywała. Pod koniec marca pojawiały się przebiśniegi i sasanki, białe, drobniutkie niczym płatki śniegu. W maju konwalie i bez, w czerwcu ogród był już w pełnym rozkwicie. A w lipcu i sierpniu zbierać można było porzeczki, agrest, maliny, a z drzew spadały papierówki. Z tarasu widać było wzgórze i połoniny, a w dole wstęgę srebrzystego strumyka. W okolicy często pojawiały się jelenie i

sarny.

Miśka westchnęła i spojrzała na szyld, który zawisł kilka dni temu przy drzwiach wejściowych: „Różany pensjonat”. Nigdy nie przypuszczała, że będzie wynajmować pokoje gościom, lepić z masy solnej anioły i je sprzedawać. Interes się kręcił, a ona kochała to, co robiła.

Nauczyła się już, że w życiu nie należy za bardzo przywiązywać się do swoich planów, bo bardzo często los daje nam prztyczka. Kiedyś inaczej wyobrażała sobie swoje życie, ale... jest, jak jest, i Michalina w gruncie rzeczy była szczęśliwa.

Jej mama zmarła, gdy córka miała osiemnaście lat, więc Miśka musiała zająć się malutkim wówczas bratem Bartkiem. Ich tato, wolny strzelec, pojawiał się i znikał. Nie był to typ, na którego można było liczyć.

Spojrzała na kilka dorodnych krzaków róż. W tym roku nad wyraz obrodziły; krzewy ugiwały się od ciężaru kwiatów. Wzięła sekator i ucięła kilkanaście gałązek, które chciała wstawić do wazonów, by we wnętrzu pensjonatu roztoczyć ich słodki zapach.

Budzik dzwonił codziennie o godzinie piątej trzydzieści. Czasami korciło ją, żeby go rozwalić. Od kilku miesięcy brakowało jej snu. Nie miała prawa narzekać, bo rezerwacje w pensjonacie były zaplanowane z góry na kolejne tygodnie, ale czasami po prostu chciałyby odpocząć. Dni zlewały jej się w jedno.

Także w ten środowy poranek Michalina obudziła się niewyspana. Przez kilka chwil siedziała bez ruchu na łóżku, nim w końcu wstała. Założywszy szlafrok, poszła do łazienki.

Wzięła szybki prysznic, potem wypła mocną kawę i przygotowała śniadanie dla ośmiu osób.

Następnie jak zwykle poszła do „Cynamonowych Serc”, gdzie czekały na nią zapakowane w pudełko rogaliki. Ucałowała babcię w policzek.

Kiedy wróciła do domu, goście jedli już śniadanie. Wyłożyła na talerz

rogaliki i postawiła na środku stołu wraz z domową konfiturą. Prezentowały się niezwykle apetycznie, kusząc złocistą skórką i aromatem. Michalinie bardzo zależało, by przybysze z różnych zakątków Polski dobrze się u niej czuli, a nic nie poprawiało kwaśnego z rana humoru tak, jak wypieki babci Zosi.

Dalsza część dnia nie przyniosła żadnych niespodzianek. Po śniadaniu Miśka pozmywała i równo dwie godziny przed porą obiadową zrobiła zakupy. Ugotowała botwinę, a na drugie danie zaserwowała kotlety z piersi z surówką z młodej kapustki. Kiedy Bartek wrócił ze szkoły, zastał ją przy lepieniu aniołów. „Rutyna, rutyna i raz jeszcze rutyna” — pomyślała, sprząając po kolacji. Czekają ją jeszcze pranie pościeli i ręczników, bo ktoś przyjechał, a ktoś odjechał.

Wieczór wyglądałby może nieco inaczej, gdyby to była środa lub sobota. Wówczas urządzała dla gości ognisko, na które przygotowywała kiełbaski i żebraka w sosie barbecue, a od pracy odrywały ją tylko telefony od przyszłych gości.

I tak — w podobnym rytmie — mijał dzień za dniem. Ktoś, widząc, jak wygląda jej życie, mógłby złapać się za głowę. Ale Michalina była szczęśliwa, bo otaczali ją wspinali ludzie.

Często myślała o tym, że społeczność Złotkowa tworzy jedną wielką rodzinę. Wszyscy w jakiś sposób dbali o siebie nawzajem. Ludzie z miasteczka najczęściej robili zakupy w lokalnym sklepie. W obecnych czasach, kiedy supermarkety wchodziły do małych miasteczek i powodowały, że lokalne biznesy nie miały racji bytu, w Złotkowie rodzimy handel kwitł. Jeszcze rok temu Michalinie i jej babci wydawało się, że będą musiały zamknąć „Cynamonowe Serca”, ponieważ w miasteczku otworzono dwie sieciówki, gdzie kawa i ciastka były tańsze, choć nie tak dobre, jak w Zosinej kawiarence. A jednak kiedy mieszkańcy Złotkowa dowiedzieli się, że sieciówki zabierają pani Zofii klientów, zaczęli tłumnie przychodzić do „Cynamonowych Serc” i nie w głowie im była kawa z Costy czy ze Starbucksa. Poza tym ciasta i ciasteczka babci Zosi były pierwszorzędne, wypiekane codziennie z najświeższych produktów: gęstej śmietany, jajek prosto od kury i krowiego mleka — pełnotłustego, a nie jakiegoś rozrzedzonego wodą.

Babcia Zosieńka była wysoka i szczupła, ale emanowała z niej jakaś

determinacja. Twarz miała pociągłą, z pajęczyną drobnych zmarszczek, usta lekko zapadnięte, lecz rozszerzone w uśmiechu. Była silną kobietą, która po pięćdziesiątce odważyła się założyć własny biznes. Pod wpływem impulsu — i trochę z potrzeby — wraz z córką, matką Michaliny, otworzyła kawiarenkę „Cynamonowe Serca”.

No, to nie było do końca tak. Zaczęły od pieczenia ciast na różne okoliczności, ale wypieki były tak smaczne, a lista zamówień tak długa, że kiedy tylko nadarzyła się okazja, wynajęły lokal i rozwinęły skrzydła.

Tymczasem Złotkowo, w którym mieszkały — mała miejscina położona w samym sercu Bieszczad, o której jeszcze kilka lat temu nie słyszał żaden turysta — zaczęło przyciągać gości z całej Polski. Każdy, kto cenił ciszę i spokój, chętnie tutaj przyjeżdżał. A kto uwielbiał pyszne wypieki i nie bał się przytyć, nie mniej chętnie zaglądał do kawiarni prowadzonej przez sympatyczną starszą panią.

— Wiesz — powiedziała Miśce któregoś dnia — najbardziej przerażające, najtrudniejsze, najsmutniejsze i najważniejsze historie, jakie można znaleźć w kawiarni, kryją się w klientach.

Kryją się w ludziach.

Miśka miała się dopiero przekonać, ile w tym prawdy.

Goście wyjechali, następni mieli przyjechać w poniedziałek. Michalina powinna zrobić jeszcze tyle rzeczy... ale prawdę mówiąc, wcale jej się nie chciało. Postanowiła chwilę odpocząć.

W końcu była tylko młodą kobietą i choć kochała swoje życie, miała też własne potrzeby.

Na szczęście nie była samotna. Obecnie spotykała się z Arturem, choć coraz częściej wątpiła w ten ich związek. Mężczyzna mieszkał we Wrocławiu i zjawiał się u niej raz w miesiącu. Miał zobowiązania: dzieci z pierwszego małżeństwa i pracę. Poza tym coraz częściej wydawało się Miśce, że rozmijają się niemal we wszystkim: w postrzeganiu świata, w poglądach na życie, a nawet w tym, co myślą o miłości.

Otworzyła szeroko okna, usiadła na kanapie i wybrała jego numer.

— Cześć — rzuciła do słuchawki, kiedy odebrał. Opadła na poduszki, przytrzymując brodą telefon.

— Cześć.

— Tęsknię za tobą! — powiedziała po prostu. — Już się nie mogę doczekać, kiedy znów cię zobaczę.

— No wiem.

Krótką odpowiedź. Pewnie nie mógł rozmawiać.

— Nie możesz mówić?

— Jestem w biurze.

— Rozumiem. Ale minęła osiemnasta. — Była już lekko poirytowana.

— Tak, ale mam ważny projekt do skończenia. — Teraz i on się zirytował.

— To nie będę ci przeszkadzać.

— A coś się stało?

„Wszystko, wszystko się stało!” — chciała wykrzyknąć Miśka.

— Po prostu tęsknię za tobą. Czuję się samotna. Nie mam się do kogo w

nocy przytulić.

No i po co to z siebie wyrzuciła? Wiedziała, że żaden mężczyzna nie lubi takich gadek.

— No cóż — westchnął. — Wkrótce się zobaczymy — powiedział obojętnie, albo tak się Miśce zdawało. — Muszę kończyć. Odezwę się.

— Zaczekaj...

— Tak?

— Kocham cię.

— Mhm. Pa.

Rozłączył się. A w Miśce aż się coś w środku zagotowało. Ostatkiem woli zmusiła się, żeby nie cisnąć telefonu o ścianę. „Faceci” — pomyślała.

I pewnie Artur zadzwoni jutro albo pojutrze i dla niego wszystko będzie w porządku! Jak to jest, że kobiety roztrząsają każde słowo, każde westchnienie, rozbierają na czynniki pierwsze każde zdanie, dostrzegają problemy tam, gdzie mężczyźni ich nie widzą... a u facetów w tym samym czasie wszystko gra?

— Myślałeś o naszej przyszłości? — zapytała Artura podczas jednego ze spotkań.

Przez chwilę milczał. Oparł się na łokciu i odwrócił w stronę Miśki. Odgarnął opadający lok z jej oka.

— Czasem myślę.

— I? — Patrzyła na niego swoimi brązowymi oczami.

— I... — Westchnął. Często wzdychał, gdy zadawała mu trudne pytania.
— Wydaje mi się, że jesteśmy w innym punkcie życia.

— To na pewno.

— Ja już byłem żonaty, jestem rozwiedziony, mam dwójkę dzieci.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie chcesz mieć kolejnego dziecka? —
Michalina poczuła, jak ogarnia ją złość.

— Nie wiem.

— Ale ja chcę być mamą!

— Domyślam się. Może przyjdzie mi z czasem.

— A... a co z nami? — Miśka przełknęła narastający żal i usiadła po turecku naprzeciwko niego. Przynajmniej rozmawiali. — Ty tam, ja tu.

— Mam dzieci...

— Wiem.

— Nie rozmawiajmy o tym teraz.

Unikali rozmów o wspólnej przyszłości i Miśkę zaczęło to uwierać. Bo ona miała przed sobą tyle chwil, które już dawno były za Arturem...



Rozdział 2

Pół roku wcześniej

Jadwiga zapukała do drzwi londyńskiej szeregówki. Ze zdenerwowania myślała, że zwymiotuje. Czekwała chwilkę, potem usłyszała wesołe piski i drzwi się otworzyły. Stała w nich śliczna dziewczynka. Jej kasztanowe, pofalowane włosy sięgały ramion. Oczy miała niebieskie jak szafiry, twarz w kształcie serca i uśmiech od ucha do ucha.

— *Hi!* — odezwała się do gościa.

— Ja... Ja nie mówię po angielsku — wydukała Jadwiga. Przytrzymała się framugi drzwi, bo myślała, że upadnie.

— O, jest pani Polką? — zapytała płynną polszczyzną dziewczynka.

— Tak.

— Ja też. Pół Polką, pół Angielką. — Mała dziewczynka patrzyła na nieznaną szeroko otwartymi oczami.

Za jej plecami pojawiła się kobieta o porcelanowej cerze i jasnych, długich włosach.

Amelia. Stała jak wryta. Po twarzy Jadwigi potoczyły się łzy, jakby ktoś odkręcił jakiś zawór.

Leciały strumieniami.

— Mama? — zapytała tamta, chociaż nie musiała. Od razu ją poznała. Jej serce ją poznało.

— Ja... — wydukała Jadwiga.

Kobiety siedziały na kanapie. Taksowały się wzrokiem.

— Zmieniłaś się — powiedziała Jadwiga, by przerwać krępującą ciszę.

— Mam trzydzieści sześć lat.

— Hmm... — Pani Kowalik ścisnęła kubek tak mocno, że miała wrażenie, że pęknie. — Nie widziałyśmy się tyle lat.

— Niemal pół mojego życia.

— Pół twojego życia.

Zaczęły opowiadać sobie o dawnych czasach, o tym, co czuły, a czego nie czuły. O

emocjach, popełnionych błędach...

— Nic o mnie nie wiedziałaś, nie widziałaś, że cierpię! — Amelia wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, raniąc przy tym matkę.

Jadwiga spojrzała na nią uważnie.

— Gdy patrzyłam na pusty talerz na wigilijnym stole, zawsze myślałam, że może właśnie teraz, już za chwilę, zdarzy się cud. Nagle rozlegną się kroki na schodach, stukanie do drzwi i usłyszę: „Mamo, to ja, Amelia! Wróciłam!”. Ale cud nigdy się nie zdarzył. Od kilkunastu lat nakrycie dla mojej córki pozostaje puste. A ja czekam na nią. I zawsze będę...

Rok 1998

Nawet przed świętami pracowali w hurtowni po kilkanaście godzin na dobę, w końcu to gorący czas.

Trzy lata wcześniej Jadwiga zrezygnowała z posady nauczycielki, aby pomóc mężowi, i od tej pory materialnie nie brakowało im niczego. Pieniądzy mieli pod dostatkiem, interes kwitł, a każdy kwartał zapowiadał się tylko lepiej.

Niestety, życie rodzinne kulało, bo Kowalikowie spędzali w pracy każdą wolną chwilę.

To cud, że w Wigilię zdecydowali się zostać w domu.

W przeddzień Jadwiga obudziła się z myślą, że o czymś zapomniała. I bynajmniej nie była to lista zakupów, bo sporządzenie tej miała zaplanowane na dziś. To było coś ważnego, świątecznego. Co to mogło być?

— Choinka — podpowiedziała jej Amelia.

— No tak. Zapomniałam o choince.

— Może wybierzemy się razem na targ? — zaproponowała córka z nadzieją w oczach.

Jadwiga zmarszczyła brwi.

— Kupię sztuczną. Starczy na lata.

— Ale ona nie będzie pachnieć.

— Amelia, co to za różnica...

— No, jest różnica. — Dziewczyna zacisnęła usta, które przypominały teraz wąską kreskę. — Jest.

W tamtą Wigilię zalegli z mężem na kanapie przed telewizorem, a przed oczami przeskakiwały im świąteczne reklamy proszku do prania, samochodów i pożyczek na prezenty.

Kolędy tylko gdzieś pobrzmiwały w tle. W domu Kowalików zupełnie nie czuło się świątecznej magii, nie pachniało Bożym Narodzeniem — Jadwiga nie miała czasu na gotowanie barszczu, lepienie uszek czy szatkowanie warzyw do ryby po grecku. W samo południe przyjechał catering.

— I co? Myślisz, że starczy? — zwróciła się Jadwiga do męża.

— Ja w ogóle nie mam ochoty świętować.

— Ja też. Ale wiesz, Amelia.

— Ona ma już siedemnaście lat... Zrozumie, że świat nie kręci się wokół ustrojonej choinki, prezentów i kolęd.

— No, ale...

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu.

— Halo? — rzuciła Jadwiga do słuchawki. — Halo? — powtórzyła.

— Pani córka jest bezpieczna, nie szukajcie jej... — powiedział męski głos.

— Jak to bezpieczna? Gdzie ona teraz jest? — Jadwiga spanikowała.

Serce zaczęło bić jej jak oszalałe.

— Nie szukajcie jej — syknął tamten ktoś.

Pod kobietą ugięły się nogi. W ustach momentalnie jej zaschło. Bezpieczna? Jak to?

— Gdzie ona jest? — wypowiedziała na jednym wydechu.

Bip, bip... Mężczyzna po drugiej stronie się rozłączył.

Jadwiga weszła do pokoju blada jak ściana. Przytrzymała się futryny, bo miała wrażenie, że zaraz upadnie.

— Co się stało? — zapytał ją Maciek, podnosząc się z kanapy.

— A... Amelia... Ona... — Jadwiga się rozpląkała.

Maciek podszedł do żony i chwycił ją za ramiona.

— Co z Amelią? — W jego głosie Jadwiga wyczuła przerażenie.

— Dzwonił jakiś chłopak... Że... Że Amelia ma się dobrze i żebyśmy jej nie szukali.

— Ale jak to?! Dlaczego? O czym ty, do cholery, mówisz?!

Jadwiga sama nie rozumiała swoich słów. Pamiętała natomiast, że spojrzała w okno. Na dworze padał deszcz ze śniegiem. I wtedy pomyślała o choince. O tej pieprzonej żywej choince, przy której tak upierała się jej córka.

Zgłosiła zaginięcie Amelii. Funkcjonariusz poprosił, by przyniosła zdjęcie córki i listę jej znajomych. Jadwiga nie miała pojęcia o żadnych znajomych. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Amelia nikogo nie przyprowadzała do domu. Nie, kiedy oni w nim byli.

— Miejsca, w których córka bywa? — zapytał policjant, marszcząc brwi.

— Gdzie bywa? — powtórzyła, jakby chciała zyskać na czasie.

— Tak... — Funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie przeszywał ją spojrzeniem. Jakby ją oceniał. „Jesteś złą matką”.

— No... Biblioteka, dom... Nie wiem...

Nic nie wiedziała ani o jej znajomych, ani o miejscach, które lubiła odwiedzać. Jaką zatem była matką?

Policja przyjęła zgłoszenie i to by było wszystko, co dla niej zrobili. A Jadwiga szalała z rozpaczy. Zgłosiła się do Itaki, biura osób zaginionych.

— Policja nam nie pomaga — powiedziała kobiecie, która pracowała w fundacji zajmującej się poszukiwaniami. Korpulentna, o białych włosach i dobrotliwym wyrazie twarzy, siedziała za biurkiem i uśmiechała się przyjaźnie do petentki.

„I czemu ona się tak szczerzy?” — pomyślała ze złością Jadwiga.

— Szukali kilka dni, a teraz funkcjonariusz nam powiedział, że córka widnieje w bazie jako zaginiona. — Kręciła się na twardym krześle.

— Proszę się uspokoić — poprosiła tamta kobieta.

— Jak mam się uspokoić? Moją córkę porwano! — Jadwiga podniosła

głos.

— Co powiedziała policja na temat domniemanego porwania? — Pracownica fundacji podkreśliła słowo „domniemanego”, a Jadwiga poczuła, jak narasta w niej irytacja.

— „Żeby stwierdzić porwanie, muszą być twarde dowody. W tym przypadku takowych nie ma”. Mnie się wydaje, że oni po prostu mają mnie gdzieś. Mnie i moją córkę! — Aż poczerwieniała na twarzy.

— W Polsce z domów uciekają tysiące nastolatków. Taka jest smutna prawda.

— Amelia nie uciekła! — Jadwiga traciła panowanie nad sobą.

— Jest pani tego pewna?

Oczywiście, że nie była pewna.

— Dzwonił do państwa jakiś młody mężczyzna, który zapewnił, że z córką jest wszystko w porządku. Gdyby ją porwał, żądałby okupu.

Po cholere Jadwiga wspominała o tym telefonie? Teraz się go uczepią.

— Ten chłopak mógł powiedzieć cokolwiek.

— Mógł, ale gdyby ją porwał, żądałby okupu.

— Ta sprawa śmierdzi.

— Ucieczki zazwyczaj są śmierdzące.

Jadwiga poczuła, że złość ustępuje, zamiast tego dopadał ją przeraźliwy smutek.

— Czy ktoś od państwa mógłby przyjść i zobaczyć jej pokój? Może znajdziecie jakieś ślady, które my przeoczyliśmy.

— Wie pani, my nie przychodzimy do domów...

— Do jasnej cholery! — Jadwiga uderzyła otwartą dłońią w blat stołu.
— To co robicie?

Ani wy, ani policja... Nikt nie chce nam pomóc.

Kobieta nie zareagowała na wybuch pani Kowalikowej. Być może była już przyzwyczajona do widoku zrozpaczonych rodziców.

— Pracuję w fundacji przeszło piętnaście lat i z doświadczenia wiem, że problemy wychowawcze nie biorą się ot tak, z niczego. — Pracownica przewróciła oczami.

— My nie mieliśmy z Amelią żadnych problemów. — Jadwiga wciąż mówiła podniesionym głosem. — Nie jesteśmy żadną patologią.

Pracownica omiotła ją wzrokiem. Poprawiła okulary i westchnęła.

— Proszę pani, ucieczki to nie domena rodzin dysfunkcyjnych. Zazwyczaj uciekają dzieciaki z tak zwanych dobrych domów. A wie pani dlaczego?

Jadwiga wzruszyła ramionami. Czuła, że to nie jest porwanie, jednak wolała się oszukiwać.

— Bo rodzice nie rozmawiają z dziećmi, nie mają dla nich czasu, a taki nastolatek czuje się samotny. Dorośli nie rozumieją, że więzi z dzieckiem buduje się latami, trzeba nauczyć się z nim rozmawiać, rozwiązywać wspólnie konflikty, poznać jego środowisko. Po prostu wejść w jego świat. A na to trzeba czasu. Według prawa córka nie jest już osobą nieletnią, skoro ukończyła siedemnaście lat, więc ma prawo decydować, gdzie i z kim chce mieszkać i gdzie przebywać.

— Ma tylko siedemnaście lat!

— Wiem. Postaramy się pani pomóc...

Kobieta zaczęła zadawać pytania Jadwidze i Maćkowi, który dołączył do żony. Jednak ani matka, ani ojciec zaginionej nie mieli za dużo do powiedzenia o córce. Nie znali jej kolegów ani jakichkolwiek telefonów kontaktowych. Nic nie wiedzieli o przyzwyczajeniach, dążeniach, lękach swojej pociechy.

— Wie pani... Amelia była cudownym dzieckiem. Wrażliwym, spokojnym. W

przeciwieństwie do swoich rówieśników z liceum stroniła od hucznych imprez. Po szkole od razu wracała do domu albo siedziała z nosem w książkach. Kiedyś dużo ze sobą rozmawiałyśmy. — Jadwiga na wspomnienie dawnych rozmów z córką poczuła skurcz w żołądku. — Tak, to było kiedyś... A potem, wie pani, rozwój firmy. Kiedy ma się własny biznes, to trzeba harować od świtu do nocy. — Gardło jej się ścisnęło. Tłumaczyła się nie przed tą kobietą, a przed samą sobą.

Pani Kowalik dokładnie pamiętała, jak weszła do pokoju córki kilkanaście dni po jej zniknięciu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Amelia prawie w ogóle w nim nie mieszkała.

Pokój nastolatki wygląda inaczej: plakaty na ścianach, porozrzucane ubrania, książki na podłodze. Niedopita herbata. Tymczasem w sypialni córki panował nienaganny porządek.

Żadnych oznak zamieszkania. Jak często uciekała, zanim w końcu zostawiła ich na dobre? Co takiego zrobili ona i Maciej, że Amelia od nich

odeszła? Czym sobie na to zasłużyli?

Dziewczyna miała wszystko.

Wciąż pamiętała te nagłówki w prasie, które krzyczały: „Normalna rodzina”, „Szczęśliwa rodzina” — a jednak coś musiało być nie tak, skoro Amelia zaginęła.

Maciej wynajął biuro detektywistyczne, które miało pomóc Kowalikom odnaleźć córkę.

— Wynająłem detektywa — powiedział któregoś dnia, przeżuwając kawałek kotleta. — To napięcie doprowadza mnie do szału.

Jadwiga wypła duszkiem szklankę wody. Zaszło jej w ustach z wrażenia.

— Co powiedział?

— Dałem mu wszystkie możliwe informacje. Twierdzi, że się odezwie, gdy tylko coś będzie wiedział.

— I?

— Przyjdą tutaj jutro i zadadzą nam kilka pytań.

— Ona nie uciekła! — Jadwiga spojrzała na męża. — To nie jest w jej stylu.

Maciej nie chciał dokopać żonie, ale najchętniej zapytałby: „A co jest w jej stylu?”. Już sam nie wiedział, czy znał swoją córkę. Kiedy się rozminęli? Kiedyś tworzyli taki zgrany *team*!

A teraz? Zaszła w ciążę...

Zrobiło mu się niedobrze. Wstał od stołu i poszedł do łazienki.

Kiedy dwoje detektywów pojawiło się w domu państwa Kowalików, Jadwiga była całkiem załamana. Panowie weszli do pokoju jej córki, by znaleźć jakiś ślad, który dałby im podpowiedź, dlaczego Amelia zniknęła z domu.

— Czy rozważali państwo ucieczkę? — zapytał starszy detektyw, który wyjął notes.

— Nie — powiedziała z przekonaniem Jadwiga.

— Nie wykluczam jej — odpowiedział Maciek.

— Była tutaj szczęśliwa. Niczego jej nie brakowało...

Ojciec uciekiniarki wyjął z kieszeni notes. Jadwiga nie spuszczała z niego wzroku. Nic nie rozumiała. Co to za notatnik w fioletowej oprawie?

— Nie mówiłem ci nic... — zaczął Maciek i wstrzymał oddech. — Nie chciałem, żebyś to czytała.

— Co to?

— Jej notes.

— Gdzie to znalazłeś?

— Na strychu.

Jego żona pokręciła głową.

— Amelia nie wchodziła na strych, odkąd skończyła dwanaście lat. Choć kiedyś często się tam bawiła.

— Chyba jednak wchodziła — skontrował. Jego twarz poszarzała.

Co tam było napisane? Jadwiga wyrwała mężowi notes i zaczęła przerzucać kartki. Słowa nie pozostawiały żadnych wątpliwości: Amelia nienawidziła swoich rodziców.

Jadwiga nie mogła w to uwierzyć. W jednej chwili zrobiło jej się niedobrze.

— Mogę zobaczyć? — Starszy, wąsaty detektyw wyciągnął dłoń po zeszytik. Kobieta podała mu go drżącą ręką.

— Ona by nie uciekła — powiedziała głucho. Wciąż była w szoku. — To nastolatka.

Nastolatki czasami mają dość swoich rodziców.

Detektyw w skupieniu przewracał kartki. Co on o nich myślał? — zastanawiała się Jadwiga. A zresztą nie powinno jej to obchodzić.

— Nie przychodzi państwu do głowy nikt, z kim mogłaby uciec?

Matka Amelii opuściła ręce na blat stołu i zaczęła się wpatrywać w swoje bransoletki.

— Ona nie uciekła. Została porwana — powiedziała z przekonaniem.

— Jakie stosunki panowały u państwa w domu? — zapytał młodszy detektyw, który do tej pory się nie odzywał. Ubrany był w obcisłe rurki i

równie obcisły czarny T-shirt. Jego twarz była porowata, miał też kocią brodę.

— Co pan insynuuje? — Maciej dotknął ramienia żony.

— Ja tylko zadaję pytania.

Dwa dni później Maciej rzucił mimochodem:

— Dzwonił ten detektyw.

Jadwiga wyprostowała się jak struna.

— Powiedział tylko tyle, że z tego, co widzi, to Amelia uciekła z chłopakiem.

— To nie może być prawda! — Jadwiga ukryła twarz w dłoniach.

Maciek odłożył sztucce na talerz. Nie miał ochoty na jedzenie.

— A jednak. Zbadał grunt, popytał tu i ówdzie i... Tak jak przypuszczała policja, ona uciekła.

— Ona by nam tego nie zrobiła!

Dziś

— Nie jestem dumna z tego, co wam zrobiłam, ani z tego, że uciekłam, ani z tego, że próbowałam za wszelką cenę spaść na dno — zwróciła się Amelia do matki. — Ale to było moje wołanie o pomoc. Na początku cieszyłam się, że sprawiłam wam ból.

— Hmm... — Jadwiga westchnęła. — Myślałam...

— Mamo, ty o mnie wtedy nie myślałaś. Żadne z was o mnie nie myślało.

— Wyrosłaś na ludzi. — Jadwiga uśmiechnęła się niemrawo.

— Czyżby? — Córka podniosła się z sofy i do filiżanek dołała kawy. — Nie potrafię stworzyć związku z żadnym mężczyzną. Jestem nadopiekuńcza w stosunku do córek. Boję się o nie każdego dnia. A co, jeśli one wywinęłyby mi taki numer? To byłaby kara za grzechy.

Czasami tak drastyczny krok jest ostatecznością, gdy sytuacja w domu staje się nie do wytrzymania. Ucieczka jest pierwszym poważnym sygnałem, że dzieje się coś złego. Żyliśmy we trójkę, razem. Ktoś z boku powiedziałby: idealna rodzina. Zamożna. Lecz tak naprawdę żadne z nas nie wiedziało za wiele o reszcie.

— Tak, masz rację. Nie wiedzieliśmy o sobie nic.

— A tata? Co u niego? — Amelia poczuła ucisk w sercu.

— Rozwiedliśmy się.

— Ooo! — Kobieta przyłożyła rękę do ust. — To przeze mnie?

— Nie! Skądże. — Jadwiga pokręciła głową.

Siedziały przez chwilę w milczeniu. Żadna nie miała siły ciągnąć teraz tematu Macieja.

Jeszcze przyjdzie na to czas.

— Mamo... — zaczęła niepewnie młodsza z kobiet. — Czego ty ode

mnie oczekujesz?

— Chcę znów mieć córkę.

— Dziewczynki cię nie znają.

— Wiem, ale możemy to nadrobić. — Jadwiga chwyciła się wszystkiego. Nie mogła tego zaprzepaścić. Chciała uczestniczyć w życiu córki i wnuczek.

— Nic nie da się nadrobić. Stracony czas na zawsze pozostanie straconym czasem. — Amelia kręciła głową tak mocno, że splątane blond włosy wyglądały jak pszeniczne kłosa w czasie burzy.

— Nie da się, ale wszystko przed nami. Przyjedź do Złotkowa. To piękna miejscowość w Bieszczadach. Tam... Odpoczniesz.

— Teraz nie mogę. Pracuję.

— Latem. Latem przyjedźcie.

— Nie obiecuję.

— Będę czekać...

Rozdział 3

Michalina siedziała w ogródku na ławce i lepiała anioły, które miała dostarczyć do sklepu.

Bartek wrócił ze szkoły ze skwaszoną miną.

— Co jest? — zapytała go, wytarłszy ręce w fartuch.

— Nic — burknął, sięgnął po patyk i zaczął grzebać nim w ziemi.

— Może upieczemy razem jakieś ciasto?

— Daj mi spokój z ciastami!

Ukucnęła obok Bartka i spróbowała mu zajrzeć w oczy, ale uparcie odwracał głowę.

— O co chodzi?

Bartek zastanawiał się, co odpowiedzieć. Odezwał się po kilku chwilach, z ociąganiem.

— O to, że tatuś nie odzywa się do nas już sześć tygodni.

Miśka westchnęła. Poczowała przyływ złości. Po śmierci mamy to ona opiekowała się młodszym bratem. Ich ojciec, wolny ptak, jeździł sobie po świecie. Pojawił się na święta, rozbudził w chłopcu nadzieję. Naobiecywał, że zostanie z rodziną, po czym po Nowym Roku zebrał manatki i znów dokądś poleciał. „Pieprzony Piotruś Pan — pomyślała Michalina. — Po cholere tu przyjeżdżał?! Namącił w sercu Bartkowi i prysnął. Oczywiście zapewnił, że gdy ureguluje swoje sprawy, to wróci, ale...”.

Przyjechał do nich ponownie sześć tygodni temu, na koniec kwietnia. Bartek nie opuszczał ojca nawet na chwilę. Chodzili razem na spacerki nad strumyk, a jego małe serce rosło, kiedy tak kroczył z tatą po Złotkowie. W końcu miał tatę, który łowił z nim ryby, grał w piłkę, kupował mu lody i opowiadał o najnowszych modelach samochodów. Bartek najchętniej krzyczałby do wszystkich swoich kumpli: „Widzicie? Mam tatę!”.

Siadali razem na dużym kamieniu i wtedy Neo często się zamyślał. Michalina miała rację, nie był dobrym ojcem. Dobrzy ojcowie nie opuszczają swoich dzieci, spędzają z nimi dużo czasu.

A on był wędrowcem, włóczęgą. Chciałby tutaj zostać, ale tam, tysiące kilometrów stąd, też miał

swoje życie. Neo wiedział, że i tam nie będzie mógł zostać, bo w jego duszy pojawi się znajomy niepokój i to dziwne podekscytowanie, które pchną go w ramiona przygody. Kochał jeździć po świecie. Zawsze znajdował gdzieś jakąś pracę. A kiedy zarobił wystarczającą ilość pieniędzy, ruszał dalej.

Tamtego dnia Neo otoczył Bartka ramionami, oparł nieogolony policzek o kędzierzawe włosy syna. Było naprawdę dobrze. I nagle...

— Wyjeżdżam — oświadczył.

Michalina była tak zła na ojca, że najchętniej posłałaby go do stu diabłów.

— Dlaczego? — Chłopiec zaczął płakać.

— Mam sporo spraw do załatwienia. Dorośli zazwyczaj mają dużo na głowie. — Neo nie wiedział, jak w delikatny sposób wyjaśnić Bartkowi powody, dla których musi go opuścić. Nie chciał go ranić kolejny raz, a przecież ranił go nieustannie.

Wreszcie syn pokiwał głową.

— Kiedy wrócisz?

— Za jakiś czas. — Neo kciukiem otarł spływającą po policzku chłopca łzę.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżał!

Bartek rzucił się w jego ramiona. Michalina odwróciła głowę, bo nie chciała na to patrzeć.

— Pisz do mnie. Dzwon.

— A odbierzesz?

Neo skinął głową.

I odjechał, znów pozostawiając w sercach Miśki i Bartka poczucie pustki i straty.

— Zniknął na dłużej — zwróciła się teraz do brata. — Myślę, że tym razem wróci, ale nie wiem kiedy.

— Może do niego zadzwonimy? — zapytał nieśmiało chłopiec.

Siostra westchnęła. Wiedziała, że tato nie odbierze od niej telefonu. Próbowwała się do niego dodzwonić wczoraj i przedwczoraj, ale połączenie zostało albo odrzucone, albo nieodebrane.

— Tak, spróbuję do niego zadzwonić. Może wieczorem? Albo jutro.

— Ale zadzwonisz?

— Zadzwonię. Obiecuję.

Po siedemnastej Michalina poszła do „Cynamonowych Serc”.

— O, zostały ci jeszcze jakieś smakołyki? — Spojrzała na patery z ciastem. Od jakiegoś czasu kawiarnia przeżywała oblężenie. Babcia wciąż

wszystko piekła sama, mimo że z wiekiem sił jej nie przybywało. Ostatnio zatrudniła do pomocy młodą dziewczynę, Kasię, która przychodziła trzy razy w tygodniu. Jednak Miśka i tak uważała, że to za mało. Babcia była zmęczona. Nieraz dziewczyna sugerowała jej sprzedaż kawiarni, ale poczciwa staruszka okropnie się wtedy oburzała. „Po moim trupie” — mówiła.

— Napiekłam rurek. — Zofia skinęła głową na talerze z łakociami. — Chcę, by były gotowe na jutro rano.

— Może pomogę ci je nadziać? — zaproponowała Michalina.

— A nie musisz wracać do gości?

Dziewczyna spojrzała na zegarek.

— Do kolacji już mam wszystko przygotowane. Mogę zostać u ciebie z godzinę.

— Zatem nadziejaj.

Miśka wkładała krem do rurek i układała je na paterze. Proste zajęcie pozwoliło jej wreszcie oderwać się od codzienności i pobujać w obłokach. Babcia wyciągnęła z piekarnika słodkie bułeczki o delikatnym korzennocynamonowym zapachu, który rozlał się po cukierni.

— Chcesz jedną? — zaproponowała wnuczce. — Druga partia jest ze skórką pomarańczową i z rodzynkami.

— A mogę dwie?

Babcia się zaśmiała.

— Dostaniesz dwie, jeśli mi obiecasz, że przebiegniesz się dookoła parku i strumyka.

— Dlaczego? — Michalina śmiesznie zmarszczyła nos. Wyglądała jak królik.

— Żeby ci nie poszło w boczki. Muszę cię jeszcze za mąż wydać.

Dobrze im było w tej chwili, zacisznie, rodzinnie. Michalina nadziewała kolejne rurki, a babcia odmierzyła trzy czwarte kubka mąki, przesiała ją i wsypała do miski. Do drugiej wbiła żółtka, a w trzeciej ubiła sztywną pianę.

— Pamiętaj, do piany dodawaj zawsze szczyptę soli.

Miśka skinęła głową.

— A potem wszystkie składniki na biszkopt mieszaj drewnianą łyżką, delikatnie, aby ciasto się dobrze napowietrzyło. Dobry biszkopt jest puszysty i nie potrzebuje proszku do pieczenia.

„Mama robiła biszkopt zupełnie tak samo” — pomyślała Miśka i z tęsknotą wróciła pamięcią do czułych ramion Ilony.

— Powiedz mi, ojciec się odzywał? — zapytała nagle Zofia, wlewając ciasto do tortownicy. Zmiana tematu nieco wybiła wnuczkę z rytmu.

— Nie — odpowiedziała po chwili.

— Typowe. Stary włóczęga.

— Nawet telefonu nie odbiera.

— Niech go jasny szlag trafi! — zdenerwowała się babcia Zosia. — To

już o nic nie chodzi, tylko o Bartka! Rozbudza w nim nadzieję, a potem znika.

— Wiem.

— Niech go piekło pochłonie z tym jego włóczęgostwem i przygodami...

— On się już nie zmieni — stwierdziła smutno Miśka.

— Wiem. I to jest najgorsze, że obie nie wierzymy w jego zmianę. — Zofia wytarła ręce w ścierkę. — Czasami myślę, że lepiej by było, gdyby nie przyjechał wtedy na święta.

— Nie pamiętasz, jaki Bartek był wówczas szczęśliwy?

Babcia zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

— Masz rację, głupoty gadam. Zostaje nam wierzyć, że wszystko się jakoś wyprostuje.

Michalina wróciła do domu późnym popołudniem. W reklamówkach niosła ciasta i rogaliki dla gości. Kiedy dotarła do furtki, spojrzała na dom i ogarnęła ją jakaś dziwna radość.

Była dumna z tego, że tutaj mieszka. Dom był dość duży, ale wydawał się przytulny. Na parterze były wielkie okna, które wpuszczały do wnętrza dużo światła. Pokoje dla gości znajdowały się na poddaszu.

Serce biło jej szybko. „Tutaj jest mój dom, moje życie, tutaj jest moje miejsce na ziemi”

— pomyślała. Słońce chowało się za dachy domów, a ostatnie promienie przeświecały przez liście. Zaczęły zapalać się latarnie, a ciepłe żółte światło oświecało kamienną ścieżkę do drzwi pensjonatu.

Miśka już miała się kłaść spać, kiedy zadzwonił jej telefon. Nie spojrzała na wyświetlacz, dlatego gdy usłyszała głos ojca, myślała, że krzyknie ze złości.

— Czego chcesz? — rzuciła oschle.

— Zobaczyć się z wami.

Na te słowa żołądek Miśki wykonał bolesne salto.

— To wykluczone.

— Nie możesz mi tego zabronić. Jesteście moimi dziećmi — powiedział spokojnym głosem Neo.

— Za kogo ty się, do cholery, uważasz?

Miśka nie mogła dopuścić do tego, aby ojciec znów zakłócił kruchy spokój jej braciszka.

Nie teraz. Nie kiedy są wakacje i chłopak miałby tyle czasu na rozmyślanie.

— Jestem jego ojcem. I twoim też.

— Jesteś beznadziejnym ojcem! Sam o tym wiesz.

— Ale wciąż ojcem. Dzwoniłaś...

— W akcie desperacji.

Zapadła cisza.

— Obiecasz mi, że kiedy przyjedziesz, nie zostawisz nas? Nie zostawisz Bartka?

— Sama dobrze wiesz, że nie mogę ci tego obiecać...

Miśka rozłączyła się. Rzuciła telefon na kanapę. Musiała zrobić kilka głębszych wdechów, zanim się uspokoiła. Nienawidziła go, nienawidziła! A przecież mimo wszystko wciąż go kochała...

Rozdział 4

— Jesteście! — Jadwiga nie kryła radości. Serce biło jej tak szybko, że myślała, że dostanie zawału.

Jej wnuczki, Wiktoria i Mary Ann, rozglądały się ciekawskimi oczami po domu. Wiktoria miała dziewiętnaście lat, a Mary Ann dziewięć.

Starsza — z tego, co zauważyła Jadwiga — trzymała babcię na dystans, była ułożona i skryta, młodsza natomiast była ciekawska, roześmiana i wszędzie jej było pełno. Obie płynnie mówiły po polsku.

— Przygotowałam dla was pokoje. — Jadwiga przestępowała z nogi na nogę. — Zaprowadzę was.

Po kilku chwilach wnuczki były w pokojach, a Amelia z matką usiadła w ogrodzie.

Popijały kawę.

— Ładnie tutaj — powiedziała Amelia.

— Spokojnie. — Jadwiga wskazała ręką na ogród i rozciągający się za

plotem widok.

— Co robisz?

— Chodzi ci o to, gdzie pracuję?

— Tak.

— Jestem nauczycielką. — Kobieta spojrzała na córkę, wyczekując jej reakcji.

— Wróciłaś do dawnego zajęcia.

— Zawsze lubiłam tę pracę. Niepotrzebnie ją rzucałam. Wielkie biznesy nie były dla mnie.

— Też lubiłam, kiedy byłaś nauczycielką.

„Bo miałaś dla mnie czas, bo więcej się śmiałaś, bo byłaś sobą” — pomyślała Amelia, ale nie powiedziała tego na głos.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

Tej nocy Amelia nie mogła spać. A kiedy w końcu zasnęła, dręczyły ją koszmary.

Wydawało jej się, że śpi całą wieczność; zerwała się do pozycji półsiedzącej. Przez szpary ciężkich zasłon do pokoju wpadało światło pobliskiej latarni.

Zerknęła na zegarek: było przed piątą. Nie mogła uspokoić oddechu. Przez chwilę siedziała bez ruchu. Wiedziała, że ponownie nie zaśnie. Wstała z łóżka, a podłoga zatrzeszczała.

Amelia syknęła. Włożyła kapcie i wyszła na korytarz. Zajrzała do pokoju córek; obie spały twardym snem.

Weszła do kuchni. Nie chciała zapalać światła, żeby nie zbudzić Jadwigi, postawiła więc na świecy i rozsunęła kotary. Stara kotka, która drzemała na piecu, miauknęła, a potem podeszła do niej, obwąchując jej ubrania. Kobieta pogłaskała ją, a ona się odwróciła i odeszła.

Amelia zaparzyła sobie kawy i wyszła na werandę. Ze skrzyni stojącej pod oknem wyciągnęła koc i opatuliła się nim szczelnie. „Pięknie tu” — pomyślała raz jeszcze, wpatrując się w ciemne pagórki rysujące się na szarym horyzoncie.

Naraz odpłynęła myślami w bolesną przeszłość.

Rok 1998

Amelia poznała Roberta w szkole. Ona chodziła do trzeciej klasy, on był w maturalnej, ale matury w ogóle nie miał ochoty zdawać. Kiblował w czwartej klasie już rok. Dziewczynie podobała się jego buntownicza natura i to, że miał wszystko i wszędzie. Niewiele o nim wiedziała, wydawało jej się zresztą, że nikt nie wie o nim za dużo, ani nauczyciele, ani koledzy z klasy. Był przystojny, to wiedziała na pewno. Palił papierosy, a na przerwach czytał książki. Na oczy opadała mu grzywka, której w ogóle nie odgarniał. Czytał przez zasłonę bujnych włosów, jakby cokolwiek mógł tak dostrzec. Nieraz Amelia przyglądała mu się z zaciekawieniem.

Któregoś dnia ten fantastyczny chłopak podszedł do niej i zapytał bez ogródek, czy wybierze się z nim na piwo.

— Ale ja? — Amelia czuła, jak oblewa ją rumieniec, a ona robi z siebie idiotkę.

— Co w tym dziwnego? — Zmrużył oczy.

— My... my się nie znamy — wyjąkała.

— Robert jestem. — Chłopak wyciągnął w jej kierunku dłoń.

— Amelia.

— To już się znamy.

Zaśmiał się, ukazując równe zęby.

— Czyli jutro o piętnastej. Pasuje ci?

— O szesnastej trzydzieści kończę dodatkowe zajęcia.

— Dobrze się składa; ja o szesnastej. Ale zerwę się.

— To ja... To ja też.

Pożegnali się; Robert jeszcze przez kilka chwil wydawał się rozbawiony. A ona czuła się, jakby fruwała w obłokach.

Następnego dnia weszli do zadymionego pubu pełnego młodych ludzi, na pewno studentów. Robert i Amelia przecisnęli się do boksu w głębi sali. On witał się z co drugim chłopakiem. Amelii wydawało się, że chłopak zna tutaj wszystkich.

Usiedli przy stoliku i zamówili piwo. Nie wspominała, że nie pije alkoholu. Teraz sączyła wolno piwo, które w ogóle jej nie smakowało. Robert wpatrywał się w nią intensywnie.

— Co? — zapytała niepewnie.

— Jesteś taka ładna i taka niewinna.

— I nie mam jeszcze osiemnastu lat. — Spuściła wzrok. Wgapiła się w szklanekę.

Dopiero po chwili zdołała spojrzeć mu w oczy.

— Ale szesnaście już skończyłaś? — Uśmiechnął się do niej.

Nic nie odpowiedziała, tylko ponownie uciekła wzrokiem.

— Mieszkasz z rodzicami? — zapytał, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.

Co to za dziwne pytanie. Pewnie, że mieszka z rodzicami. Była niepełnoletnia.

— Tak. A ty?

— Z bratem. Starszym bratem, ale jest bardziej dziecinny ode mnie. Ma porządnie nasrane pod kopułą. — Robert postukał palcem w głowę. — Studencik.

— Dlaczego wyprowadziliście się od rodziców?

Przeczesła dłonią włosy. Dawno nie była tak zdenerwowana. Czy ona mu się podobała?

— Bo nie starczało dla nas miejsca. — Zaciągnął się papierosem, by po chwili wypuścić kółeczka dymu.

— Jak to?

— Ano tak to, że jest nas ośmioro.

— Fajnie mieć tyle rodzeństwa.

— Fajnie, nie fajnie. Musieliśmy się z bratem wyprowadzić. Starzy narobili sobie bachorów, a potem nie potrafili nas wyżywić. — Prychnął z pogardą.

— Nie kochali was?

Wzruszył ramionami.

— Nie było czasu na czułości ani takie srele duperele. Ale nieważne. — Machnął ręką. — Jacy są twoi starzy?

Amelia zamyśliła się.

— Mają kupę kasy i zero czasu dla mnie.

— Przynajmniej kasę mają.

Dziewczyna wolałaby już, żeby żyli normalnie, tak jak kiedyś, gdy mama była nauczycielką. Mogły wtedy chociaż pogadać. Były sobie bliższe. A teraz dzieliła je przepaść.

— No dobra, nie będziemy mówić o starych.

— No nie. — Amelia upiła kolejny łyk piwa. Była zarumieniona po koniuszki uszu.

Robert wyciągnął dłoń nad stolikiem i niespodziewanie dotknął jej ręki.

— Hej, Rob! — usłyszeli męski głos.

Do stolika zmierzał przysadzisty chłopak, który też chodził do ich liceum.

— Siema. Co u ciebie?

Robert wstał i przywitał się z kolegą.

— Ta laska z ostatniej imprezy. Pamiętasz? — Gruby zaśmiał się.

— No. — Rob schował ręce do kieszeni.

— Stary, co to za sucz...

Robert spojrzał na Amelię.

— Ej, jestem tutaj z dziewczyną. — Skinął na nią głową.

— A, sorry. Cześć! — Przysadzisty chłopak obdarzył Amelię jedynie przelotnym spojrzeniem.

— Cześć... — Uśmiechnęła się niepewnie.

— A więc o czym to ja...? — Nowo przybyły podrapał się po głowie, zupełnie ją ignorując. — A tak, o tej lasce. — Nabrał tchu. — Stary, zrobiła mi loda, a teraz ściemnia, że jest ze mną w ciąży.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

— Idziesz do Lilki w sobotę? — zapytał grubas.

— Nie, mam inne plany. — Chłopak kolejny raz spojrzął na Amelię.

Poczuła, jak jej serce bije coraz mocniej.

— Dobra, zatem nie przeszkadzam. — Wymienili uściski i Rob z powrotem usiadł przy stoliku.

— Znasz tutaj wszystkich. — Amelia zatoczyła ręką krąg.

— Nie tych, co powinienem. Sorki za niego.

— Nie no, spoko. Sama wiem, jakie są niektóre dziewczyny. — Przełknęła ślinę.

— Ja też wiem. Ale ty jesteś inna. Nie widziałem cię na żadnej imprezie?

— Mam siedemnaście lat i moi rodzice... Oni mi nie pozwalają. To znaczy, pewnie by nawet się nie domyślili, o której wracam, długo pracują, ale ja... No wiesz... — Wzruszyła ramionami. Zaczerwieniła się i poczuła zakłopotanie. — Chcę być wobec nich lojalna. — Amelia poczuła, że z każdą minutą robi się coraz bardziej czerwona.

— Rozumiem.

O osiemnastej Robert odprowadził Amelię do domu. Zagwizdał na widok okazałej willi.

— No, no... Niezła chata.

Amelia kolejny raz tego wieczoru wzruszyła ramionami.

— Przepraszam, że nie zaproszę cię do środka.

— Nie ma sprawy. — Chłopak nachylił się, by ją pocałować. — Do zobaczenia jutro! — Uśmiechnął się. Światło latarni odbijało się w jego oczach. Amelia odwzajemniła uśmiech i opuszkami palców dotknęła ust.

Dziś

Po dziewiątej wyszła na spacer, żeby zobaczyć miasteczko, a także pomyśleć o tym, co dalej. Jej życie jakoś się ostatnio poplątało. Żyła zbyt szybko, a chciała odetchnąć.

Miejsce ją zachwyciło. Wzdłuż głównej ulicy usytuowane były sklep, poczta, kawiarnia, fryzjer i kwiaciarnia. Po drodze poruszało się niewiele samochodów, za to dużo rowerów. Kilka małych uliczek, które odchodziły od głównej, wybrukowanych było kocimi łbami.

Kobieta zastanawiała się, dlaczego w tak uroczym miejscu nie ma zalewu turystów.

Jadwiga przy kolacji wyjaśniła jej, że lokalni mieszkańcy nie sprzedają ziemi obcym, że jest tutaj tylko jeden pensjonat i jeden hotelik z pięcioma pokojami. Podobał jej się ten spokój, ta izolacja, z dala od zgiełku, i to, że odnaleźć tu mogła ciszę, także tę wewnętrzną. Tak, tutaj się uspokoiła.

Jak by to powiedziała jej córka: wyluzowała się.

Ruszyła dalej, patrząc, jak Złotkowo leniwie budzi się do życia.

Rozdział 5

Już od kwietnia Bartek przebąkiwał Michalinie, że chciałby w te wakacje pojechać na półkolonie piłkarskie. Siostra zarezerwowała mu termin na pierwszy tydzień lipca. Chłopiec nie krył swojego szczęścia, a kiedy Michalina kupiła mu strój piłkarski, mierzył go codziennie.

Pierwszego dnia półkolonii Bartek wszedł na boisko z uśmiechem od ucha do ucha.

Dwóch trenerów przywitało się z grupką chłopców, po czym każdy z małych zawodników musiał

dokonać prezentacji. Trenerzy zajęli się rozmową, a dzieciaki podchodziły i zapoznawały się ze sobą. Jeden z chłopaków, Jasiek, podszedł do Bartka i zapytał:

— Mówisz po polsku?

Dziesięcioletek był zaskoczony tym pytaniem. W Złotkowie wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że miał ciemną skórę, sam przestał zwracać uwagę na to, że jest trochę inny.

Denerwowały go jedynie włosy, które sterczały na wszystkie strony, tworząc wielkie afro, nie do ujarznienia. Teraz zaczął je przyklepywać, ale to nic nie dało.

— Tak — odpowiedział. — Dlaczego pytasz?

— Bo jesteś bambus! — Tamten ryknął śmiechem. Zawtórowało mu dwóch innych chłopaków.

Potem rozpoczął się trening. Bartek na boisku był profesjonalistą — za takiego się uważał

— i dlatego wyparł z pamięci smutne zdarzenia. Interesowała go tylko piłka i to, by strzelić jak najwięcej goli. Czuł się niczym Messi, który zdobył dwa gole. Duma go rozpiekała. Podskoczył z uniesionymi rękoma, kiedy udało mu się po raz drugi trafić w światło bramki. Wydawało mu się, że skacze aż do chmur. Dzieciaki zerkały na niego kątem oka, niektóre wręcz gapiły się na niego, jakby był co najmniej dziwolągiem. Nikt mu nie

pogratulował tych goli. Tylko jeden chłopiec w którejś chwili podszedł i poklepał go po plecach.

Bartka zdziwiło to zachowanie, ale najwyraźniej ktoś miał zamiar traktować go normalnie.

— Cześć, Szymek jestem. — Dość szczupły blondynek wyciągnął do niego rękę.

— Cześć, Bartek.

— Masz zajefajne włosy.

— Serio tak myślisz? — Chłopiec rozpogodził się.

— No ba. *Cool*. I sądzę, że z ciebie coś jeszcze wyrośnie. To znaczy, mam na myśli piłkarza. I pokażesz tym dupkom, jaki jesteś kozak.

— Nie lubisz ich?

— Nie. To napuszone dupki z bogatych rodzin. Nie to, że mam coś do dzianych ludzi, ale wiesz... Oni akurat są frajerami.

Razem parsknęli śmiechem.

Kiedy tylko trenerzy nie patrzyli albo udawali, że nie widzą, Jasiak wraz z dwoma innymi chłopcami obrzucali Bartka wyzwiskami. Kpili z jego koszulki z napisem „Messi”, sugerując, że lepiej by zrobił, gdyby kupił sobie taką z napisem „Pele”. Wyzywali go od bambusów, asfaltów i buszmenów. Michalina zawsze powtarzała Bartkowi, że tacy ludzie są mali i to oni mają problem, jednak jego te uwagi mocno dotknęły.

Gdy po pierwszym dniu chłopiec wsiadł do samochodu, Miśka zadała mu standardowe pytanie:

— No i jak było?

— Okej. — Bartek wydał wargi i odwrócił wzrok.

Siostra zlustrowała go spojrzeniem.

— Widzę po twojej minie, że wcale nie było okej.

Wzruszył ramionami.

— Chłopcy śmiali się, że powinienem sobie kupić koszulkę z nazwiskiem jakiegoś czarnoskórego piłkarza.

Miśka znieruchomiała, a potem zadrżała.

— Którzy to?

— Nieważne.

— Powinnam porozmawiać z trenerem.

— Nie, Miśka, nie powinnaś. — Bartek wiedział, że jeśli siostra pogada z trenerem, to tylko zaogni sytuację, a nowi koledzy i tak znajdą sposób, by mu dokuczać. Da sobie radę; w końcu chodził tam dla treningów, a nie dla tych chłopaków.

— To nie będziesz już w tym brał udziału.

— Ale ja chcę!

Michalina czuła, jak wzbiera w niej gniew, buzował tuż pod skórą o kolorze kawy z mlekiem. Najchętniej wysiadłaby z auta, pobiegła do tych małych gnojków i powyrywała im nogi z tyłków. Zamiast tego zrobiła jednak głęboki wdech i powiedziała:

— Słuchaj, to oni mają problem, nie ty. To ty jesteś dobrym człowiekiem.

Ktoś zapukał w szybę. Miśka aż podskoczyła na siedzeniu. Przy samochodzie stał

blondynek z szerokim uśmiechem na twarzy.

Bartek mu pomachał, rozpromieniając się na chwilę.

— Kto to był?

— Szymek, mój kolega.

Miśka uśmiechnęła się pod nosem.

— Czyli nie wszyscy na treningach są tacy źli.

— Niczego takiego nie powiedziałem!

Tego wieczoru do pokoju Bartka zastukała babcia. Chłopak leżał na brzuchu i oglądał

album z wycinkami o piłkarzach.

— Cześć! — Zofia uklękła na podłodze obok niego.

— Cześć, babciu.

— Jak ci minął trening? — Starła się być delikatna, ale Bartek wiedział, że została nasłana przez jego siostrę. Miśce zwykle nie mówił wszystkiego, to znaczy, tych złych rzeczy, bo wiedział, jaka jest wrażliwa i czasami kłótniwa. Nie, no dobra, nie kłótniwa, ale potrafiła narobić mu obciachu, bo zawsze stawiała w jego obronie.

— Trening był okej.

— A co nie było okej?

I nagle w Bartku coś pękło i się rozpląkał. Był już dużym chłopcem, przynajmniej tak o sobie mówił, i wstyd mu było za te łzy. Babcia otoczyła go ramieniem i zaczęła całować po zapłakanych policzkach.

— Już dobrze, kochanie. Już dobrze.

Łzy leciały ciurkiem, a chłopiec nie mógł się uspokoić.

— Dlaczego nie jestem taki jak inne dzieci?

— Bo jesteś wyjątkowy.

Babcia tuliła go tak mocno, że przez chwilę miał wrażenie, że go udusi. Kochał jednak to babcine tulenie.

— Babciu, ale dlaczego czasami inni ludzie są dla nas niedobrzy?

Zofia gładziła Bartka po włosach. Gdyby tylko potrafiła odpowiedzieć na to pytanie...

— Bo sami mają jakieś problemy. Bo u nich w życiu wcale nie jest

fajnie, bo czegoś nam zazdrozczą. Może ci chłopcy zazdrościli ci tego, że jesteś tak dobrym piłkarzem? Może zazdrościli twojej pogody ducha? Nie wiem. Ale jedno wiem: to z nimi jest coś nie tak. Mają jakąś zadrę lub ból w serduszkach. A z ciebie, kochanie, jest dobry dzieciak.

Następnego dnia przy śniadaniu Michalina po raz kolejny zapytała Bartka, czy na pewno chce jechać na półkolonie.

— Tak — odpowiedział stanowczo, chociaż w brzuchu poczuł jakiś dziwny ucisk. — Sama mi nieraz mówiłaś, że jeśli się poddam, to pokażę tym, którzy mnie prześladują, że to oni wygrali. Będę grał i robił swoje. Po to tam jestem, by się czegoś nauczyć.

— Dobrze. Rozumiem. Może jednak pogadam z trenerem? Przecież powinien zareagować, jeśli dzieją się takie rzeczy.

— Sam sobie poradzę.

— Okej. — Miśka uścisnęła rękę brata. Wiedziała, że nie ochroni go przed podłym niekiedy światem. Ludzie, nawet ci dorośli, ci, którzy powinni być dojrzały, są czasem źli, zawistni i potrafią dokopać. Takie jest życie: raz pogłaszczę cię po głowie, innym razem sprzeda porządny kopa. Tyle że Michalina chciała ochronić swojego braciszka, który był dla niej jak jej własne dziecko, przed wszelakim złem.

Cały dzień przebiegał spokojnie. Drużyna Bartka wygrała mecz, a chłopiec triumfował, bo strzelił trzy gole. Szymek przybił mu piątkę. Inni znów odwrócili się do niego plecami, ale już do tego przywykł.

— Zazdrościcy — szepnął mu do ucha Szymek.

Tego dnia mama Szymka odebrała go z zajęć kilka minut wcześniej, więc do szatni Bartek ruszył sam.

— Ej, Bambus! — Jeden z chłopców złapał Bartkowego korka i kopnął go w stronę toalety. — Czy po drzewach też się tak dobrze wspinasz, jak kopiesz piłkę?

Bartek wiedział, że nie powinien reagować, jednak złość w nim wzbierała.

— Tam u was w Afryce to kopie się kokosy! — zadrwił Jasiak.

Cała szatnia wybuchnęła śmiechem.

— Jestem z Polski. Nigdy nie byłem w Afryce. Urodziłem się w Polsce — zaczął

tłumaczyć Bartek, jakby jego wyjaśnienia miały coś zmienić.

Chłopcy wciąż się śmiali.

W pewnym momencie w Bartku ponownie coś pękło. W samych bokserkach i koszulce wybiegł z szatni i wpadł do pokoju trenera.

— Co się stało? — Mężczyzna wstał z krzesła.

— Boli mnie brzuch. Bardzo boli mnie brzuch.

— Usiądź. — Trener wskazał krzesło. — Twoja siostra zaraz po ciebie przyjedzie.

Miśka faktycznie zjawiała się po Bartka kilka minut później. Pozostali chłopcy już dawno opuścili szatnię.

„W samych bokserkach i podkoszulce wygląda krucho” — pomyślała Michalina, wchodząc do pokoju trenera. Chłopiec trząśł się, a ona resztkami

sił powstrzymywała się, żeby go nie objąć i nie zacząć całować.

— Co się stało? — Uklękła przy nim.

— Boli mnie brzuch.

— Rozumiem. — Wiedziała, że brat kłamie. — Ubierzesz się i pojedziemy do domu.

Zrobię ci mięty.

Skinął głową. Miśka poczuła, że w jej gardle rośnie wielka gula.

Kiedy Bartek wyszedł do szatni, dziewczyna zwróciła się do trenera.

— Czy pan nic nie widzi? — Niemal kipiała ze złości z bezsilności.

— Nie rozumiem...? — Trener potarł ręką brodę, ale Miśka od razu zauważyła, jak bardzo był zakłopotany.

— Mojego brata tu prześladują.

— Nic takiego nie ma miejsca — zaprzeczył mężczyzna.

— Wyzywają go.

— Oj, proszę pani — trener splótł ręce na piersiach — chłopcy w tym wieku mają różne głupie odzywki.

— Może i mają, ale to nikogo nie usprawiedliwia! Ich jest dziesięciu, on jeden.

— Dobrze, postaram się rozwiązać jakoś ten problem.

— To niech się pan stara lepiej!

Michalina wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Niedługo później Bartek popijał miętę, a Miśka siedziała na krześle i go obserwowała.

— Bartuś... — odezwała się drżącym głosem. Jakoś chciało jej się płakać.

— Hm? — Brat spojrzał na nią znad kubka.

— Fajny z ciebie chłopak.

— Nie sądzę.

— Ale ja sądzę. I wiele osób ze Złotkowa też.

— Życie nie kończy się na Złotkowie.

— No nie. Chcę jednak, żebyś wiedział, że to nie jest tak, że ludzie prześladują cię z powodu koloru skóry. Ludzie wyzywają innych za to, że ktoś jest gruby albo chudy jak tyczka, albo ma inny kolor włosów, albo piegi. Albo jest wolny, zamiast być szybki. Bo sami mają masę kompleksów. Tak sobie z tym radzą.

— To głupio sobie radzą.

— No, głupio. Bardzo głupio. Kocham cię. — Miśka nie spuszczała z

brata wzroku.

— Mhm — burknął.

— To znaczy, że ty mnie też?

Uśmiechnął się do niej i przewrócił oczami.

— Nie słyszałaś, że miłość można wyrazić na mnóstwo sposobów?

Pewnie, że o tym słyszała. „Włóż szalik”, „zapnij pasy”, „przytul się”. „Pójdę tam z tobą”, „potrzymam cię za rękę”, „gdyby nie ty”, „tylko ty”, „zróbmy to razem”, „upiekłam twoje ulubione ciasto”, „jestem”. „Po prostu jestem dla ciebie”.

— Słyszałam, słyszałam. — Miśka uśmiechnęła się do brata.

— Opowiedz mi o mamie — poprosił. Jego oczy w jednej chwili zrobiły się duże niczym spodki.

— Opowiadałam ci już o mamie tyle historii! Czasami czuję, że powtarzam je w kółko.

— Ty ją znałaś, ja nie. Lubię słuchać, kiedy o niej mówisz.

— No cóż... — zaczęła, nabrawszy tchu. — Była piękną kobietą, pięknym człowiekiem.

Gdy się śmiała, to całą sobą, kiedy kochała, to na zabój. Potrafiła czasem krzyknąć. Była mądra życiowo. Z mamą kojarzą mi się radosne poranki. Smażyła dla mnie furę naleśników i gotowała kakao. A potem ja zwierzałam jej się z moich rozterek. Wiesz, z taką mamą zawsze czułam się dzieckiem. Niekiedy nie warto dorastać.

Popatrzyła na brata. Podniósł się z łóżka i mocno się do niej przytulił.

Tym jest właśnie miłość. Michalina w tej chwili głęboko ją odczuła.

Potem jeszcze chwilę milczeli. Oboje wiedzieli, że czasem wystarczy razem pomilczeć o wszystkim i niczym. I to też jest miłość, kiedy się tak wspólnie milczy i jest człowiekowi dobrze.

Więc siedzieli tak bez słowa jeszcze kilkanaście minut, nim każde wróciło do swoich zajęć.

Rozdział 6

Amelia dobrze się czuła w Złotkowie. Wiktoria i Mary Ann pokochały Jadwigę, spędzały z nią dużo czasu. Starsza wnuczka opalała się i czytała książki, młodsza nie odstępowała babci na krok; chodziła z nią do lasu, razem pielili ogródek, a Amelia miała czas na długie, samotne spacery. Zwykle brała rano zimny prysznic, spinała włosy w luźny kucyk, wciągała džinsy i T-shirt, wkładała trampki i schodziła na dół.

Często w tych spacerach towarzyszyła jej kotka — Niuśka. Szła dumnie kilka kroków przed córką swojej właścicielki, jakby chciała jej pokazać okolicę. Spacerowały przez ukwiecone łąki pełne rumianków i chabrów, przez złociste pola zbóż, aż docierały do strumyka, który obchodziły.

Był czwartek. Gdy tego dnia doszły do zwykłego celu wędrowki, nie wiadomo kiedy niebo pociemniało. W jednej chwili rozległ się potężny grzmot, a zaraz potem z nieba niczym z pompy poleciała woda. Amelia chwyciła kotkę pod pachę i zaczęła z nią uciekać w stronę rynku.

Kiedy dotarła na główną ulicę, rozejrzała się w panice za schronieniem. Była już zupełnie mokra.

W końcu zauważyła szyld „Cynamonowe Serca” i weszła do środka. Kot miauknął, wychylając pyszczek spod jej ramienia. Amelia zauważyła, że dookoła niej na podłodze zaczęła tworzyć się kałuża.

— Dzień dobry — powiedziała do starszej ekspedientki.

— Podejź no tutaj, złociutka. — Właścicielka, pani Zosia, uśmiechnęła się przyjaźnie do kobiety. — Chodź na zaplecze. Musisz się przebrać, bo przemokłaś do suchej nitki.

Amelia podreptała za sprzedawczynią. Już po chwili miała na sobie spodnie dresowe, ciut przykrótkie, i ciepły, wełniany sweter, w którym było jej odrobinę za gorąco, ale nie mogła narzekać, bo przynajmniej była sucha.

Usiadła przy stoliku pod oknem. Kolejne błyskawice przesywały niebo, grzmoty rozbrzmiewały pośród szczytów gór. Woda spływała strumieniami po szybie, a wielkie krople tworzyły bulgoczące bąble w kałużach.

— Zaraz przejdzie. — Starsza kobieta postawiła przed Amelią filiżankę kawy.

— Wie pani... Ja nie wzięłam portfela.

— Ale ja nie każę ci zapłacić! Na zdrowie.

— Jutro oddam. — Amelia poczuła skrępowanie całą tą sytuacją. — Dziękuję. Bardzo pani miła...

— Dziecinko, nie trzeba, nie trzeba, Pij, na zdrowie. Zaraz przyniosę kotu mleko.

Niuśka miauknęła na dźwięk ostatniego słowa.

„Co za niesamowita kobieta — pomyślała Amelia. — Bije od niej takie ciepło, że aż chce się przebywać w jej towarzystwie”.

Z wolna popijała kawę. Wspomnienia powróciły.

Rok 1998

Amelia miała w klasie koleżankę, Julię. Nie to, że się przyjaźniły, ale trzymały się razem.

Julka, tak jak i ona, była outsiderką i klasowe towarzystwo jej nie odpowiadało. Miała długie blond włosy, niebieskie oczy i ubierała się wyzywająco. Przy niej Amelia wyglądała jak dziewczynka. Kilka razy wspólnie wagarowały.

Opowiedziała koleżance o Robertcie. Była tak szczęśliwa, że nie mogła dłużej trzymać tego, co się jej przydarzyło, w tajemnicy.

— No, niezłe ciacho! — Julka paliła papierosa i wydmuchiwała dym. — Ale on nie jest dla ciebie.

— Dlaczego tak myślisz? — Druga z dziewcząt skrzyżowała ręce na piersiach.

— Zobacz, w jakim towarzystwie się obraca.

— Mnie takie towarzystwo odpowiada. Spójrz na chłopaków z naszej klasy. Pryszczate małolaty. Robert trzyma się ze studentami.

— A... rób, co chcesz, tylko żebyś potem nie płakała.

— Po prostu mi zazdrościsz!

Amelia spodziewała się innej reakcji.

— Kochana! Mnie interesują inni mężczyźni. — Julka spojrzała na swoje długie, czerwone paznokcie. — I podkreślam: mężczyźni, a nie chłopaczki bez grosza przy duszy.

— Ciekawe, gdzie takiego znajdziesz. Starsi mężczyźni mają córki w twoim wieku.

— Starsi mężczyźni lecą na młode ciała, a ty pławisz się w luksusach i ich pieniądzach.

— Pieniądze! — Amelka prychnęła. Jakby to było najważniejsze. Tamta nic nie wiedziała o prawdziwym uczuciu, o emocjach, których Amelia właśnie doświadczała. Zakochiwała się w tym chłopaku. A Julka? Czy ona była kiedykolwiek zakochana?

W sobotę Robert zaprosił Amelię do siebie. Dziewczyna chciała opowiedzieć mamie o nowym znajomym, ba, więcej niż znajomym, ale ta wyszła do hurtowni, zanim córka wstała. Na stole zostawiła kartkę, że wróci z ojcem późno, że życzy Amelii miłego dnia i żeby córka kupiła sobie coś do jedzenia, bo ona nie miała czasu nic ugotować. „Czyli standard” — pomyślała dziewczyna i westchnęła. Kiedyś mama o nią dbała. Gotowała dla niej. Amelia miała już siedemnaście lat i wcale nie wymagała, żeby matka ją niańczyła, ale mogłyby wypić razem kawę i pogadać. Tak po prostu, jak dwie kumpele. Na to również jej mama nie znajdowała czasu.

Zmieniła kartkę i cisnęła ją do kosza.

— Wal się! — powiedziała ni to do siebie, ni to do pustych ścian. Pomyślała o dzisiejszym spotkaniu z Robertem i od razu poprawił się humor.

O piętnastej chłopak przyjechał pod jej dom rozklekotanym oplem, a pół godziny później znaleźli się w dwupokojowym mieszkaniu.

— Tylko nie przestrasz się bałaganu — powiedział, przekręcając klucz w zamku.

Amelia o mały włos nie jęknęła, kiedy wchodząc na korytarz, prawie potknęła się o stertę porzucanych butów. Z drugiej strony leżała kupka ubrań, a pod drzwiami jednego z pokoiów opakowania po pizzy i kartony po mleku.

— Sorry. — Robert przeczesał ręką włosy. — Mój pokój ogarnąłem.

Otworzył drzwi do pokoju. W tej samej chwili drugie, te po przeciwnej stronie korytarza, skrzypnęły. W progu stanął wysoki chłopak; on i Robert byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

— Co tam? — Robert odwrócił się w jego stronę.

— A nic tam. Widzę, że masz towarzystwo. — Uśmiechnął się do dziewczyny.

— Cześć! — rzuciła przez ramię Amelia.

— Cześć. — Tamten otaksował ją spojrzeniem. — Twoja nowa zdobycz? — zwrócił się do brata, jakby Amelii w ogóle tam nie było.

— Wal się! — Robert podniósł z podłogi brudną koszulkę i rzucił nią w brata. Tamten zachichotał i wrócił do pokoju.

— Przepraszam za niego. Wiesz, jak to między rodzeństwem bywa.

— Nie wiem. Jestem jedynaczką.

— Fajnie masz.

— Nie za bardzo.

— Wchodź. — Delikatnie popchnął ją do środka.

— Z czego żyjecie? — zapytała po chwili Amelia, siadając na skraju łóżka.

— A, chwytamy się jakichś dorywczych prac. Gdy skończę szkołę, przyskam stąd. W

Polsce kokosów nie zarobię. A wiesz, ja chcę być kimś. Dorobić się. Mógłbym prysnąć już teraz, ale wolę mieć papierek, że jakąś szkołę skończyłem. Nie mam pojęcia, czy kogokolwiek na Zachodzie będzie obchodziła moja edukacja, ale wiesz, różnie bywa.

— Kasa to nie wszystko.

— Nie wiesz, jak to jest, kiedy jej się nie ma.

Robert nachylił się w jej stronę i pocałował ją delikatnie. Następnie wziął dziewczynę w ramiona. Tulili się do siebie i całowali.

— Albo to zrobimy, albo eksploduję — powiedział w pewnym momencie, kiedy tak trwali w uścisku.

Serce Amelii waliło jak szalone. Była jeszcze dziewicą. Oczywiście, że chciała to zrobić, tyle że... bała się. Jej rozmyślenia przerwał pocałunek. Ciało dziewczyny przeszedł dreszcz.

Chłopak chwycił ją za nadgarstek i położył jej rękę między swoimi nogami. Poczowała twardość.

— Chcesz tego? — wychrypiał.

Amelia nie wiedziała do końca, czy chce, czy nie, ale skinęła głową.

Szybko się rozebrał. Ona również ściągnęła koszulkę i stanik. Trochę krępowała się swojej nagości, a kiedy spojrzała w oczy Roberta, dostrzegła w nich jakąś dzikość. Podeszedł do niej, rozpiął suwak jej spodni. Amelia skończyła się rozbierać.

Naparł na nią całym ciałem, tak że łóżko aż zaskrzypiało. Potem w nią wszedł. Amelia poczuła ból. Nie był aż tak dotkliwy, jak się spodziewała, ale sprawiał jej dyskomfort. Rob poruszał się w niej szybko, a ona chciała tylko, by jeszcze szybciej skończył. Po kilku minutach było już po wszystkim.

Zszedł z niej i westchnął. Zauważyła zadowolenie na jego twarzy. Uśmiechnęła się.

Potem leżeli wtuleni w siebie.

— To był twój... no wiesz... pierwszy raz? — Opuszkami palców zatoczył koło na jej nagiej piersi.

Dziewczyna poczuła, jak rumieniec oblewa jej twarz. Przecież to widział.

— Tak. — Kiwnęła głową.

— Bolało?

— Nie. Było nawet przyjemnie.

— Przyzwyczaisz się. Z czasem będzie tylko fajniej.

Robert wstał z łóżka. Amelia nie wiedziała, co ma począć ze wzrokiem. Widząc jej zażenowanie, chłopak się roześmiał i tylko zakręcił nagimi pośladkami.

— Jakoś przed chwilą ci to nie przeszkadzało.

Milczeli.

— Jesteś teraz moim kochankiem?

Pożałowała tych słów, kiedy tylko je wypowiedziała. Nie chciała wyjść przed nim na jakąś infantylną smarkulę.

Robert o mało się nie zakrztusił. Właśnie popijał colę prosto z butelki.

— Jestem — powiedział, tłumiąc śmiech.

Zaczęli się spotykać. Bardzo często te schadzki odbywały się u Amelii w domu. Robert zachwycił się drogim sprzętem jej rodziców i przestronną willą. Dni mijały, a ona się zmieniała.

Jej codzienne życie robiło się nierealne i odległe. Miała wrażenie, że błyskawicznie dorosła i stała się kobietą. Myślała tylko i wyłącznie o Robercie. Straciła apetyt, przestała zajmować się swoimi sprawami, przestała się uczyć. To ON wypełniał jej świat. Była nim opętana. Poddana mu.

Uprawiali seks przy każdym spotkaniu, ale nigdy w jej łóżku.

Jednego popołudnia, kiedy skończyli się kochać, usłyszeli na dole skrzypnięcie drzwi.

— O kurwa! — zaklął Robert, pospiesznie wkładając spodnie. — Kto to?

— Ciii! — Amelia również spanikowała.

Podeszła do okna, by sprawdzić, jaki samochód stoi na podjeździe.

— Mój ojciec. Zostań tu i się nie ruszaj, ja do niego pójde.

— Ale to sypialnia twoich starych!

— Zamknij się. Ojciec tu nie wejdzie.

I faktycznie: tato Amelii wpadł do domu tylko na kilka chwil. Pożegnał się z córką, wręczając jej kasę.

— Może wyjdiesz do kina?

— Może.

— No... — wziął teczkę ze stolika — to baw się dobrze.

— Będę.

I dotrzymała słowa, choć ojciec zupełnie nie to miał na myśli.

Rozdział 7

Artur wjechał na parking przy boisku w momencie, kiedy drużyna siatkarska kończyła trening. Chłopcy klepali się po plecach. Artur wypatrzył, że jego syn ze spuszczoną głową siedzi na ławce. Poczul, jak wzbiera w nim złość. Trener już kilka razy posadził tam Kubę na cały mecz.

Zacisnął dłonie na kierownicy i głęboko westchnął. „Najlepiej się nie wtrącać” — pomyślał. Niedługo wakacje. Na samą myśl o tym, że pojedzie z dziećmi do Miśki, uśmiechnął

się. Bał się, jak dzieciaki zaaklimatyzują się w Bieszczadach, ale mimo wszystko cieszył się, że zobaczy się z Michaliną. Najbardziej obawiał się o Kubę. Chłopak ostatnio był nie do zniesienia.

„Taki wiek” — mówiła jego była żona. Może faktycznie miała rację? Artura denerwowały wybuchy gniewu syna, ale przecież w jego wieku był taki sam.

Wysiadł z auta i pomachał Kubie, który podniósł z ziemi swój plecak i zaczął iść w jego stronę.

— Cześć! — Artur poklepał go po plecach.

— Cześć — burknął syn.

Wsiedli do samochodu. Chłopak rzucił plecak na tylne siedzenie.

— Jak trening?

— Wporzo.

— Siedziałeś na ławce.

Kuba wzruszył ramionami. Artur zaczął cofać.

— Może powinienem pogadać z trenerem?

— Sam sobie dam radę. — Jego syn wydał wargi. — Jestem dużym chłopcem.

Siedziałem na ławce, bo trener mnie wkurzył.

— Ostatnio wszystko cię wkurza.

— Taki *life*... Jedźmy już do domu, umieram z głodu.

— Dopiero wróciłem z pracy, w mojej lodówce pustki — stwierdził Artur. Częściej stołował się na mieście niż w domu. Po co brudzić tyle naczyń dla jednej osoby?

— To zawieź mnie do mamy. Mama zawsze ma przygotowany obiad. — Chłopak spiorunował ojca wzrokiem.

— Może podjedziemy do jakiegoś baru? Restauracji?

— Jak tam sobie chcesz...

Może to jednak nie był dobry pomysł, żeby zabierać ze sobą dzieciaki na urlop. Ale przecież chciał się wykazać. Chciał sobie, dzieciom i byłej żonie udowodnić, jaki z niego superojciec.

Zerknął w lusterko wsteczne. Musi się udać!

Podjechali do przydrożnego baru na ich ulubione hamburgery. Tylko tutaj kotlety były wielkości zaciśniętej pięści boksera, cebulka zaś podsmażona, ale zarazem mięciutka; bułka do hamburgerów zawsze świeża, a i warzyw nie brakowało. Jedli w ciszy. Ta cisza zaczęła uwierać Artura, ale nie miał pojęcia, jak zagadać do syna.

— Niedługo jedziemy w Bieszczady — odezwał się wreszcie.

— No i?

— No i chyba fajnie. — Artur wytarł usta serwetką.

— Nienawidzę tego.

— Czego?

— Tego, jak teraz wyglądają nasze święta czy wakacje.

Artur zmieszał się, nie wiedząc, jak zareagować.

— Przykro mi.

Znów na moment zapadło milczenie.

— Dlaczego wasze małżeństwo nie przetrwało?

— Tak się zdarza.

Artur miał żal do samego siebie, że rozstanie rodziców tak skrzywdziło dzieci. Zawsze w takich wypadkach to one cierpiały najmocniej.

— Jest, jak jest, i trzeba się cieszyć z tego, co się ma — stwierdził filozoficznie.

— Pewnie... — Chłopak przewrócił oczami.

— Miejsce, do którego jedziemy, jest oazą spokoju.

„Jakby na tym zależało nastolatkowi” — pomyślał Artur, ale zamierzał brnąć dalej.

— Możemy razem pozdobywać kilka szczytów, połowić ryby. Będzie fajnie.

— Zobaczymy.

W głosie młodego nie było nawet cienia entuzjazmu.

„Oby na miejscu się to zmieniło...”

Neo pojawił się w Złotkowie jak gdyby nigdy nic. Bartek był nad strumykiem. Michalina zaś od pierwszej chwili spotkania nie kryła wściekłości.

— Zamierzasz udawać, że jesteśmy szczęśliwą rodziną?! — Spojrzała na jego walizki, wypchane prezentami. — Myślisz, że kupisz sobie miłość swojego dziecka? Przyjeżdżasz bez zapowiedzi z tym swoim głupkowatym uśmiechem i nie masz zamiaru przeprosić, że nie było cię tyle czasu.

— Ale wróciłem.

— Po siedmiu tygodniach. Jutro znów cię nie będzie! — Michalina była tak zła, że miała ochotę podejść do ojca i nim potrząsnąć.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie widział sensu w sporach.

— Przepraszam. Co więcej mogę powiedzieć? Czego ode mnie oczekujesz?

— Że weźmiesz odpowiedzialność za rodzinę. Człowieku, ile ty masz lat?

— Ponad czterdzieści.

— A zachowujesz się jak nieokrzesany nastolatek! — denerwowała się Miśka. Czasami myślała, że tylko tak może dotrzeć do ojca. — Więc jak długo zostaniesz?

— Dzień, dwa. — Podeszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu, ale ona ją strząsnęła.

— Myślę, że Bartek ucieszy się z mojego przyjazdu.

— Oczywiście, że się ucieszy. On jest jeszcze dzieckiem! Dziecko musi mieć poczucie bezpieczeństwa, a nie taką huśtawkę. Gdybyś jeszcze był z nami w kontakcie, odbierał od nas telefony, to wtedy miałby choć pewność, że może na ciebie liczyć. A ty wyjeżdżasz i się od nas odcinasz.

Neo westchnął.

— Bo widzisz... — Splótł dłonie.

— Słucham! Powiedz to wreszcie. — Michalina patrzyła na ojca lodowatym spojrzeniem.

— Ja... ja mam drugą rodzinę.

— Słucham? — Michalina z wrażenia aż usiadła na taborecie.

— Drugą rodzinę. Żonę i dziecko.

— Kurwa mać!

— To dlatego... No wiesz...

— Kurwa, kurwa, kurwa!!! — Na moment ukryła twarz w dłoniach. — Masz rodzinę.

Dobrze. — Dziewczyna próbowała złapać oddech. — I dopiero teraz mi o tym mówisz?! Od jak dawna? Czy oni o nas wiedzą?

Pokręcił głową.

— Typowe. Typowe. I bardzo w twoim stylu.

— Powiem im...

— O nie... Ty lepiej nic nie mów. — Michalina wzięła ze stołu ścierkę, zwinęła ją w kłębek i cisnęła w ojca. — Od nich też uciekasz?

— Podróżuję... Wiesz, że podróże to moje życie.

— Co z ciebie za człowiek? Co z ciebie, kurwa, za człowiek?!

— Przepraszam za tak długie rozstanie. Jestem... — Neo czuł się głupio.

— „Długie” jest raczej eufemizmem. — Miśka się roześmiała, maskując rozgoryczenie i ból. — Posłuchaj. — Stała naprzeciwko ojca. — Bartek kocha wspomnienia o tobie. Tych kilka pięknych chwil, które razem spędziliście, było dla niego czymś cennym. Kocha cię na swój sposób, tak jak zapewne ty kochasz nas. W przeciwnym razie nie przyjechałbyś tu do nas teraz.

Tylko widzisz... — zaczerpnęła powietrza. — To boli. Każde rozstanie go boli. Oboje wiemy, że z nami nie zostaniesz. Masz gdzieś tam swoje życie, jak sam mówisz, drugą rodzinę... i przecież nie usiedzisz na miejscu. Twoje podróże...

Neo spuścił głowę. Miśka miała rację. Poczul ogromny ból w sercu.

— Czyli chcesz zostać tylko na jeden dzień?

— Tak, w najlepszym razie pojutrze wyjeżdżam. Słowacja, Czechy, Węgry... Mam nagrany pracę na kilka dni na Słowacji.

Przez chwilę Miśka krążyła bez słowa po kuchni.

— Nie możesz tego zrobić Bartkowi. Nie jeden dzień... — oświadczyła stanowczo.

Widział, że to koniec negocjacji. Nachylił się i pocałował córkę w czubek głowy, po czym podniósł z podłogi plecak i ruszył do drzwi.

— Napiszę do niego list.

Wsiadł do wynajętego polo i odpalił silnik.

Bartek biegł drogą w kierunku domu. Wyobrażał sobie, że jest szybki jak rakietą, rozłożył

szeroko ręce i szybował. Nagle zza zakrętu wyłonił się biały samochód, który zwolnił, mijając go. Bartka oślepiła słońce, więc nie mógł dojrzeć kierowcy, ale przez ułamek sekundy wydawało mu się, że zna ten uśmiech.

Nie, tylko mu się zdawało. Samochód przyspieszył, a on pobiegł do domu.

Neo zjechał na pobocze tuż za miasteczkiem. Miśka miała rację. Jego syn jest szczęśliwy, a on nie może burzyć jego spokoju. Zacisnął palce na kierownicy i rozpłakał się jak dziecko.

Rozdział 8

Szmer strumyka, świeże powietrze, brzęczenie owadów, soczysta zielen traw, śpiew ptaków o poranku — to były dźwięki tej maleńkiej miejscowości w Bieszczadach. „Tak brzęczało i pachniało polskie lato” — pomyślała Amelia. A stary dom Jadwigi był jak dom z jej marzeń.

— Wiesz, mamó — powiedziała, kiedy siedziały na werandzie i piły kawę — zawsze śniłam o takim miejscu dla mnie i dziewczynek.

— To stara chałupa.

— To nic, że stara, ale piękna.

— Tyle trzeba by tu było zrobić!

— Na pewno... — Amelia sięgnęła po kawałek jabłecznika. — Utyję tu.

— Wyglądasz pięknie! — Jadwiga patrzyła na córkę z zachwytem.

— Mamuś?

— Tak?

— Dziękuję, że nas tu zaprosiłaś, że wtedy... W Wigilię przyjechałaś do mnie.

— Za dużo lat zmarnowałyśmy.

— Tak. Byłam uparta... Mogłam... Sama jestem mamą. To trudne, wciąż boli.

— Mnie też.

— Nie będę ci obiecywać, że wszystko za jednym pstryknięciem będzie dobrze.

— Nie musisz. Dobrze, że tu jesteście. — Dłoń Jadwigi pogładziła plecy Amelii tak jak wtedy, kiedy jej córka była mała.

Rok 1998

— Zrobiłabym dla ciebie wszystko — powiedziała Amelia podczas jednego ze spotkań.

Te były coraz bardziej intensywne. Była zakochana po uszy.

— Słuchaj... — Robert złapał ją któregoś dnia za rękę i złożył na niej pocałunek. — Twój starzy są do bani.

Amelia zamknęła oczy. Przypomniała sobie, że przez ostatni miesiąc zamieniła z rodzicami zaledwie kilka słów. Kiedyś starali się wracać tak, by wspólnie zjeść choć kolację, teraz nawet na kolację nie wracali. „Zrozum”, „dużo pracy”, „polecimy gdzieś na wakacje”.

Wakacje już dawno minęły, a oni nadal nigdzie razem nie pojechali, nie spędzili wspólnie ani jednego popołudnia. Bo to, bo tamto.

Ale w sumie nie byli tacy źli, prawda? A może jednak? Od kilku miesięcy narastał w niej bunt. Buntowała się, bo nie było ich obok niej, kiedy chciała porozmawiać, tak po prostu.

Szukając ujścia dla żalu i rozgoryczenia, zaczęła prowadzić pamiętnik. Nieraz chciała, żeby go znaleźli, żeby dowiedzieli się, co tak naprawdę o nich sądzi. O nich, o firmie, o tym, w co zamieniła się ich rodzina...

Teraz też jej myśli powędrowały do notesu w fioletowych okładkach.

— Tak, masz rację — odpowiedziała po chwili namysłu.

— Nie chciałabyś od nich uciec?

— Nigdy o tym nie myślałam. Jestem niepełnoletnia. Chcę iść na studia. No i jestem w pewien sposób od nich uzależniona.

Robert ujął jej twarz w swoje dłonie i pocałował ją w usta. Amelia poczuła, jak dreszcze wstrząsają jej ciałem.

— Za kilka miesięcy kończysz osiemnaście lat. Może czas to zmienić? Przecież pępowinę.

— Sama nie wiem...

Dziewczyna podkuliła nogi. Chyba nie była gotowa na tę rozmowę.

— Do odważnych świat należy. Trzeba spełniać swoje marzenia.

— A ty? Jakie masz marzenia?

— Mówiłem ci już, ja stąd pryskam.

Amelia poczuła ukłucie w okolicach serca.

— Sam?

Chłopak się zamyślił.

— Hmm... W sumie moglibyśmy uciec razem.

Przełknęła ślinę.

— No nie wiem.

— Czego nie wiesz?

— Czy chciałabym stąd pryskać. Mam dom. Chcę studiować. Rodzice zapewniają mi wszystko.

— Oni mają cię w dupie, sama o tym wiesz. A ja cię kocham! — Robert ponownie ją pocałował.

— Zastanowię się.

— Będzie nam ze sobą dobrze. — Chłopak ścisnął ramię Amelii. — Jestem jak najbardziej poważny. Tylko że... Musimy zdobyć trochę kasy od twoich starych na start. I... — Potarł dłońmi skronie. — Moglibyśmy upozorować twoje porwanie.

— Nie — nie zgodziła się Amelia. Wiedziała, jaki ból sprawiłoby to rodzicom. Nawet oni nie zasłużyli sobie na coś takiego. — W takie sprawy to ja się nie bawię. Po prostu w razie czego zostawię im kartkę, żeby mnie nie szukali.

— Dobra, dobra — unióśł ręce w obronnym geście — szczegółami zajelibyśmy się później. Pomyśl o tym. Do matury jeszcze pół roku, a potem trzeba stąd pryskać. I zastanów się, jak zdobyć kasę.

Amelia nie chciała już wytykać Robertowi, że nie tylko ona powinna zdobywać kasę. W

końcu to on był mężczyzną w tym związku.

Tej nocy prawie w ogóle nie mogła spać. Przewracała się z boku na bok. Trudno jej było podjąć decyzję. Kochała Roberta, bardzo go kochała, ale nie wiedziała, czy potrafi poświęcić swoje życie. To los zdecydował o tym, że podjęła decyzję o ucieczce.

Pewnego rana siedziała na posadzce i trzymała w ręku test ciążowy.

„Cholera jasna! — psioczyła w duchu. — Jak to się mogło stać?”.

Oczywiście wiedziała, skąd się biorą dzieci, ale sądziła, że ona i Robert są ostrożni.

Zachciało jej się płakać. Nagle usłyszała jakieś szmery. Wrzuciła test do kosza i wyszła z łazienki.

— Amelia? — Na dole słychać było głos ojca.

— Jestem na górze.

— Okej. — Ojciec przeskakiwał stopnie po dwa. W końcu stanął przed nią. — Wpadłem tylko po dokumenty.

— Dobra — rzuciła obojętnie. — Ja idę do siebie.

Zamknęła drzwi do swojego pokoju i położyła się na łóżku.

Po chwili do jej sypialni wpadł rozsierdzony ojciec. Pomachał jej przed oczami tym, co trzymał w ręce.

— Co to jest?!

— Test.

— Przecież widzę! — Na jego twarzy pojawiły się czerwone plamy. — Widzę, że test.

— To po co pytasz?

— Pozytywny!

Pokiwała tylko głową. Nie było sensu zaprzeczać.

— Ty... — Nie dokończył. — Z kim się pieprzysz?

Amelia pierwszy raz słyszała u ojca taki ton. Nie tylko poczerwieniał; na jego skroniach pulsowały żyły. Tak mocno, jakby zaraz miały rozsadzić skórę. Jej krtań jakby ścisnęła obręcz.

— Mam chłopaka.

— Jak to masz chłopaka?

— Normalnie.

— Dziewczyno, ty masz siedemnaście lat! Życie przed tobą!

— Życie z dzieckiem. — Amelia odruchowo dotknęła brzucha. Wiadomość o ciąży dopiero zaczynała do niej docierać.

— Nie będzie żadnego dziecka! — Maciek podszedł do córki, nachylił się nad nią i wolno wyartykułował: — NIE BĘDZIE ŻADNEGO BACHORA!

— Ale... tato?

Patrzyła na niego z przerażeniem. Nagle uświadomiła sobie, że chyba zupełnie go nie znała!

— Wyskrobiemy to, co tam w sobie nosisz! Ty... ty dziwko!

Ojciec wybiegł z pokoju, trzaskając drzwiami, a Amelia zanosła się płaczem. W ciągu jednego dnia wszystko runęło jak domek z kart.

Tego wieczoru mama wróciła do domu wcześniej.

— Jestem — oznajmiła skonana.

— Mamo, ja...

Amelia nie wiedziała, jak zacząć tę rozmowę. Chciała wyrzucić z siebie to wszystko, co kłębiło się na dnie jej serca. Chciała poradzić się mamy.

— Muszę sobie nalać lampkę wina. — Jadwiga przeszła do barku i wyciągnęła butelkę włoskiego trunku.

— Chciałabym z tobą o czymś poważnie porozmawiać. — Amelia podjęła kolejną próbę.

Przestępowała z nogi na nogę.

Matka odwróciła się do niej plecami i zaczęła grzebać w szafkach.

— Czego szukasz? — Dziewczyna usiadła na stołku.

— Korkociągu — odparła poirytowana Jadwiga.

— Słuchaj, mamo...

— Nie teraz. Nie teraz.

Amelia wzruszyła ramionami. Dobrze wiedziała, że jeśli nie teraz, to nigdy.

Jak zawsze.

Następnego dnia podeszła na przerwie do Roberta. Stał jak zwykle oparty o parapet i czytał książkę.

— Hej — powiedziała.

— Hej. Co tam? Marnie wyglądasz.

Faktycznie Amelia była tego dnia blada i miała podkrążone oczy.

— Zdecydowałam się.

— Na co?

— Żebyśmy stąd prysnęli.

Chłopak uniósł brwi.

— Naprawdę tego chcesz?

— Tak. — Skinęła głową. Jej ręce momentalnie się spociły.

Obiecała sobie, że nie powie mu o ciąży. Jeszcze by się przestraszył i jej ze sobą nie zabrał!

— No dobrze, to latem.

— Nie mam czasu czekać do lata. Zróbmy to teraz.

Robert spojrział na nią badawczo.

— Teraz jest zima. Jak ty to sobie wyobrażasz? To wszystko trzeba zorganizować. Twoi starzy na pewno zgłoszą zaginięcie. Masz siedemnaście lat. Latem będziesz już miała osiemnaście i nie będzie problemu.

— Ja z nimi już dłużej nie wytrzymam. Nie wytrzymam! — Amelia zaczęła płakać.

— Spokojnie... Spokojnie...

Robert ją objął, a kiedy już się nieco uspokoiła, odsunął ją od siebie na długość ramienia.

Zamyślił się i potarł ręką brodę.

— Najwcześniej udałoby mi się wszystko zgrać za trzy, cztery tygodnie.

— Idealnie. — Amelia poczuła ulgę.

„Im szybciej, tym lepiej” — pomyślała.

— To będą święta... — Chłopak pokręcił głową.

— I co z tego?

— Nie wiem.

— Zdobędę dużą gotówkę.

— Chciałem skończyć szkołę.

— Zdobędę kupę szmalu. — Amelia miała pewność, że tylko informacją o kasie przekona Roberta do wyjazdu. Nie wiedziała jeszcze, skąd weźmie pieniądze, ale jakoś je zdobędzie. W

końcu chodzi o sprawy najwyższej wagi.

Zwierzyła się Julce. Oczywiście nie ze swoich planów związanych z ucieczką. O ucieczce nikt nie mógł wiedzieć.

— Jesteś w ciąży? — Julka dotknęła jej ramienia. — I co teraz?

— Nie wiem. — Amelia wzruszyła ramionami.

— Ja pierdołę. A mówiłam, że to się źle skończy.

Chwilę wpatrywały się każda przed siebie, jakby rozważając różne scenariusze.

— Nie wiem, czy dam radę zajmować się dzieckiem — wyznała Amelia.
— Ja nawet psa czy kota nigdy nie miałam.

— No wiesz! Trochę tak chujowo porównywać dziecko do zwierzaka. Nauczysz się. No, jakoś to będzie. — Julka starała się ją pocieszyć. — Masz dzianych starych. Niańkę załatwią, a ty pójdziesz na studia.

— Przeraza mnie to wszystko. — Amelia odruchowo dotknęła brzucha.

— Chyba każdą z nas by przerazało. Ja pierdziele. No, masakra. To znaczy, dziecko to fajna sprawa... — Julka zamilkła, bo w sumie nie

wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć.

— A poród... Ciekawe, jaki to ból?

— Oj, nie myśl o tym. Nie ty pierwsza będziesz rodzić.

Amelia pożałowała, że jednak otworzyła się przed Julką.

— Słuchaj, ale to ma zostać między nami.

— Nie no, pewnie.

Julia wykonała gest sznurowania ust. Tajemnica kumpeli była u niej bezpieczna.

Tego samego dnia Maciej zjawił się w pokoju córki.

— Znalazłem i załatwiłem klinikę — zwrócił się do niej chłodnym tonem.

— No i? — Amelia leżała odwrócona do niego plecami.

— Nie rozmawiałś z matką?

— Nie. A ty?

— Nie. Gdybym rozmawiał, to w domu rozpętałoby się piekło. Wiesz, studia.

— Nie zamierzasz jej powiedzieć? — Amelia wbiła wzrok w ścianę. W głowie jej się nie mieściło, że ojciec chce przed matką zataić coś takiego.

— Nie. To będzie nasza tajemnica.

Poczuła wzbierające pod powiekami łzy.

— Nawet nie zapytałeś, czego ja chcę.

— Przestań! Do jasnej cholery, przestań pieprzyć takie bzdury! Jestem twoim ojcem, a ty jesteś jeszcze za smarkata, żeby wiedzieć, co dla ciebie najlepsze!

Rozdział 9

Michalina była podekscytowana i jednocześnie zdenerwowana. Nie widziała Artura od ponad dwóch miesięcy. A teraz przyjeżdżał do Złotkowa z dziećmi. Nie miała pojęcia, jak jego dzieciaki ją przyjmą. Nie chciała, broń Boże, im matkować. Nie wiedziała też, jak Artur będzie się zachowywał w stosunku do niej przy Kubie i Jance. Postanowiła jednak, że ona pozostanie sobą.

Na okres pobytu Artura z dziećmi w Bieszczadach Michalina zdecydowała się zamknąć „Różany Pensjonat”. Cztery tygodnie to długo w tego typu biznesie, ale zależało jej, aby ten czas spędzili wspólnie.

Za Sanokiem zaczął lać rzęsy deszcz, który niósł ze sobą ciemne niebo. Była dopiero piętnasta, ale i tak najjaśniejszymi punktami na drodze były światła samochodów. Wycieraczki nie nadążały zgarniać deszczu. Artur zwolnił i spojrzał w lusterko. Janinka malowała palcem jakieś wzorki na szybie, Kuba wpatrywał się w swój tablet. Artur nie lubił, kiedy chłopiec wgapiał się godzinami w wyświetlacz takiego czy innego urządzenia, ale nie chciał wszczynać kłótni.

Kilka minut później zjechali z głównej drogi i wjechali w podporządkowaną, przy której z pobocza sterczały zardzewiałe drogowskazy.

Dojechali na miejsce czterdzieści minut później.

Weszli do pensjonatu i Artur dokonał prezentacji. Janinka zaczęła rozmawiać z Bartkiem, natomiast dorośli oraz Kuba stali w przedpokoju. Michalina spojrzała na chłopca. Był wysoki, nawet ciut wyższy od niej. Podobny do Artura, miał lekko skośne oczy o niezidentyfikowanym kolorze. Bardziej zielonym niż niebieskim. Miśce wydawało się, że nie był zadowolony z tego, że musiał przyjechać do Złotkowa.

— Mamy tutaj strumyk, w którym dzieciaki chętnie się pluskają — zaczęła ostrożnie.

— Wow! — Kuba wyduł wargi, a potem odpowiadał już tylko monosylabami.

— Oczywiście ty i ojciec będziecie mogli powędkować.

— No.

Artur szturchnął syna.

— Pewnie jesteście głodni.

— Mhm — burknął Kuba.

— Tak, kochanie. — Artur objął Michalinę. — Zjadłbym konia z kopytami.

— Konia nie mam. — Uśmiechnęła się. — Ale mam za to kurczaka z warzywami.

Umyjcie ręce i chodźcie do salonu.

Bartek z miejsca polubił Jankę, która niemal cały czas się śmiała. Nie była taka, jak inne dziewczynki — tamte nie wchodziły na drzewa i nie chciały się bawić w błocie, z obawy, że pobrudzą swoje sukieneczki. Ona biegała, wspinała się po drzewach i skakała do strumyka z rozbiegu. Cieszyli się słonecznym latem. Całe dni spędzali na świeżym powietrzu. Chodzili łowić ryby i do lasu zbierać jagody.

Podczas gdy najmłodsze dzieci świetnie się dogadywały, Kuba od początku dawał odczuć Miśce, że jej nie lubi. Artur miał z nim same problemy. Już po kilku dniach żałował tego wspólnego wypadu.

— Gdzie byłeś? — zapytał syna, który zniknął na cały dzień i nie raczył poinformować, gdzie zamierzał się szwendać. Wrócił do pensjonatu późnym wieczorem i rozparł się w fotelu.

— Spacerowałem po tej zatęchłej dziurze — warknął Kuba.

— To nie żadna zatęchła dziura. Jesteś z dala od miejskiego zgiełku. Masz czyste powietrze, piękne widoki.

— Przestań pieprzyć bzdury! — Łypnął na ojca spode łba. Był wściekły.

Artur nie spodziewał się takiej riposty i to go zirytowało.

— Zajmij się tą swoją panienką! — rzucił wreszcie w jego stronę Kuba.

A więc o to chodzi. Młodego boli to, że Artur ma dziewczynę.

— Mam prawo układać sobie życie. Twoja mama też jest w związku — próbował się bronić.

— Ale nie z kolesiem młodszym od niej o kilkanaście lat.

— To nie ma znaczenia. — Artur potarł ręką brodę. — Kiedyś to

zrozumiesz.

Kuba wzruszył ramionami. Ojciec starał się załagodzić sytuację.

— Co chcesz jutro robić?

— Gówno.

Artur zamarł. Był pewien, że nie tak go wychowali. Czuł, że wszystko wymyka mu się z rąk. Kiedy Kuba przestał go szanować? Kiedy nagle znaleźli się w dwóch wrogich obozach?

— Masz szlaban. Będziesz siedział jutro cały dzień w pokoju.

— Okej — bąknął pod nosem chłopak. A po krótkiej pauzie dorzucił: — To przez ciebie rozwalilo się twoje małżeństwo z mamą!

— Mama i ja nie dogadywaliśmy się, ale nie możesz mnie za to karać do końca życia.

Kuba prychnął.

— Akurat. To przez to, że nigdy nie miałeś dla nas czasu. Znalazł się taki, co go miał.

Ojciec cały aż poczerwieniał. Gdyby nie to, że nigdy nie był zwolennikiem kar cielesnych, to...

— Marsz na górę!

— Skoro tego chcesz...

Chłopiec wstał z fotela i wbiegł po schodach do sypialni, którą dzielił z siostrą. Artur nawet za nim nie spojrział. Przeszedł do salonu. Miśka czekała na niego z kieliszkiem wina.

Usiadł na sofie, potarł dłonią skronie.

— No to się dzieje... — jęknął.

— Nie możesz na to pozwalać.

— Zobaczysz, kiedy Bartek będzie w jego wieku. Na pewno też będziesz przez to przechodzić. To nastolatek.

Dziewczyna przygryzła wargę; nie chciała się kłócić z Arturem, ale uznała, że jej brat nigdy by się tak nie zachował. A może się myliła? W końcu w tym wieku dzieciakom przychodzą do głowy najróżniejsze rzeczy.

— Spróbuj jutro z nim porozmawiać na spokojnie. A teraz się zrelaksuj.

Artur pociągnął łyk wina z kieliszka i zamknął oczy.

— Kupiłam sobie w Sanoku seksowną bieliznę — szepnęła mu Miśka na ucho.

— Okej — powiedział odrobinę za szorstko. — Tyle że dzisiaj Janinka prosiła mnie, żebym położył się z nią.

Twarz Michaliny nieznacznie stężała.

— Rozumiem — rzuciła krótko w odpowiedzi.

Wypiła duszkiem wino. Szczerze mówiąc, nie tak to sobie wszystko wyobrażała.

Minęły dwa dni, a sytuacja komplikowała się z godziny na godzinę. Kuba zaczął

nastawiać siostrę przeciwko dziewczynie ojca.

Był piątkowy poranek i we trójkę wybrali się na targ. Michalina i Artur trzymali się za ręce, ale w pewnym momencie dziewczyna poczuła, że Janka wpycha się między nich i zajmuje jej miejsce, chwytając kurczowo dłoń ojca. Pomyślała, że nie będzie walczyć z małą o uwagę Artura, dlatego odpuściła.

Ale on przystanął.

— Szedłem za rękę z Michaliną. Wiesz, że postąpiłaś niegrzecznie? — zapytał córeczkę.

Usta dziewczynki wykrzywiły się w podkówkę.

— Dlaczego mam być dla niej miła? — Wskazała głową na Miśkę. — Porzuciłeś mamę i nas. Dla niej. Ona jest ważniejsza.

— Kto ci naopowiadał takich bzdur? — Artur odciągnął Jankę na bok.

Dziewczynka wybuchnęła płaczem.

— Zostawiłeś nas!!! — darła się na cały głos.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Kuba mi powiedział.

Michalina obserwowała tę scenę z przykrością. Mogła sobie tylko wyobrazić, co czuła ta mała dziewczynka, ale była zła na jej starszego brata, że naopowiadał jej takich głupot. A przecież miała nadzieję, że dzieci Artura ją polubią. Sądziła, że spędzą cudowne wakacje i staną się szczęśliwą patchworkową rodziną. Miała prawo do szczęścia.

Jaka była naiwna...

Michalina składała właśnie pranie, kiedy zobaczyła przez okno Kubę, który dopiero co cisnął w krzaki rower. Odetchnęła głęboko. „Nie powinnam się wtrącać” — pomyślała. Jednak kiedy chłopak wziął do ręki kamień, wybiegła na podwórko.

— Kuba! — krzyknęła, kiedy chłopak się zamachnął. Dałaby sobie rękę uciąć, że planuje rzucić z całym impetem w okno. Jego ręka znieruchomiała.

Odwrócił się w jej stronę, wciąż trzymając kamień. W jego oczach płonął gniew.

— Masz kiepski dzień? — zapytała.

Patrzył na nią z wściekłością i furią. Miśka przez chwilę obawiała się, że ostatecznie to jej się oberwie. Wcale nie metaforycznie.

— Wow! Jak na to wpadłaś?

— Trudno nie zauważyć. Chcesz o tym porozmawiać?

— Nie jesteś moją matką.

— No nie. Ale zawsze możemy pogadać.

— Z gadania głupot jeszcze nic dobrego nie wyniknęło. — Odrzucił kamień na bok.

— Owszem. Ale możemy pogadać o czymś mądrym, interesującym.

— Wal się! Po prostu się wal! — Chłopiec zacisnął pięści i cały się zjeżył. — Nie mam ochoty tu być. Nie mam ochoty patrzeć, jak mój ojciec się za tobą ugania. Jak pies za suką. Co ty w nim widzisz? A on w tobie?

Miśka przełknęła ślinę. Zrobiło jej się przykro. Miała już tego wszystkiego dość. Miała dość tego chłopaka. Podeszła do niego bliżej i przez zaciśnięte zęby wycodziła:

— Kiedyś zrozumiesz, czym jest miłość kobiety do mężczyzny, a mężczyzny do kobiety.

I mam nadzieję, że wtedy dotrze do ciebie, że to, co teraz nam robisz, jest złe. Już nie chodzi tylko o mnie. Krzywdzisz swojego ojca.

Kuba w odpowiedzi jedynie pokazał jej język i pognał gdzieś dalej. Nie będzie mu ta flądra dyktować, jak ma żyć i czego nie powinien robić!

Rozdział 10

Wiktoria wyszła na taras. Jadwiga przyglądała się wnuczce z uwagą, kiedy ta odgarniała do tyłu długie, lśniące włosy. Dziewczyna patrzyła na pobliskie pagórki i nuciła jakąś piosenkę.

Kiedy się odwróciła, aż podskoczyła.

— Babciu! Nie wiedziałam, że tutaj jesteś.

— Przepraszam — powiedziała Jadwiga. — Powinnam była się odezwać. Przypominasz mi Amelkę, kiedy była w twoim wieku. Wiesz, zaraz przed tym, jak uciekła. — Jadwiga ugryzła się w język. Czy Amelia

wspominała córce, że uciekła z domu?

Wnuczka najwyraźniej dostrzegła jej zmieszanie.

— Spoko, babciu, mama mówiła mi o tym, że związała z Polski w liceum.

— O mnie pewnie też.

Wiktoria usiadła obok starszej kobiety.

— Zawsze w samych superlatywach.

— Naprawdę?

— Tak. Nie wiem, o co wam poszło, ale sędzę, że się mocno poraniłyście.

Jadwiga westchnęła. Trudno jej było opowiadać o tamtym czasie.

— Tak, chyba tak. To długa, zawiła historia. Czasami rodzice nie słuchają swoich dzieci, bo są zbyt zajęci. To smutne.

— Dużo jest takich smutnych rzeczy.

— Nalać ci kawy?

— A nie powiesz mamie, że się jej napiłam?

Zachichotały.

— W domu pijemy wyłącznie zieloną herbatę. Mama chyba po pracy w kawiarni ma dość kawy. No i twierdzi, że herbata jest znacznie zdrowsza.

— To będzie nasz sekret.

Jadwiga nalała do kubka czarnego jak smoła płynu. Popijały w milczeniu, zapatrzony się na szczyty gór.

„Dobrze, że Amelia urodziła Wiktorię. To wspaniała, rezolutna młoda kobieta” — pomyślała Jadwiga. Może pewne rzeczy powinny się wydarzać wtedy, kiedy mają się wydarzyć.

Może Wiktorii nie byłoby tu z nią teraz, gdyby Amelia została w domu? Jadwiga zapewne namawiałaby córkę na aborcję — mieli dojścia, Maciej był w stanie to załatwić — albo na oddanie dziecka do adopcji. Może jest tak, jak mówią: wszystko w życiu przydarza nam się po coś.

Rok 1998

W Wigilię Amelia siedziała z Robertem w jego oplu. Jeszcze wczoraj przez moment się wahała, czy aby na pewno podjęła słuszną decyzję, ale kiedy mama dała jej do zrozumienia, że ma w nosie święta i choinkę, nie miała już żadnych skrupułów. Zostawi ten syf za sobą.

Dwa tygodnie temu ojciec — zapewne po hojnym posmarowaniu czyjejś prawicy rulonem polskich nowych złotych — umówił ją na wizytę w klinice, gdzie miała „pozbyć się problemu”. Weszła do przychodni sama, z kolejnym zwitkiem banknotów. Ojciec został na parkingu.

— Muszę wykonać kilka telefonów do klientów — wytłumaczył. — Będę tutaj na ciebie czekał.

— Jak chcesz.

— No, idź już. Idź.

Amelia usiadła w poczekalni, dotknęła brzucha. Łzy potoczyły się po jej policzkach.

Sama nie wiedziała, czy chce tego dziecka, czy nie. Ale jeśli je usunie, to będzie tego żałowała.

To dziecko powstało z wielkiej miłości, dadzą sobie z Robertem radę. Na pewno.

Odebrała numerkę od recepcjonistki, po czym przesiedziała kilkanaście minut w toalecie, na wypadek gdyby ojciec pojawił się w korytarzu. Pieniądże się przydadzą. Będą mieli na wyjazd.

— No i jak? — zwrócił się Maciej do córki, kiedy Amelia wsiadła do samochodu.

— Dobrze — burknęła.

— Wiesz... — Odetchnął głęboko. — Tak będzie dla wszystkich lepiej.

— Skoro tak twierdzisz...

— Całe życie przed tobą. Studia, kariera. Potrzebujesz czegoś z apteki? Nie wiem, podpasek czy czegoś? — Był skrępowany, że musi prowadzić z córką takie rozmowy.

— Pójdę sama, teraz chcę się położyć.

— Tak, to zrozumiałe. — Ojciec wyjął z portfela kilka stówek. — To gdybyś czegoś potrzebowała.

Amelia wyciągnęła ręce po pieniądze. Przydadzą się. Każdy grosz się liczy.

— Dokąd jedziemy? — Dziewczyna była zdenerwowana. Obgryzała skórki wokół paznokci.

— Znam kolesia we wschodnich Niemczech. Jest mi winny przysługę. Ma mały domek w lesie, tam przekoczujemy zimę. A potem to już znajdę pracę, ty będziesz pełnoletnia i mogą nam nagwizdać

— Jaką przysługę?

— Nieważne. — Robert zacisnął ręce na kierownicy. — Lepiej przejrzyj swój paszport, żebyś wiedziała, jak się nazywasz. Masz dziewiętnaście lat.

Wczesnie rano Amelia ścięła włosy na krótko i pofarbowała je na czarno. Włosy i opakowanie po farbie wyrzucili kilka kilometrów od mieszkania Roba.

— Jeśli przekroczymy granicę, wszystko pójdzie jak z płatka. Ten domek jest w pełni wyposażony. Są tam butle z gazem i drwa do kominka. W szafkach konserwy i zupy w proszku.

Przez pierwsze tygodnie to nam wystarczy. A potem się zobaczy.

Amelia ciężko westchnęła.

— No, teraz to ty nie możesz pękać.

— Wiem. Wiem — powtórzyła i dotknęła ręką brzucha.

Wszystko się ułoży, będą szczęśliwą rodziną. Za cztery miesiące skończy osiemnaście lat i wtedy rodzice będą mogli jej naskoczyć.

— Ten dom — ciągnął dalej Robert — jest na skraju lasu. Nikt tamtędy nie chodzi, a szczególnie zimą. Za granicą zmienimy też samochód.

— Jak to wszystko zaplanowałaś? — Amelia nie mogła wyjść z podziwu.

— Powiedziałem ci, mam swoich ludzi. Chłopaków, którym kiedyś sam pomogłem, a którzy musieli spieprzać z Polandii.

Do granicy mieli jeszcze jakieś pół godziny jazdy. Atmosfera w samochodzie zgęstniała od napięcia.

— Boisz się? — zapytał w pewnym momencie Robert.

Amelia skinęła głową.

— Czego?

— Tego, że nas zawrócą.

— Przejedziemy spokojnie. Nie masz co panikować.

I faktycznie, przejechali granicę bez problemu. Przez kolejne sto kilometrów jechali w milczeniu. Amelia oparła głowę o szybę.

Zatrzymali się na stacji benzynowej. Chłopak zdecydował, że zadzwoni do jej rodziców, by powiadomić ich, że z córką wszystko w porządku.

— Ty tu siedź — nakazał dziewczynie — a ja im powiem, że jesteś bezpieczna.

— A jeśli ci nie uwierzą?

— Nie są głupi. Gdybym cię porwał, to chciałbym forsy, a ja nie chcę od nich niczego.

Skumają, że prysnęłaś, bo miałaś ich dość.

— No nie wiem. — Amelia pokręciła głową.

Robert zaczął się denerwować.

— Zamknij się już! — uniósł się. — Zadzwonię do nich, i tyle.

Wrócił do samochodu po kilku minutach.

— No i? — zapytała Amelia. Sama nie wiedziała dlaczego, ale chciało się jej płakać.

— Łyknęli to.

— Kto odebrał?

— Twoja matka.

— I co?

Chłopak ruszył z piskiem opon.

— Gównu. Jezuuu... I nic. Przyjęła do wiadomości, i tyle. Daj mi spokój.

— Dobra, już się tak nie wkurzaj.

Cicho wypuściła powietrze i wlepiała puste spojrzenie w krajobraz za oknem.

Robert skręcił gwałtownie w jakąś polną drogę. Dziewczyna aż podskoczyła. Jechali po nierównościach, samochód cały się kołysał. Po kilku chwilach znaleźli się na odludziu; przed nimi rozciągał się las. Rob zatrzymał auto. Zapalił latarkę i spojrzał na narysowaną mapę.

— To już niedaleko — stwierdził i ponownie odpalił silnik.

Jechali wolno, a koła samochodu co i rusz wpadały w jakąś dziurę. Około dwieście metrów dalej Amelia zobaczyła zarys budynku.

— To chyba tu. — Wskazała ręką.

— Tak, to chyba tu.

Po chwili dotarli na miejsce. Robert wjechał na żwirowy podjazd i wyłączył silnik.

Wysiedli z auta. Chłopak obszedł chatkę i po paru minutach wrócił z kluczem.

Amelia dygotała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w co się tak naprawdę wpakowała.

Jednak na wszystko było już za późno. Nie może ot tak sobie wrócić do domu. Zresztą... starzy urządziliby jej prawdziwe piekło. A może cieszyli się, że pozbyli się problemu? Skoro zdaniem Roba niespecjalnie się przejęli jej zniknięciem...

Robert przez kilka chwil siłował się z zamkiem, a dziewczyna stała, jakby ją wmurowało w ziemię. Po paru minutach zamek ustąpił. Weszli do

środka, on uruchomił gazowy piecyk. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i pleśni.

Obeszli wewnątrz. Znajdowała się tam sypialnia z dwuosobowym materacem, salon i mała kuchenka.

— Nie najgorzej — stwierdził Robert.

— Boję się — wyszeptała Amelia.

— Teraz już za późno na strach — odrzekł i położył się na materacu. — Będzie dobrze.

Zaczynamy nowe życie. Ile masz kasy? — Podniósł się na łokciu.

— Jakieś osiem, dziesięć tysięcy złotych.

— Skąd tyle?

— Ukradłam starym — skłamała Amelia. Nie mogła się przyznać, że część tych pieniędzy dostała na skrobankę.

— Nieźle. Daj. Schowam ją w bezpiecznym miejscu.

— Ale to moja kasa.

Rob spiorunował ją wzrokiem.

— Kotku... — Poklepał wolne miejsce obok siebie na materacu. — Wszystko jest nasze wspólne. Rozpoczynamy wspólne życie. Ja i ty. Chyba tego chcesz?

Amelia położyła się obok Roberta. Zasnął i momentalnie zaczął chrapać, a ona nie mogła znaleźć sobie miejsca. Próbowała odpędzić mroczne myśli, ale jakoś nie umiała.

Cztery miesiące minęły jak z bicza trzaśł. Amelia obchodziła osiemnaste urodziny. Do tego czasu dużo się zmieniło. Robert wyjeżdżał dokądś, nie wracał przez kilka dni.

— To w interesach — mówił.

Jej brzuch się zaokrąglił, ale chłopak niczego nie dostrzegł. Nie kochali się już tak często.

W ogóle Amelii wydawało się, że nic razem nie robią. Nie chodzą na spacer, nie rozmawiają.

Przepaść między nimi zaczęła się pogłębiać.

Tego środowego dnia Robert wrócił do chaty późno.

Amelia upiekła ciasto z tego, co miała w domku. Ubrała się też w najlepszą sukienkę, która teraz opinała jej brzuch. Jak dotąd trzymała się całkiem nieźle. Odmienny stan wcale nie dokuczał jej tak bardzo, jak się tego spodziewała.

Rob usiadł na stołku, złapał kawałek placka i zjadł.

— Mam dziś urodziny — powiedziała dziewczyna.

— A... — Podrapał się po głowie. — Wszystkiego najlepszego, kochana. — Nawet jej nie pocałował. — To dzwoń do starych, że z tobą wszystko w porządku, żeby cię nie szukali. No i musimy znaleźć pracę. Ja już podłapałem fuchę, zaczynam za kilka dni, a ty? Poza tym nie możemy tu wiecznie mieszkać.

Dziewczyna wbiła w niego wzrok.

— Nie znam niemieckiego.

— Nauczysz się raz-dwa. Zresztą na zmywaku nie musisz za wiele umieć.

— Na zmywaku?

— A co ty, księżniczko, myślałaś, że do biura cię przyjmą? — Chłopak zarechotał.

Podniósł się z krzesła, wyjął z plecaka jakiś pakunek i rzucił go w stronę Amelii.

Dziewczyna złapała przedmiot w locie.

— Rozmówki polsko-niemieckie. Wkuwaj, maleńka, wkuwaj.

— Dzięki.

— Dobra, plan jest taki. — Robert podparł się pod boki. — Daję ci tydzień, żebyś coś zakumała. W tym czasie szukam dla nas mieszkania. Kasa nam się kończy. Ty dzwonisz do starych i mówisz, że dobrze się miewasz, że masz już osiemnaście lat i sama o sobie decydujesz.

No i prosisz ich, by nas trochę wspomogli.

— Nie sądzę, że będą chcieli sypnąć groszem po tym, co im zrobiłam.
— Amelia opuściła ramiona.

— Słuchaj, to było kilkanaście tygodni temu. Ochłonęli. Ucieszą się, że córka marnotrawna się odezwała. Dzwon.

Podjechali do budki telefonicznej i Amelia niechętnie wybrała numer rodziców. Mama nie mogła wydobyć z siebie słowa, a ojciec był zły, ale powiedział, by wróciła.

— Nie wróćę. Odwołajcie poszukiwania.

— Gdzie jesteś?

— W Niemczech.

— Co ty tam robisz?

— Yyy. — Amelia nie wiedziała, czy ma się przyznać, że na razie nie robi nic oprócz siedzenia i gapienia się w rozmówki polsko-niemieckie, i zastanawiania się, jaki moment wybrać, żeby powiedzieć swojemu chłopakowi, że jest w ciąży.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytała Jadwiga.

— Pieniądzy.

— Wróć do domu.

— Prześlijcie mi pieniądze.

Wcześniej Robert napisał na kartce numer konta, na który rodzice mają przelać kasę.

Podyktowała go im.

— To nawet nie jest twoje konto — powiedział ojciec.

— Ufam temu człowiekowi.

— Amelia... — Mama przejęła słuchawkę. — My cię kochamy, wróć.

— Na razie nie. Kiedyś na pewno.

Odwiesiła telefon na widełki i wyszła z budki.

Rozdział 11

Michalinie i Arturowi jakoś udało się wygospodarować wieczór dla siebie. Babcia Zosia została z rodzeństwem. Miśka modliła się w duchu, aby dzieciaki, a w szczególności Kuba, nie dały jej się we znaki.

Wieczór spędzili w Sanoku. Poszli do kina i na kolację. Kiedy wracali, Artur pociągnął ją za rękę w stronę bramy i zaczął ją całować.

— Tak tutaj? — roześmiała się Michalina.

— A jakie to ma znaczenie?

— Żadnego.

Całowali się namiętnie.

— Jedźmy już do ciebie...

Tej nocy kochali się kilka razy. Kiedy nad ranem leżeli objęci, poprosił:

— Wyjedź ze mną.

— Nie mogę. — Miśka pogładziła Artura po policzku. — Babcia...

— Babcię też możemy ze sobą zabrać. Sprzedamy tu wszystko i kupimy jakiś dom pod Wrocławiem. Duży dom.

— Nie, Artur. Tutaj babcia zapuściła korzenie, ja kocham to miejsce. Ale ty zawsze możesz do nas przyjeżdżać albo tu zamieszkać.

— Nie mogę. Mam pracę, moje dzieci...

— A co z nami?

Wzruszył ramionami. Michalina poczuła silne ukłucie w sercu.

— Kochaliśmy się, szeptałeś mi czułe słowa, a teraz wzruszasz ramionami?

— Widzisz, co się dzieje z Kubą... Przez tyle lat nie byłem dla niego ojcem. — Artur na chwilę ukrył twarz w dłoniach. — Przez tyle lat nie miałem dla nich czasu; teraz nie mogę ich opuścić.

— Twoja żona ułożyła sobie jakoś życie! — Michalina nie kryła złości. — To niesprawiedliwe, nie uważasz?

Kilka łez zawisło na jej rzęsach.

— Tak, to nie jest sprawiedliwe. Ale... Michalina. — Westchnął. — Przez cały ten czas, kiedy byłem z dala od ciebie, tęskniłem za tobą. Każdego dnia tęskniłem.

— Moglibyśmy się spotykać tak, jak do tej pory. A potem... Może rozwiązanie samo się znajdzie?

— Dobrze wiesz, że to nie ma sensu. Na dłuższą metę takie rozwiązanie nie ma sensu.

Michalina wstała z łóżka i podeszła do okna.

— Myślisz, że uda ci się żyć beze mnie?

— Nie. Myślę, że nie. Na pewno będzie mi trudno. Ale będę musiał się tego nauczyć.

Artur również wstał i przełknął głośno ślinę. Ćma wleciała przez okno i zatrzepotała skrzydłami.

— Napijmy się — zaproponował. Czuł, że ma ściśnięty żołądek i skołatane nerwy.

Musiał się napić czegoś mocniejszego, inaczej zwariuje.

— Na co masz ochotę?

— Na nalewkę... Zresztą na cokolwiek.

Michalina rozlała do szklanek nalewkę babci o smaku malinowym, ulubioną Artura.

Wypili po szklaneczce, potem następną i kolejną.

— Chyba jestem już pijany — oznajmił w pewnym momencie Artur. Wstał i podeszedł do okna. Oparł dłonie o parapet. Michalina także podeszła do okna, położyła swoją dłoń na jego ręce.

— Potrzebuję cię tutaj — powiedziała. — Ale wiem, że ty musisz być gdzie indziej.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę i pocałował ją w czoło. W oczach miał bezbrzeżny smutek. Miśka wszystko wyczytała z tego spojrzenia. Wiedziała już, że on ją opuści.

Kuba siedział w pokoju i gotował się z gniewu. Ojciec obiecał mu, że pochodzą razem po połoninach, a zamiast tego wybierał się z Michaliną do Sanoka, żeby zawieźć jej przeklęte anioły do jakiegoś sklepu. Oczywiście chłopak mógł jechać z nimi albo przejść się po miasteczku, tak zasugerował mu ojciec. Ale on miał gdzieś łażenie po tej zapadłej dziurze. Inaczej wyobrażał

sobie te wakacje i zapewne spędziliby je lepiej, gdyby ojcu nie odbiło i nie zakochał się w dwa razy młodszej od siebie lasce. Kubie zrobiło się niedobrze, gdy tylko o tym pomyślał.

Dla mamy nigdy nie był taki słodki jak dla tej całej Miśki, a przynajmniej Kuba tego nie pamiętał.

Ojciec zapukał do pokoju i nie czekając na zaproszenie, otworzył drzwi.

— Jedziesz z nami? — zapytał.

— Marzę o tym, by wam potowarzyszyć. — Chłopak opadł na łóżko. Ironia była bardziej niż wyczuwalna.

— To co będziesz robił?

— A co cię to, do cholery, obchodzi?

— Mam dosyć twojego zachowania! — Artur poczerwieniał na twarzy.

— A ja twojego.

Mężczyzna zamknął drzwi, a Kuba walnął ręką w poduszkę. Był wściekły na cały świat, a najbardziej na ojca. Jego stary nigdy nie zrozumie tego, jak bardzo on go potrzebuje. Najpierw była praca, która była dla ojca całym światem, a teraz na horyzoncie pojawiła się ta dziunia. Czy on i Janka kiedykolwiek byli dla niego na pierwszym miejscu?

Godzinę później chłopak włóczył się bez celu po sklepie wielobranżowym. Nudził się niemiłosiernie, a pod skórą emocje buzowały mu tak bardzo, że musiał jakoś je rozładować. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Rozejrzał się dookoła i zlokalizował kamery; były tylko dwie. Jedna przy wyjściu, druga obejmowała alejkę obok. Podszedł do jednej z półek i zdjął z niej tusz do rzęs. Sam nie wiedział, po co mu tusz do rzęs, ale schował go do kieszeni. Popatrzył wokół; nie został przez nikogo zauważony. Skierował się do wyjścia, nie spoglądając na ekspedientki.

Od tego dnia Kuba kradł regularnie — nie tylko w sklepie wielobranżowym, ale zazwyczaj tam — kosmetyki i wszystko, co nawinęło mu się pod rękę, a zmieściło się w kieszeni.

Odczuwał jakąś dziwną satysfakcję, że nie został przyłapany. Wszystkie rzeczy chował u siebie w pokoju. Nie zastanawiał się, po co to robi. Może po prostu sprawdzał, czy chociaż w ten sposób zwróci na siebie uwagę?

Amelia z Jadwigą siedziały w ogrodzie i jadły śniadanie.

— Przez całą zimę nie mogłam się doczekać możliwości spędzenia odrobiny czasu w ogrodzie oraz jedzenia na świeżym powietrzu — zwróciła się starsza z kobiet do córki.

Amelia oderwała kawałek ciasta drożdżowego i włożyła go do ust.

— Na świeżym powietrzu wszystko bardziej smakuje.

— I ponoć mniej w boczki wchodzi.

Roześmiały się.

— Wiesz, mamó... Bieszczady kojarzą mi się z wolnością, z ucieczką do wolności. To dlatego je wybrałaś?

— Fakt, są... puste. Ale czy dlatego? — Jadwiga skubała rąbek ceraty.
— Może dlatego, że były dość daleko od mojego starego życia. Mogłam opuścić dawny dom, męża. Ty miałas numer mojej komórki.

— Dobrze ci tu? — Amelia przechyliła głowę, nie odrywając wzroku od matki.

— Tak. Bieszczady w porównaniu z innymi miejscami w Polsce wciąż nie są aż tak bardzo turystyczne, poza latem i długimi weekendami. Słaba infrastruktura, oddalone od siebie wioski, hektary lasów... Można się tu poczuć jak w innym świecie. Nie mamy tutaj żadnych dużych hoteli i wielkich ośrodków. Mówię oczywiście o Bieszczadach Wysokich — doprecyzowała. — Tu, w Wysokich, jest jeszcze spokojnie. Tutaj przyjeżdża się po oddech od wszystkiego, po przestrzeń i ciszę. Świat się rozwija, wszystko pędzi, więc i Bieszczady próbują truchtać i nadgonić choć odrobinę, ale ciągle jest to jeszcze miejsce z sercem i duszą. Usług turystycznych tak naprawdę nie ma wiele w porównaniu z resztą świata. I moim zdaniem to jest ich wielką zaletą. Nie ma parków rozrywki. Tu się chodzi po górach i cieszy przestrzenią. Ze szczytów rozciągają się piękne widoki. Nie widać z nich miasteczek i fabryk. Kiedy wchodzi się na jedną czy drugą połoninę, przed oczyma ma się tylko bezkresną przestrzeń, łąki i lasy. Mimo że mieszkam już tutaj bardzo długo, to wszystko wciąż mnie cieszy.

— Myślę, że mogłabym tutaj częściej przyjeżdżać.

— Jesteś tu mile widziana. Dziewczynki również. — Jadwiga uśmiechnęła się do córki.

— Masz kontakt z ojcem? — zapytała nagle Amelia. Matka odrobinę zeszywniała.

— Sporadyczny. Czasami wysyłamy sobie życzenia. Chciałabyś się z nim zobaczyć?

Zawsze zajmowałaś szczególne miejsce w jego sercu.

— Nie — powiedziała szybko; o wiele za szybko. — Na razie nie.

Jadwiga pokiwała głową.

— Rozumiem. Napijesz się kawy?

— A nie masz zielonej herbaty?

— Nie mam.

— Może być kawa.

Jadwiga zaparzyła cały dzbanek. Na talerzyk wyłożyła rogaliki, które z samego rana kupiła w „Cynamonowych Sercach”. I wreszcie zadała pytanie, które nurtowało ją od bardzo dawna.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży? Te kilkanaście lat temu?

— Próbowałam. Byłaś zajęta. Pożarłam się z ojcem, bo odkrył test w łazience.

— I kazał ci usunąć. Wszystko załatwił.

— Tak.

— Czemu tego nie zrobiłaś?

Amelia wzruszyła ramionami i upiła trochę płynu.

— Nie wiem. Sama nie wiem. Dzisiaj tego nie żałuję.

— To o to masz do ojca żal?

— Tak. O to, że nawet ze mną nie porozmawiał. Wiesz, chyba też po trosze chciałam zrobić mu na przekór. Choć raz. Jeden jedyny raz.

Amelia zarzuciła na ramiona bluzę. Było dość chłodno.

— Idę się przejść — rzuciła w stronę Jadwigi.

Kiedyś była dla swojego taty małą księżniczką. Ale gdy córka zaczęła dojrzewać, Maciej się od niej odsunął, jakby bał się kiełkującej w niej kobiecości. Amelia nie mogła poradzić sobie ani z tym, że ojciec tak się zachowuje, ani z tym, że od pewnego czasu w ich domu było zawsze cicho. Nawet jeśli spożywali wspólnie posiłki, to w milczeniu. Tato czytał gazetę, a mama siedziała przy stole z kalkulatorem i zeszytem. Amelia zaś jadła, ile się tylko dało. Zapychała tę pustkę. W wieku piętnastu lat przytyła dziesięć kilo. Którejś soboty jadła śniadanie z ojcem.

Zatopiła zęby w smakowitym, ciepłym jeszcze toście z dżemem. Tato uniósł wzrok znad gazety.

— Nie sądzisz, że powinnaś mniej jeść, a więcej się ruszać? — Otaksował ją wzrokiem.

Oczy Amelii momentalnie wypełniły się łzami.

— Boże! — Maciej spojrział na córkę, która zaraz miała się rozbeczeć, i rzucił gazetę na bok. — Nastolatki i ta ich wrażliwość. Nie chciałem cię urazić. Po prostu zadbane dziewczyny...

Amelia rzuciła niedojedzony tost na talerzyk.

— Spierdalaj!

— Słucham? — Maciek aż osłupiał.

— Spójrz na swoje zakola i pomyśl o przeszczepie włosów!

Rok 1999

Mówiła mu, że kocha — na dzień dobry, dobranoc, na uśmiech, na podanie ręki. Teraz wie, że nie można nadużywać słowa „kocham”, bo traci na wartości.

Tego wieczoru Robert wrócił do domku uradowany. Amelia zaś nie czuła się dobrze. Pół

dnia wymiotowała. Słyszała, że nudności są charakterystyczne dla pierwszego trymestru, ale zdarzają się i później, więc nie bardzo się nimi martwiła.

— No, twoi starzy się postarali. Przysłali nam kasę — oświadczył Rob z uśmiechem od ucha do ucha.

— Ile?

— Trochę tego jest — powiedział zadowolony i usiadł na krześle.

— Słuchaj, może ja bym otworzyła konto? — zaproponowała Amelia.

— Jak? Dowodu nie masz, miejsca zameldowania też nie.

— No tak.

Amelia usiadła na łożku stropiona. O tym nie pomyślała.

— Co ty jesteś taka wiecznie smutna? — Robert podparł się pod boki.

— Bo od kilku miesięcy tutaj siedzę. Ty znikasz na całe dnie, a ja siedzę.

— Załatwiam sprawy z mieszkaniem i szukam ci pracy.

— Nie będę pracowała! — Amelia podniosła się z łożka.

— O. A to dlaczego?

Dziewczyna podniosła do góry bluzkę.

— Dlatego.

Bartek zmrużył oczy i wgapił się w jej pępek.

— Ożeż kurwa! — Ręką zmierzwił włosy, kiedy wreszcie to do niego dotarło. — Ożeż kurwa! Ale jak? Przecież...

— No tak. — Amelia położyła dłoń na brzuchu.

— Który to miesiąc? — Robert momentalnie zbladł.

— Drugi trymestr.

— O kurwa. I co? Od kiedy wiesz? — Zacisnął usta w kreskę.

— Od początku!

— I nie powiedziałaś mi? — Podszedł do niej tak blisko, że nie mogła złapać oddechu.

— Nie. Najpierw nie powiedziałam, bobyś mnie zostawił. A potem... chyba teraz już przecież widać...?

— Ja pierdołę! — Rozsierdzony Robert złapał Amelię za ramiona. Jego uścisk był

mocny. Bolało. Nie takiej reakcji się spodziewała. Oczywiście nie oczekiwała też zachwyków, w końcu dziecko to duża odpowiedzialność i na pewno nie był na nie bardziej gotowy niż ona, ale myślała, że ją chociaż przytuli i zapewni, że jakoś sobie poradzą...



Dni miały przeraźliwie wolno. Monotonię i nudę przerywały tylko krótkie eskapady do wielobranżowego, przynoszące dreszczyk emocji. Zabawa jednak szybko się skończyła. Kiedy po trzech dniach złodziejaskowania Kuba wychodził ze sklepu, poczuł na ramieniu twardy uścisk. Odwrócił się. Za nim stała tęga ekspedientka.

— Chyba zapomniałeś zapłacić? — zwróciła się do niego twardym głosem.

Kuba w jednej chwili pobladł.

— Ja... Ja... — zaczął się jąkać.

„Jak to możliwe — zastanawiał się Artur — że mojego syna przyłapano na kradzieży?”.

Musiał iść do sklepu, gdzie pracowała znajoma ekspedientka, ta, która w czasie okołoswiątecznym, przebrana w czerwono-zielony strój, wyglądała niczym elfica. Co ciekawe, bez stroju też przypominała elfa.

— Jak to możliwe? — Nie krył zakłopotania.

— To pana syn? — Kierowniczka sklepu wlepiała w niego wzrok.

— Tak. Mój. Przepraszam... Za wszystko zapłacę. Proszę nie zgłaszać tego na policję.

Obiecano mu, że zajście nie zostanie zgłoszone. Odetchnął z ulgą, choć wiedział, że to nie rozwiązuje nawet trochę jego problemów.

— Wie pan — zaczęła kierowniczka sklepu — ja też miałam małe dzieci. — Spojrzała na niego srogo. — To dzisiejsze bezstresowe wychowanie to zło. Zło! Mówię panu! — Wbiła w niego wzrok.

Artur nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł się jak uczeń. W końcu wszyscy w Złotkowie wiedzieli, że przyjechał tu przede wszystkim do Michaliny. Poczł, że nawet uszy płoną mu ze wstydu.

— Jeśli rozmowa nie przyniesie skutku, to przełożyć chłopaka przez kolano i... No, wie pan. Jest z pana silny chłop.

Artur już chciał się odezwać, że nie wyobraża sobie karać klapsami nastoletniego syna, ale nic nie odpowiedział, jedynie skinął głową.

— Dam panu dobrą radę, zupełnie gratis. Dzieci potrzebują uwagi

rodziców.

Mężczyzna kiwał tylko głową. Jedyne, o czym marzył, to aby jak najszybciej uciec z tego miejsca. Tyle że... ekspedientka miała rację.

Szedł wolno do pensjonatu. W głowie kłębiły mu się myśli. Może rzeczywiście zwariował z tą miłością? Kobiety przychodzą i odchodzą, a dzieci ma się przez całe życie.

Pora, by wreszcie miały prawdziwego tatę, który wpoi im jakiegokolwiek zasady, wychowa na ludzi, a nie takiego jedynie na weekendy.

Kiedy przekroczyli próg „Różanego Pensjonatu”, Kuba pobiegł prosto do swojego pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Nienawidzę cię! — krzyknął, kiedy ojciec po kilku chwilach wszedł do środka.

— Dlaczego?

— Bo tak. Bo jesteś okropnym człowiekiem! Najpierw nas opuszczasz, a potem zakochujesz się w tej babie.

Artur westchnął.

— Ożenisz się z nią i tu zostaniesz! — Kuba hamował się, by nie wybuchnąć płaczem.

— Kuba... Nie opuszczę ani ciebie, ani Janki.

— Opuszczasz nas każdego dnia! — W oczach chłopaka pojawiły się łzy, więc zawstydzził się i odwrócił twarzą do ściany.

— To, co zrobiłeś...

— Wyjdź stąd! Jutro mi będziesz prawić morały.

Artur bez słowa wyszedł. Postanowił poczekać, aż chłopak ochłonie. On sam też chciał

się zdystansować do całej tej sprawy. Czuł, że jeśli teraz się odezwie, to wzniesi kolejną kłótnię.

Zszedł na dół i usiadł na kanapie obok Michaliny.

— I jak? — zapytała Miśka, podając mu szklankę mrożonej herbaty.

— A jak ma być? — odburknął.

— Nie musisz być dla mnie opryskliwy.

— Przepraszam.

Na moment zapadła cisza.

— Tak pomyślałam — zaczęła ostrożnie — że może byś posłał Kubę do psychologa?

Ewidentnie sobie nie radzi z zaistniałą sytuacją.

— Słucham?! — Artur odstawił szklankę z herbatą na blat stołu. Ton jego głosu był

chyba jeszcze chłodniejszy niż napój.

— Mówiłam, że Kuba nie radzi sobie z zaistniałą sytuacją.

— No nie! — Wyraźnie się oburzył. — Nie będziesz mi mówiła, co jest dobre dla mojego dziecka.

— Wcale ci nie mówię, tylko sugeruję. Najwyraźniej mocno przeżył rozwód rodziców, a teraz próbuje zwrócić na siebie twoją uwagę.

— Weź się lepiej zajmij Bartkiem i pensjonatem!

Artur wstał i wyszedł do ogrodu.

„Zajebicie, po prostu zajebicie”. Miśka miała już wszystkiego dość.

Rozdział 12

— Miałeś ze mną świetny seks, to wszystko! — Michalina odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Artur zdenerwował ją po raz kolejny, odkąd przyjechał. Kłócili się niemal codziennie.

— Nieprawda.

— Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia.

— Ty byłaś? A ja to co? Przyjechałem tutaj — zatoczył ręką koło — bo sądziłem, że spędzimy miło czas, a ty nawet się nie starasz, aby się dogadać z moimi dziećmi.

— Słucham? — Michalina zatrzęsa się ze złości. — Teraz chcesz mnie oskarżać?

— Ta rozmowa nie ma sensu!

— Bo to nie jest rozmowa. Naskoczyłeś na mnie, że znów coś źle zrobiłam, że nie smaruję miodem dupy twojemu rozpieszczonemu synalkowi!

— Zamilcz, bo powiesz o jedno słowo za dużo!

Miśka była bliska płaczu.

— Może powinniśmy się rozstać. — Słowa więzły jej w gardle.

— Może i masz rację.

Artur próbował ze wszystkich sił, aby te wakacje były naprawdę miłe, ale okazały się klapą. Dodatkowo Michalina niczego mu nie ułatwiała.

Trawiony wściekłością wypadł z domu. Drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem. Wsiadł

do auta. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien prowadzić — cały aż się gotował — ale chciał jak najszybciej uciec. Dokądkolwiek, przed siebie. Włączył silnik, wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

Ledwo wyjechał z miasteczka, a zobaczył przed sobą policjanta machającego lizakiem.

— Cholera jasna! — zaklął.

Zjechał na pobocze i opuścił szybę.

Policjant rzucił okiem na dokumenty i poszedł na kilka chwil do radiowozu, by następnie wrócić do Artura. Wypisał mandat. Mężczyzna nawet się z nim nie kłócił. Miał dosyć dzisiejszego dnia, tych wszystkich emocji. W tym wieku? Po co mu to wszystko?

Po co mu taka miłość?

Wrócił do pensjonatu po północy.

— Dzieci już śpią — poinformowała go Michalina. Czekwała na niego w kuchni.

Mężczyzna rzucił kluczyki na stół i usiadł na taborecie.

— Miśka, tak dalej nie może być. To nie ma sensu! To nie jest dobry moment! — mówił

Artur uniesionym głosem.

— Zawsze! Zawsze jest dobry moment na to, by zostać, by uratować miłość. By być.

Zawsze! Jeśli tylko byś chciał. — Michalina wycelowała w niego palec. — Jesteś draniem! Nikt nam życia nie zwróci — kontynuowała kobieta. Jej głos drżał, a ręce się trzęsły. Bała się rozstania. Nie chciała stracić Artura. — Nie cofnie, nie da możliwości, by zacząć jeszcze raz...

Nikt nam tego nie odda, tego, co jest teraz między nami. Powinniśmy tylko nad tym popracować.

— Michalina wiedziała, że tonie, jednak chwytła się swoich słów niczym tonący brzytwy.

Artur odwrócił się i poszedł do swojego pokoju.

A ona podeszła do odtwarzacza i puściła IRA.

Zatrzymaj mnie, nie daj mi odejść.

Zapomnę cię, nie będzie już nic.

Cienie we mgle, jak znajdę drogę?

*Jutro już nikt, a dziś jeszcze my.*²

Następnego dnia Artur z dziećmi wyjechał.

Od tamtego dnia minęło kilka dni. Pościel pachniała słodkimi, mdłymi perfumami.

Drażnił go ten zapach. Otworzył jedno oko, potem drugie; głowa bolała go od nadmiaru wypitego wczoraj alkoholu. Tak świętował swoje urodziny.

Artur podniósł się na łokciu i spojrzał w prawo. Obok niego spała naga młoda kobieta.

Nowa sekretarka z jego biura. Jakże łatwo mu z nią poszło! Za łatwo. Brzydził się sobie i jej zachowania. To ona namawiała go, żeby skończyli wieczór u niego.

Nie była piękna, ale jej skóra była gładka, a ciało młode, jędrne. Chętne — i Artur na tym skorzystał. Teraz wstał, włożył bokserki i wyszedł na balkon. Zapalił papierosa. Gapił się na dachy pobliskich bloków.

— Nie za zimno? — usłyszał za sobą kobiecy głos. Po chwili ręka dziewczyny go dotknęła.

Artur się wzdrygnął.

— Musiałem się przewietrzyć. Wypiliśmy wczoraj dwie butelki szampana.

Dziewczyna zachichotała. To był pusty śmiech, który go zirytował. Po chwili wyjęła papierosa z jego ręki i sama się zaciągnęła.

— O czym myślisz? — zapytała, wydmuchując kóleczka dymu.

— O niczym.

— Nie kłam. — Spojrzała na niego z ukosa.

— O pewnej kobiecie.

— Kobiecie... — westchnęła zrezygnowana.

— Tak, zerwaliśmy. Ja zerwałem i chyba popełniłem błąd.

— Ale tutaj jestem ja... — Dotknęła jego ramienia. — Dagmara, gdybyś nie pamiętał
mojego imienia.

„Dobrze, że przypomniała” — pomyślał Artur, który faktycznie zupełnie zapomniał, jak miała na imię.

— Za godzinę musimy wyjść. Wiesz, gdzie jest łazienka? — zapytał, wcale na nią nie patrząc.

— Tak. Odświeżę się.

Godzinę później siedzieli w samochodzie. Artura wszystko drażniło. Pogoda, bo siąpił

deszcz, i korki. I to, że rano nie wypił kawy. Dagmara paplała o czymś podekscytowana, a on jej w ogóle nie słuchał. W pewnym momencie zatrzymał samochód z piskiem opon.

— Coś się stało? — zapytała.

— Wiem, że pomyślisz, że jestem dupkiem... Ale jestem też twoim szefem i wiesz, takie układy...

— Nie chcesz, żeby ludzie z firmy o nas gadali? — Dagmara patrzyła na niego swoimi dużymi, zielonymi oczami. Była taka młoda. Pewnie jeszcze młodsza od Miśki.

I po cholere myśli o Michalinie?

— Tak, chyba tak. Wsiądziesz tutaj?

Zatrzymali się dwie przecznice przed biurem.

— Ale pada.

Artur spojrział na szyby. Deszcz spływał po nich strumieniami. Zupełnie tak, jak kiedy jechali do...

— Gdzieś tutaj... — Nachylił się do schowka. — O, jest parasolka. Możesz ją zatrzymać.

Dagmara bez słowa wysiadła z auta, trzasnąwszy drzwiami. Powtórki na pewno nie będzie.

— Cholera jasna! — zaklął mężczyzna, waląc rękoma o kierownicę. — Ja naprawdę jestem dupkiem.

Artur skończył czterdzieści pięć lat. „To chyba naturalne, że w tym wieku człowiek kwestionuje własne życie, wybory, podjęte decyzje — pomyślał. — Mam dwoje dzieci.

Zdrowych dzieci. Tyle się słyszy o różnych chorobach. Fajną pracę. Kobiety, które same pchają się do mojego łóżka...”. Ostatnio Artur zmienił też samochód. Jego była żona oczywiście wbiła mu szpileczkę, że to kryzys

wieku średniego, ale on miał to gdzieś. Cieszył się, że stać go na taką furę.

Miał naprawdę dużo, a jednak przytłaczał go jakiś dziwny smutek. Dlaczego czuje się taki samotny? Opuścił powieki. Przed oczami stanęła mu Miśka. Znow zaklął w duchu. Dlaczego nie mógł o niej zapomnieć? Pochodzili z dwóch różnych światów, ona nie chciała należeć do jego, a on nie rzuci wszystkiego i nie pojedzie w Bieszczady. Co by tam robił? Kozy pasł?

Roześmiał się. To był pusty, smutny śmiech.

2 IRA, *Nie daj mi odejść.*

Rozdział 13

Jadwiga wstała skoro świt. Wyszła na taras; ogród tonął w mroku. Uśmiechnęła się. Od tak dawna nie czuła w sercu takiego szczęścia. Kawałek po kawałku wracało do niej życie. Był

sierpień, a poranki były już dużo chłodniejsze od tych czerwcowych czy lipcowych. Stara kocica dźwignęła się z trawy, miauknęła, otrząsnęła z futra poranną rosę. Powietrze pachniało mokrą trawą i słodczą malw. Jadwiga spojrzała w bezchmurne niebo.

— Dzisiaj kolejny dzień upałów — westchnęła.

I nagle znow wróciła pamięcią do tych pierwszych dni po zaginięciu Amelii. Nigdy nie zapomni bólu, jaki wtedy poczuła. Te pierwsze dni były pełne pretensji i wzajemnego obwiniania się. Ona obarczała winą Maćka, a on ją. „To ty jesteś kobietą i matką, nic nie spostrzegłaś. Byłaś zajęta pracą”. „A ty? Co ty zrobiłaś?” Nie dotykali się, nie przytulali, nie wspierali. Jadwiga zaczęła chodzić do kościoła. Nigdy nie była specjalnie wierząca i wtedy też nie wierzyła, ale chodziła. Musiała coś ze sobą zrobić, bo inaczej by zwariowała. Amelia nie zadzwoniła. A ona chciałaby się tylko upewnić, że naprawdę nic jej nie jest. Policja ani fundacja nie natrafiły na żaden ślad. Raz tylko jakaś kobieta do nich zatelefonowała, że widziała ich córkę, jak

wsiadała do samochodu z chłopakiem.

„Pani, nikt jej tam siłą nie zaciągnął” — powiedziała Jadwidze.

Codziennie wieszała w jakimś nowym miejscu plakaty ze zdjęciem Amelii. Przecież ktoś musiał widzieć jej córkę. Nie rozplynęła się w powietrzu. Detektywi zakończyli pracę, informując Macieja i Jadwigę o ciąży Amelii i o Robercie. Nie mieli wątpliwości: ich córka uciekła.

To nie tak, że małżeństwo Maćka i Jadwigi przedtem było udane. Rozpadło się już dużo wcześniej, zanim córka uciekła, ale żyli ze sobą jak koledzy. Bo przyjaciółmi też nie byli.

Rodzicami, partnerami w biznesie, ale nie małżeństwem, nie przyjaciółmi, nie kochankami.

Jadwiga doskonale pamiętała, ile razy nie chciało jej się wracać do domu. Szczególnie wtedy, kiedy wiedziała, że Maciek tam będzie. Niekiedy po spotkaniu z kontrahentem szła do sklepu.

Nie musiała zrobić konkretnych zakupów, po prostu chciała być w domu jak najpóźniej. Cieszyła się z kolejki do kasy i z tego, że droga powrotna była zakorkowana.

Maciek bardzo kochał córkę, jednak Jadwiga nie sądziła, by jeszcze czuł coś do niej.

Oczywiście, że zapewniał ją, że kocha, ale to chyba z przyzwyczajenia albo żeby się nie czepiała.

Rok 1997

Jadwiga wróciła do domu. Postawiła siatki z zakupami w kuchni. Umyła ręce i przeszła do pokoju.

— Jak ten nowy kontrahent? — zapytał Maciek, nie odrywając wzroku od telewizora.

— Wszystko załatwiłam. Dał nam spory rabat... — Zamilkła, bo zdała sobie sprawę, że każda ich rozmowa wygląda podobnie. W pracy o pracy, po pracy o pracy.

— Jest Amelka?

— U siebie.

— Dobrze. Może zrobię na kolację naleśniki.

— Mnie to obojętne — powiedział bez entuzjazmu.

— Wszystko ci zobojętniało.

— Daj spokój. — Maciek zmarszczył brwi.

— Czy ty mnie jeszcze kochasz? — zapytała, a mąż zaczął się śmiać.

— Jak ja lubię te wasze babskie zagrywki!

— To nie żadna zagrywka. Po prostu pytam.

— Jesteśmy razem przeszło osiemnaście lat.

— To nie jest odpowiedź. Można być z kimś tyle lat z przyzwyczajenia.

— Daj już spokój!

Był zły. Wziął do ręki pilota i zaczął przeskakiwać po kanałach.

— Kiedy ostatnio się kochaliśmy? — Jadwiga miała łzy w oczach. Nie była jedną z tych uzalających się nad sobą kobiet, ale dzisiaj miała gorszy dzień.

— Nie wiem. A ty co, w kalendarzu musisz odnotować? Specjalnie wywołujesz kłótnie?

— Nie chcę się kłócić.

— Ale to właśnie robisz! — Rzucił pilota i wstał. — Nie przyszło ci do głowy, że mogę być zmęczony? Mam zbyt wiele na głowie.

Jadwiga chciała jeszcze coś powiedzieć, ale po schodach zbiegła Amelia.

— Cześć — rzuciła.

— Cześć, kochanie. Robię naleśniki — powiedziała Jadwiga.

— Odchudzam się.

— To znaczy, że nie będziesz jadła?

— Nie. — Córka stanęła obok ojca. Byli podobni jak dwie krople wody.

— Ja też już straciłem apetyt — dodał Maciek.

— To może choć sałatkę zrobię? — Jadwiga starała się ratować sytuację.

— Jak chcesz.

Rok 1999

Ich małżeństwo rozsypywało się każdego dnia. A po ucieczce Amelii wrzeszczeli na siebie i nieustannie się kłócili.

Jadwiga wyszła właśnie z biura osób zaginionych; zachodziła tam regularnie, by sprawdzić, czy nie ma żadnych nowych informacji. Kiedy sięgnęła do torebki, zobaczyła Maćka, który stał z rękoma w kieszeniach i gapił się na nią.

— Co ty tu robisz?

— Zauważyłem twój samochód, a miałem spotkanie z klientem...

— Że też masz czas na takie rzeczy. Teraz! — Jadwiga dała upust emocjom.

— Powiedziałaś im, że Amelia dzwoniła i ma się dobrze? I że nie chce, byśmy jej szukali? — Maciej wpatrywał się w żonę tym swoim przenikliwym spojrzeniem. Spojrzeniem stalowych oczu, chłodnych i opanowanych.

Jadwiga pobladła. Oczywiście, że nikomu nie powiedziała o tym telefonie, bo zaniechanoby poszukiwań.

Maciek nie spuszczał z niej wzroku.

— Spotykasz się z klientami, kiedy nasza córka...

— Uciekła i nie chce nas znać.

— Jesteśmy jej rodzicami!

— Jesteśmy i to się nie zmieni, a kiedy jej przejdzie, wróci do domu. Chodź, pogadamy.

— Złapał ją za rękę. — Napijmy się kawy.

— Nie mam ochoty na kawę w takiej sytuacji.

— Jadzia... My... Ty musisz przestać.

Jadwiga zeszywniała. Co mąż miał na myśli?

— Z czym przestać?

— Wydajesz pieniądze na kolejne osoby, organizacje, drukowanie plakatów, a sprawa jest już wyjaśniona.

Gdyby ją uderzył, nie zaboląoby jej to tak bardzo.

— Martwisz się, że wydaję pieniądze? — Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie chciałem, by to tak zabrzmiało.

Jadwiga milczała. Przetwarzała w głowie wszystkie jego słowa.

— Ale zabrzmiało. Każdy grosz — sączyła przez zaciśnięte usta — wydałam na naszą córkę.

Schyliła głowę, rozpięła torebkę i zaczęła szukać portfela. Znalazła go i wyjąwszy z niego kartę kredytową, oddała ją Maciejowi.

— Nie wygłupiaj się! — Maciek uniósł ręce.

— Nie. Proszę, weź. Nie potrzebuję jej.

— Jadwiga!

Kobieta odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu.

— A niech cię szlag trafi! — złorzeczyła.

Każdy następny dzień, kiedy małżonkowie przebywali w tym samym pomieszczeniu, przynosił im tylko kłótnie. A potem? Potem pojawiła się ta młoda dziewczyna, dla której Maciej stracił głowę.

Rozwiedli się szybko. Nie bezboleśnie, bo ból po rozstaniu nachodził ją falami, ale mimo to Jadwiga odczuła ulgę, że mają to już za sobą.

Przez następnych kilka miesięcy nie pracowała; mogła sobie na to pozwolić. Zamiast tego rozmyślała, co ze sobą począć. W końcu kupiła chałupę na południowym krańcu Polski. Nawet jej nie obejrzała, tylko wzięła w ciemno. Co tam będzie robiła? Może wróci do pracy nauczycielki? Zawsze znajdzie się w pobliżu jakaś szkoła.

Jadwiga nalała sobie mleka do kubka. Ciepły napój działał na nią usypiająco. Potarła dłońmi kark. Już miała iść do łazienki, by wziąć prysznic, kiedy usłyszała dzwonek telefonu.

— Halo?

— To ja.

Maciej. Byli już od kilku miesięcy po rozwodzie.

— Cześć. Co u ciebie? — zapytał ciepłym głosem.

— Dzwonisz po to, żeby zapytać, co u mnie? — Jadwiga poczuła, że twarz jej tężeje.

— Tak, a co? — Wyczuła wahanie w jego głosie.

— Jakoś leci.

Zacisnęła mocno powieki.

— Może chciałabyś pogadać? Napić się kawy...

— Chyba masz z kim pić kawy — wbiła mu szpilkę.

— No mam. Ale wciąż mi na tobie zależy. Zresztą...

— Niedługo wyjeżdżam.

— Dokąd?

Wzruszyła ramionami, choć on nie mógł tego zobaczyć.

— Przed siebie. — Nie musiała mu się z niczego tłumaczyć. I dobrze.

— Nigdy taka nie byłaś.

Rzeczywiście, Jadwiga nigdy nie była spontaniczną osobą, lubiła mieć wszystko zaplanowane. A jednak życie zrobiło jej psikusa. A raczej jej własna córka.

— Trochę się u mnie zmieniło ostatnimi czasy — westchnęła.

— No tak.

Zaległa cisza.

— Prześlę ci pocztówkę.

— Będę czekał. — Jadwiga dałaby sobie rękę uciąć, że w tej chwili Maciek się uśmiecha.



— No dobrze, a więc...

— Jadzia, zaczekaj...

— Tak?

— Kochałem cię. Naprawdę cię kochałem.

Rozłączyli się, a jej serce zabiło tak jakoś żwawiej. Smutno by jej było, gdyby dowiedziała się, że przez te wszystkie lata była niekochana.

Położyła się na trochę. Musiała przysnąć. Śniło jej się, że jest koło jakiejś dzwonnicy, a dzwon bił tak głośno, że omal nie rozsadziło jej bębenków w uszach. Miała dosyć tego dźwięku.

Obudziła się i mimo to dalej go słyszała. Dopiero po chwili oprzytomniała; ktoś dzwonił

do drzwi. Rękoma przejechała po włosach i wstała. Otworzyła.

W progu stał Maciek.

— Co ty tu robisz? — zapytała zdziwiona.

— Rozstałem się z Julią. Ona... To był błąd.

— Dzisiaj się rozstałeś?

— Nie. Miesiąc temu i...

— Czemu mi nie powiedziałaś?

— No bo co by to zmieniło? — Wzruszył ramionami.

— Faktycznie, nic. Maciek, ty i ja... — Jadwiga chwyciła w dłoń poły szlafroka.

— Mogę wejść? — zapytał. Był nieogolony, koszulkę miał pomiętą. Mimo to wyglądał

seksownie. Przypominał jej tego zagubionego chłopaka, którego poznała niemal dwadzieścia lat wcześniej.

Weszli do przedpokoju, a Maciek wyciągnął w jej stronę ramiona. Przytuliła go. Kiedy na siebie spojrzeli, poczuli to coś, co kiedyś zgubili. Zaczęli się zapamiętale całować. Zdjął z niej szlafrok i bawełnianą koszulkę, w której spała. Nie oponowała. Sama zaczęła go rozbierać. Po kilku chwilach znaleźli się w łóżku. Kochali się z taką miłością jak kilkanaście lat temu. Jakby dopiero się poznali, jakby nie liczył się dla nich cały świat.

Godzinę później Maciek zaczął zbierać ubrania z podłogi. Jadwiga uśmiechnęła się do byłego męża nieśmiało, zarzucając na siebie prześcieradło. Maciek błagał w duchu, aby się odezwała, aby zaproponowała,

żeby został. Nie zrobiła tego.

A mogła go zatrzymać — jednym słowem.

Rozdział 14

Michalina usiadła na ławce i patrzyła na strumyk, który wił się wśród krzewów niczym srebrna wstążka. Nie zwróciła uwagi, że nie jest sama, dopóki obok nie usłyszała męskiego głosu:

— Pozwoli pani, że się przysiędę?

Odwróciła w jego kierunku głowę. Mężczyzna był wysoki, szczupły i prosty niczym struna, miał siwe włosy, krzaczaste brwi i równo przyciętą siwą brodkę. Trudno było odgadnąć jego wiek, ale na pewno miał koło siedemdziesiątki. Prezentował się bardzo elegancko w lnianych jasnych spodniach i białej koszuli z krótkim rękawem. Na głowie miał słomiany kapelusz, spod którego wychodziły srebrne włosy. Michalina pomyślała, że wygląda jak człowiek z innej epoki.

— Tak, proszę.

Mężczyzna usiadł obok niej.

— Mieszka pani w Złotkowie? — Ton jego głosu był dobrotliwy, ciepły.

— Tak. A pan?

— Jestem tutaj przejazdem. Kiedyś kochałem pewną kobietę, która tutaj mieszkała.

Michalina przygryzła wargę.

— Przyjechał ją pan odnaleźć? — zapytała zaciekawiona.

— Nie. — Mężczyzna się uśmiechnął. — Ona jest mężatką, nawet nie chcę jej szukać.

Wie pani, po tylu latach... A tak w ogóle, nie przedstawiłem się.
Wincenty Zaborowski.

— Michalina... Po prostu Michalina.

Starzec uśmiechnął się, chwycił rękę Miśki w swoją starą dłoń i złożył na niej pocałunek.

— Bardzo mi miło.

— Czy to była nieszczęśliwa miłość? — Michalina była ciekawa tej historii.

— Dureń był ze mnie, i tyle. Pozwoliłem jej odejść. Nie powinniśmy zbyt łatwo rezygnować ani się poddawać. Życie bywa niesprawiedliwe, dokonujemy złych wyborów. Ale zawsze można zawrócić i wszystko naprawić... Albo przynajmniej postarać się naprawić. Słowo „przepraszam” czasami nie chce nam przejść przez gardło. A powinniśmy przeproszać i kochać, to powie pani każdy człowiek w moim wieku. — Zamyślił się. — Kiedy byłem z nią, czułem, że świat należy do nas. Kochałem, kiedy się śmiała, a gdy się wzruszała, łzy błyszczały na jej rzęsach. I ja te łzy ssałowywałem. — Uśmiechnął się. — Tańczyliśmy nago w ogrodzie. — Zachichotał. — A potem... Potem z niej zrezygnowałem, bo chciałem jeszcze coś mieć z tego życia. Nie chciałem stałych związków, pragnąłem zabawy. Ona miała wtedy osiemnaście lat, ja dwadzieścia cztery. I kiedy wróciłem trzy lata później, by jej powiedzieć, że popełniłem błąd, to było już za późno. Na wszystko za późno... Ona miała męża i była w ciąży. A ja przegapiłem swoją szansę. Utracone szanse bolą najbardziej — westchnął. — Przepraszam, nie powinienem pani zanudzać, ale... Kiedy panią zobaczyłem, pomyślałem, że potrzebuje pani tych słów.

— Dlaczego? — Michalina spojrzała na staruszkę uważnie.

— Każda młoda osoba powinna o tym wiedzieć, żeby czegoś nie przegapić. Na koniec życia zbyt wielu rzeczy się żałuje.

I nagle Michalinie zaczęło się zdawać, że strumyk szmerze wiersz księdza Twardowskiego:

Nie płacz w liście

nie pisz, że los ciebie kopnął

*nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia
kiedy Bóg drzwi zamyka — to otwiera okno*

odetchnij popatrz

spadają z obłoków

*małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia
a od zwykłych rzeczy naucz się spokoju*

i zapomnij że jesteś gdy mówisz że kochasz³

³ Ks. Jan Twardowski, *Kiedy mówisz*.

Rozdział 15

Kogut pianiem oznajmił nadejście świtu. To była nowość dla

dziewczyny, która przywykła do miejskiego gwaru. A tu panowała cisza, przerywana dźwiękami charakterystycznymi dla małego miasteczka lub wsi.

Wiktoria wzięła szybki prysznic, ubrała się i poszła do kuchni, gdzie przy stole siedziała już babcia. Była zamyślona, chyba nawet jej nie zauważyła. Trzymała w ręku rodzinny album.

— Babciu?

Jadwiga drgnęła.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Myślałam o moim byłym mężu. Niepotrzebnie...

Powietrze w pokoju zrobiło się ciężkie od smutku, jakby wilgoć, jaka panowała tego ranka na zewnątrz, wtargnęła do środka.

— A co z dziadkiem? — zapytała Wiktoria.

— Rozwiedliśmy się.

— Dlaczego?

— Jedno obwinało drugie o to, że twoja mama odeszła. Dlatego. A może tak naprawdę oddaliliśmy się od siebie dużo wcześniej? Nic nas nie łączyło oprócz interesów.

— To smutne.

— Czy ja wiem? — Jadwiga wzruszyła ramionami. — Niekiedy najlepszym wyjściem jest rozstanie.

— Podoba mi się tu — powiedziała Wiktoria, by oderwać babcię od smutnych przemyśleń. — Góry i pagórki porośnięte lasami, doliny i szemrzące w nich strumyki.

Bieszczady to wytchnienie.

Chwilę później Wiktoria i jej babcia popijały herbatę w ciepłej kuchni. Dziewczyna czuła się tutaj jak u siebie. Jakby to miejsce, ten dom miały ramiona i ją obejmowały. A ona czuła się w tych ramionach bezpiecznie.

— To gdzie mam iść po te jajka?

— Do Marka. Zaraz narysuję ci mapę. Nie wiem, czy te twoje gogle czy inne dziupiesy mają tu zasięg.

— No cóż, kury tego twojego Marka znoszą takie jajka, że mogłabym jeść jajecznicę na śniadanie, obiad i kolację.

— Dzień dobry. — Wiktoria uśmiechnęła się do mężczyzny, który stał przy płocie i coś majstrował. — Przyszłam po jajka. Wiktoria jestem.

— Wnuczka pani Jadwigi? — Marek odłożył młotek.

— Tak jest.

— Wchodź do środka.

Dziewczyna pchnęła furtkę i weszła do ogródka. Nagle nie wiadomo skąd u jej boku pojawiła się świnia. Prawdziwa świnia, która wilgotnym nosem dotknęła jej nagiej łydki.

Wiktoria krzyknęła i odskoczyła jak oparzona.

— Nie bój się! To jest Fred. — Marek śmiał się wniebogłosy.

— Fff... Fred?

— Fred jest łagodnym wieprzkiem. Raz na jakiś czas wypuszczam go, by pohasał sobie po ogródku.

— Myślałam, że Złotkowo to miasteczko, a nie wieś!

— Wiejskie miasteczko. — Marek śmiał się z miny dziewczyny. — Możesz podrapać go po grzbiecie. Uwielbia to.

— To gdzie te jajka? — Dziewczyna była skonsternowana całą tą sytuacją.

— Wiki...

— Tak? — Wiktoria przekrzywiła głowę tak samo, jak robiła to jej mama.

— To normalne, że w Bieszczadach są zwierzęta. I to normalne, że ludzie je hodują.

— Przepraszam — dziewczyna lekko się oburzyła — ale czy myśli pan, że jestem jakąś idiotką, której trzeba tłumaczyć, że ludzie chowają zwierzęta?

Markowi znów chciało się śmiać, ale zachował powagę.

— Więc dla jasności: mam tego świadomość. Po prostu nie przywykłam do widoku zwierząt chlewnych z tak bliska. Mieszkam w Londynie, gdzie świnie nie biegają po ogrodzie.

— Wieprz. Fred jest wieprzem. Bardzo nie lubi, kiedy mówi się na niego „świnia”.

— Czy pan się ze mnie nabija?

— Ależ skąd. Jakżebym śmiał.

Wiktoria spojrzała mu w oczy. Igrały w nich wesołe chochliki. W końcu też się roześmiała.

— Czy ma pan w obejściu jakieś inne zwierzęta, na które powinnam uważać?

Marek potarł ręką podbródek.

— Nornice w ogrodzie, myszy w piwnicy i na strychu, krasulę w oborze, Freda już znasz.

Niech pomyślę... A! I w moim gabinecie jest wróbelek.

— Trzyma pan wróbla w pokoju? — Wiktoria nie mogła się nadziwić.

— Uratowałem go. Miał złamane skrzydło. Niedługo pozwolę mu odlecieć. — Pokiwał

głową. — Podoba ci się tutaj?

— W Bieszczadach?

— W Bieszczadach.

— Bardzo.

— To kraina magii. Chodząc po połoninach, możesz spotkać skrzaty.

„Czy ten facet oszalał?” — pomyślała Wiktoria.

— Bieszczadzkie legendy to nie żadne ludowe bujdy... Sama się przekonasz, ile w nich prawdy!

„Jeśli to legendy o dzikich świniami porywających zbłąkanych wędrowców, to jestem w stanie uwierzyć”.

— To którą do tych jajek?

Wiktoria chciała jak najszybciej czmychnąć do domu. Chwila w ogrodzie pana Marka dostarczyła jej więcej wrażeń niż cały złotkowski tydzień.

Rok 1999

Na początku dziewiątego miesiąca ciąży Amelia znalazła się we Frauenhaus Kiel, domu dla kobiet. Robert uciekł od niej, zostawiwszy namiary na to miejsce. Dziewczyna była bez grosza przy duszy. Bała się zadzwonić do rodziców. Wiedziała, że ojciec by jej nie wybaczył

tego, co zrobiła. A mama? Mama w ogóle nie wiedziała, że Amelia jest w ciąży! Dziecko dawało jej siłę do działania. Pilnie uczyła się niemieckiego i angielskiego. Chodziła na spotkania z położną i dowiadywała się ciekawych rzeczy o rozwoju płodu. Z niecierpliwością wysłuchiwała wykładów jednej z pracownic na temat tego, że może oddać dziecko do adopcji. Samo słowo „adopcja” budziło w niej gniew.

— Zatrzymam cię — przemawiała z czułością do swojego brzucha. — Nigdy nie pozwolę, by ktoś mi cię odebrał.

Jakiś czas później Amelia urodziła zdrową dziewczynkę. W domu dla kobiet zaprzyjaźniła się ze straszą opiekunką, Polką, która przybyła do Niemiec dwadzieścia lat temu.

Klara była przysadzistą kobietą po sześćdziesiątce. Amelii przypominała dobrotliwą babcię.

— Nie bój się — powiedziała jej, kiedy siedziały w pokoju i piły herbatę.

— Dziewczyny mówią... Że Jugendamtę odbierają dzieci kobietom w takiej sytuacji jak moja.

— Nikt ci nie odbierze dziecka. Jesteś tutaj bezpieczna.

Amelia spojrzała w dobrotliwe oczy pani Klary.

— Ufam pani — powiedziała, obejmując rękoma brzuch.

— A ja nie zawiodę twojego zaufania.

Dziecko zaczęło kwilić w łóżeczku. Amelia wstała i podeszła do zawiniątka.

Mała była ubrana w żółte śpioszki, na głowie miała białą czapczkę, a na rączkach malutkie rękawiczki. Płakała coraz głośniejsze. Amelia spojrzała na Klarę.

— I co teraz? — powiedziała spanikowanym głosem.

— Malutka jest głodna. Musimy ją nakarmić.

— Powiedziałam już, nie będę karmić piersią.

— Dobrze. Przyniosę w butelce mieszankę. Usiądź na kanapie, weź

córeczkę, a ja zaraz wrócę.

Klara wyszła z pokoju.

Amelia patrzyła na czerwoną twarz dziewczynki, która darła się wniebogłosy.

— Już dobrze, już dobrze — próbowała ją uspokoić, ale mała nadal płakała.

Klara wróciła po kilku chwilach i podała dziewczynie butelkę. Ta przyłożyła smoczek do ust córeczki. Mała po jakimś czasie zaczęła wreszcie ssać.

— Skończyłaś osiemnaście lat — zaczęła Klara. — Trzeba ci wyrobić dokumenty. Czy myślałaś, żeby podjąć jakąś pracę?

— Tak, ale... — Amelia spojrzała z czułością na córkę.

— Oczywiście nie teraz.

— Tak, będę musiała pracować.

— Dobrze. Nic się nie martw. Pomożemy ci. Ja ci pomogę.

— Dziękuję.

Klara położyła dłoń na ramieniu młodej matki.

— Weź prysznic, a ja przez chwilę zajmę się małą. W ogóle myślałaś o tym, jak jej dasz na imię?

— Wiktoria. Od zwycięstwa. Zwycięży każdą przeciwność losu.

Klara uśmiechnęła się do nich.

Chwilę później dziewczyna weszła do wanny, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że powitała na świecie córeczkę. Jest mamą. Jest mamą. Będzie kochała Wiktorię i obiecuje sobie, że poświęci jej cały swój czas.

Napuściła wody. Była cała obolała po trudach porodu. Odchyliła głowę i zamoczyła ciało.

Kąpiel nie trwała długo, jednak gdy tylko Amelia wyszła z wanny i wytarła się ręcznikiem, od razu poczuła się lepiej.


Kiedy wróciła do pokoju, Klara wciąż tam była. Amelia uśmiechnęła się do niej i usiadła na łóżku.

— Boję się... — odezwała się po chwili. — Tych nieprzespanych nocy. Karmienia...

Wszystkiego.

— Dzieci mają to do siebie, że szybko wyrastają z pieluszek, i nawet się nie obejrzą, a Wiktoria będzie przesypiała całe noce.

— Dziękuję, pani Klaro. — Spojrzała na nią ciepło. W jej słowach było tyle dojrzałości.

Każdego dnia Amelia uczyła się macierzyństwa. Nie lubiła zostawiać Wiktorii w 

łóżeczku, lepiej się czuła, kiedy dziewczynka spała obok niej. Czuła jej

bijące serduszko i ciepło.

Była zmęczona nieprzespanymi nocami, ale z przyjemnością dotykała delikatnej skóry dziewczynki, całowała ją w główkę pachnącą talkiem.

Dwa miesiące później Klara przyszła do pokoju Amelii uradowana.

— Mam pomysł. — Na twarzy starszej kobiety malowało się podekscytowanie. — Co byś powiedziała na to, żebyśmy zamieszkały razem?

— Ale... dlaczego?

— Bo mieszkam sama. Mój mąż zmarł kilka lat temu. Mam dom. Nie mam dzieci, a zawsze o nich marzyłam... A poza tym ty i Wiktoria mnie potrzebujecie.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Dobrze to przemyślałam.

W oczach młodej matki widziała bezgraniczną wdzięczność. Ona i Wiktoria będą miały DOM.

Kilka tygodni później Amelia z niemowlakiem na rękach weszła do przytulnego salonu, który tonął w blasku świec. Był średniej wielkości, ale bardzo przytulny. Sofa i dwa fotele wyściełane były jakimś miękkim miodowym materiałem. Pod oknem stał stół, dookoła którego ustawiono cztery krzesła.

— Usiądź, rozgość się. Twój pokój przygotowałam na górze, ale najpierw może zjesz zupę? Pomidorową.

Amelia uśmiechnęła się. Jak ona lubiła zupę pomidorową! Kiedyś mama gotowała pomidorówkę w każdy piątek.

Godzinę później weszła do sypialni na piętrze. Pokój był przestronny, a okna duże. „To dobrze — pomyślała. — Będzie widny”. Ściany ozdabiała tapeta w drobne zielone wzorki, łóżko było pokryte oliwkową narzutą, a pod oknem stało turystyczne łóżeczko.

— Wiem, że Wiktoria śpi z tobą, ale pomyślałam, że może kiedyś się wam przyda.

— Dziękuję. Gdy tylko stanę na nogi, zacznę pracować.

Klara dotknęła jej ręki.

— Nie ma pośpiechu, na razie niczego nam nie braknie.

Po dwóch miesiącach pobytu u Klary Amelia zatęskniła za mamą. Nie dlatego, że Klara była zła. Klara była świetną kobietą, która dużo im pomogła. Ale mama to mama. Amelia miała do niej tyle pytań związanych z macierzyństwem. Niekiedy uważała, że matką jest po prostu...

do kitu. Gdy po raz piąty tej samej nocy wstawała, aby nakarmić Wiktorię, czasami klęła w duchu, na czym świat stoi. Nieraz przespałaby cały dzień, nie wychodząc na żadne spacerki.

Wstydziła się do tego przyznać przed przyjaciółką, ale miała dni, gdy nic jej się nie chciało.

Pół roku później znalazła z pomocą Klary pracę w kawiarni. Mówiła już dobrze po niemiecku, może nie płynnie, ale dogadać się umiała. Uczyła się tego języka pilnie przez rok.

Uzgodniły z Klarą, że będą się zmieniały w opiece nad Wiktorią. Amelia pracowała trzy dni, a Klara cztery.

Pierwszy dzień w nowej pracy był dla dziewczyny ciężki. I to nie dlatego, że jej obowiązki były jakoś specjalnie trudne, ale ponieważ to był pierwszy raz, kiedy na tak długo rozstała się z córką. Żołądek co i rusz ją

pobolewał. Znała ten ból. To z nerwów.

Wieczorem zdecydowała się zadzwonić do mamy. Długo się do tego zbierała.

— Cześć, mamó — powiedziała, kiedy usłyszała w słuchawce głos Jadwigi.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Jesteś tam? — Dziewczyna bawiła się rąbkiem narzuty. Była zdenerwowana.

— Tak. Jestem. Co u ciebie?

— Chciałam ci coś powiedzieć.

Jadwiga przełknęła ślinę. Miała ochotę uściskać córkę. Co potoczyło się nie tak, że są sobie tak obce? Co spowodowało, że Amelia uciekła?

— Oczywiście, kochanie, mów.

— Mam dziecko...

— Dziecko...? Detektyw i tato powiedzieli mi o ciąży, ale nie sądziłam, że urodzisz...

— Urodziłam dziewczynkę.

— Aha. — Jadwiga zamilkła.

„Znów to napięcie” — pomyślała Amelia.

— I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Urodziłam ci wnuczkę, a ty...?

— Potrzebujesz pieniędzy?

Tego było za wiele. Czy jej matka myślała, że świat zaczyna się i kończy na pieniądzach?

Ona i ojciec byli tacy sami. Nie na to miała nadzieję. Tama puściła.

— Wsadź sobie w dupę te swoje pieniądze! Myślałam, że zapytasz, jak się czujemy! Co u nas słychać! Że będziesz chciała zobaczyć Wiktorię!

Rozłączyła się. Po chwili siedziała na podłodze oparta o ścianę i zalana łzami. Gdyby tylko matka nie wspomniała o pieniądzach... A może jej też było trudno? Co ją tak rozzłościło?

Mama przecież była zaskoczona. To dla niej też była nowość. Została babcią.

Nie! Nie zależało jej już ani na córce, ani na wnuczce. Ona chciała jak zwykle wszystko załatwić pieniędzmi. Zapomoga jako plaster na wyrzuty sumienia.

Ucieczka była wybawieniem. Amelia dobrze zrobiła, że opuściła rodzinny dom.

Rozdział 16

Michalina nasunęła kołdrę na głowę. Księżyc był w pełni, a jego blask utrudniał

zaśnięcie. Pod przykryciem było jej stanowczo za ciepło. Po kilku chwilach wygrzebała się spod niego. Na ścianach tańczyły cienie.

Zaczęła płakać. Płakała tak każdej nocy, odkąd Artur ją porzucił. Oczy piekły, a głowa nieustannie bolała.

Przypomniała jej się rozmowa z mamą.

„Twoje marzenia, wyobrażenia, wizja świata, twoje ciało, myśli, spostrzeżenia... to wszystko jest niepowtarzalne, twoje. Zapewne popełnisz w życiu kilka głupstw. A kto ich nie popełnił? Zapewne nieraz będziesz się na siebie wkurzać. Nieraz wylejesz morze łez. Ale to wszystko będzie twoje i czegoś cię nauczy. A czasami nie. Niekiedy kilka razy się podtopisz, niekiedy wywalisz na tym samym zakręcie trzeci czy któryś tam raz. Czasem zaufasz niewłaściwej osobie. Ale takie właśnie jest życie. niesprawiedliwe? Sprawiedliwe, pewnie, że tak... Czegoś musimy się od tego życia nauczyć. Czasami nie zgodzimy się z tymi naukami.

Pamiętaj, że wiele potrafisz i wiele możesz. Nigdy nie przestawaj słuchać swojego serca. Tylko musisz się liczyć z tym, że serce nie raz wyprowadzi cię w pole”.

Michalina wiedziała już, że z wielkich namiętności rodzi się zazwyczaj cierpienie.

Namiętności trwają zbyt krótko. A potem jest zgrzyt, niekiedy upadek. Między nią a Arturem była tak silna chemia, że aż wrzało. Pożądanie przeniknęło ich ciała. Przez te kilka tygodni, bo ich związek to były dni wyrwane z szarej rzeczywistości, łączyły ich namiętność, radość oczu, błędzenie rąk. Fantazjowanie o rzeczach, które nie mogły mieć miejsca. Oboje wyobrażali sobie ten związek inaczej. Może wszystko potoczyło się za szybko? Czasami jest tak, że kochasz, a nie jesteś gotowy na to kochanie, na przyjęcie tej miłości.

Żyli od spotkania do spotkania. I te spotkania były krótsze od czasu rozłąki. Nie widzieli się trzydzieści dni, a spotykali na dwa. I w te dwa dni chcieli wszystko nadrobić. Spacerowały wśród brzęczących pszczół na łące, rozmowy, kochanie, dzielenie się problemami. Ale niekiedy się nie dało. Artur uciekał od swojego życia, a natrafiał na życie Miśki. Bo Bartuś chory, bo babcia zaniemogła, bo goście przyjechali i trzeba się nimi zająć. Niekiedy te dwa dni kurczyły się do kilku godzin. I wtedy biegali po łące, jedli lody, kochali się w lesie, a mrówki wchodziły im pod ubrania. To za mało. Tego

wszystkiego było za mało. Ona chciała więcej. Więcej miłości, czułości, mniej pożegnań, więcej powitań. A najbardziej chciała, by Artur któregoś dnia powiedział: „Zostaję”.

„Przecież twoje dzieci mogą tu przyjeżdżać”.

„Przecież mógłbyś pracować z domu. Wyjeżdżać raz na jakiś czas do Wrocławia czy dokądkolwiek indziej”.

„A czy ty zmieniałabyś swoje życie ot tak?”

„Ale ja mam swoje życie w Złotkowie. Bartek... Babcia... Pensjonat. Tutaj jest wszystko”.

„A moje życie jest tam”.

Michalina spodziewała się gościa. Właściwie nie powinno tu być nikogo, bo przecież „Różany Pensjonat” miał być zamknięty przez kolejne dwa tygodnie. Artur, ona i dzieci mieli spędzać czas razem. A wyszło, jak wyszło. Westchnęła ciężko. W sumie powinna się cieszyć, że ten młody człowiek cztery dni temu do niej zadzwonił i zapytał o wolne pokoje. Nie była w nastroju na przyjmowanie gości, ale skoro i tak nikogo tutaj nie było, to mogła na nowo otworzyć. Pieniądze zawsze się przydadzą.



Udka z kurczaka włożyła do naczynia żaroodpornego. Na patelni rozpuściła masło i dodała trochę mąki, aby zrobić sos beszamelowy. Obrala ziemniaki, po czym opłukała ręce i zabrała się do robienia sałatki. Kiedy wszystko było już gotowe, usiadła na krześle. Przymknęła oczy. Poczowała znajomy ucisk w okolicach mostka. Tak bardzo brakowało jej Artura! Przez ostatnie dni myślała o nim nieustannie. A on milczał.

Bolało ją każde wspomnienie. Czy już zawsze tak będzie?

Babcia mówiła jej, że ten ból w końcu zelżeje, ale Michalina na razie nosiła go niczym dodatkową warstwę ubrania. Siedząc w ciszy, rozpamiętywała ich rozstanie. Nie powinna się tak dręczyć, a jednak nie mogła przestać. Dobrze, że będzie miała gościa.

Dzień był ciepły, wręcz upalny. Przemek wysiadł z samochodu, sięgnął po laptopa i plecak. Podeszedł do drzwi i zapukał. Otworzyła mu uśmiechnięta młoda kobieta. Od razu ją rozpoznał.

— Michalina?

— Dzień dobry. Tak, to ja. — Kobieta wyciągnęła rękę w jego stronę.

— Nie poznajesz mnie? Przemek.

— Przemek? — Miśka zmrużyła oczy.

— Kiedyś mieszkaliśmy z rodzicami w Złotkowie. Miałem jedenaście lat, ty dziewięć, kiedy się wyprowadziliśmy.

Michalina otworzyła szerzej oczy. Wspomnienia wróciły. Tak, pamięta, jak Przemek ciągnął ją za włosy i przezywał. Raz nawet zamknął ją w schowku na szczotki, w którym nikt zapewne nie odkurzał. Z sufitu zwisały pajęczyny, a po ścianie łaziły wielkie pająki. Krzyczała i waliła rękoma w drzwi, ale pomoc przyszła dopiero po kilkunastu minutach. „Wszyscy inni, byle nie on” — pomyślała.

Musiał dobrze rozpracować jej minę, bo powiedział:

— Daj spokój, chyba nie będziesz się nadal na mnie gniewać? To było tyle lat temu!

— Ale było.

Że też akurat ten zarozumiały typek musiał być jej gościem!

— Wejdz — powiedziała odrobinę za ostro.

Była piękna. Tak właśnie myślał Przemek. Jej gęste, kręcone, czarne włosy sterczały na wszystkie strony, co tylko dodawało jej uroku. Miała na sobie fartuszek zarzucony na szorty i białą koszulkę.

Odsunęła się na bok, żeby wpuścić go do środka.

Wszedł do budynku i od razu poczuł się jak w domu. W powietrzu unosił się aromat ciasta i kawy.

— Ale cudne zapachy! — Uśmiechnął się. Michalina spojrzała na niego uważnie. Był

wysoki, smagły, dobrze zbudowany. Miał duże, niebieskie oczy i diabelski uśmiech. Tak sobie o nim pomyślała.

— Moja babcia prowadzi cukiernio-kawiarnię — powiedziała, byleby coś powiedzieć. — To ona upiekła na dzisiaj napoleonkę i szarlotkę. Na powitanie.

— Uwielbiam każde domowe ciasto. — Przemek spojrzał na nią z błyskiem w oku.

— Cieszę się. Może przejdziemy do salonu? Spiszę twoje dane i dam klucz do pokoju.

Chłopak skinął głową. Niedługo potem Miśka wręczyła mu klucz.

— Jesteś głodny? Obiad podaję o czternastej, teraz mogę cię poczęstować ciastem i kawą.

Jeśli wolisz, mogę zrobić kanapki.

— Ciasto i kawa w zupełności wystarczą.

Zniknęła w kuchni, po czym znów się pojawiła — z tacą ze słodkościami, z dzbankiem kawy i filiżanką.

— Przyjechałeś wypocząć?

— Oj, chciałbym. — Przemek wskazał głową na laptop. — Piszę pracę doktorską.

Oczywiście będę sobie robił przerwy na spacer.

— Koniecznie. Spacer jak najbardziej wskazany. Jeśli nic się nie zmieniłeś, to tylko w taki sposób będziesz potrafił się uspokoić.

Przemek roześmiał się.

— To ty miałaś temperament. Pamiętasz, jak ugryzłaś mnie do krwi? Do tej pory mam ślad. — Potarł rękę.

— Żartujesz sobie? — Michalina otworzyła szeroko oczy. Doskonale pamiętała ich przepychanki, droczenie się. Sądziła nawet, że chłopak był jej pierwszą niespełnioną miłością.

Oczywiście za żadne skarby świata nikomu by o tym nie powiedziała, a szczególnie jemu. Potem to zauroczenie gdzieś się rozmyło, kiedy on za bardzo zaczął jej dokuczać. Wstrętne chłopaczysko.

— Tak, żartuję. Ze śladem, ale nie z ugryzieniem. — Spojrzał jej prosto w oczy, a ona dostrzegła w jego niebieskich tęczęwkach wesołe, psotne chochliki. Zapewne się nie zmienił.

Oczywiście dorósł, dojrzał, ale mogła założyć się o wszystko, że miał

gdzieś uczucia innych.

— Widocznie sobie na to zasłużyłeś.

Ponownie się roześmiał.

— Widocznie tak. Co u twojej mamy?

— Nie żyje.

W jednej chwili Miśce zrobiło się smutno. Poczula ukłucie w sercu. Jej gościowi też twarz jakby lekko poszarzała.

— Przykro mi. To była wspaniała kobieta.

— Mnie też jest przykro.

Michalina odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach. Nie miała ochotę kontynuować tego tematu.

— Pokażę ci twój pokój. — Gestem ręki zaprosiła go na górę.

Przemek podążył za nią.

Kiedy odświeżył się i zszedł na dół, obiad był już na stole. Usiadł przy stole nakrytym białym obrusem. Jedzenie pachniało wybornie. Od razu poczuł głód.

— Kawy, herbaty, kompotu czy soku? — zapytała uprzejmie Michalina.

— Kompot poproszę.

— Z mirabelek.

— Dobrze.

Michalina nalała złocistego płynu do szklanek.

— Częstuj się.

Posiłek był pyszny. Przemek dokładał sobie dwa razy. Za to Michalina niemal nie tknęła swojej porcji. Pogrzebała widelcem w jedzeniu, i tyle.

— Wszystko w porządku? — zapytał. Nie chciał być wścibski, ale zauważył, że dawna znajoma pod uśmiechem kryje jakiś smutek.

— Tak. Tak — odpowiedziała bez przekonania.

Przemek nie drążył więc tematu.

— Mam młodszego brata Bartka. Zazwyczaj będzie jadł z nami obiady, ale dzisiaj poszedł do sąsiadów i go wciąło. — Uśmiechnęła się niemrawo.

— Tak to już jest z dziećmi.

— Szczególnie z chłopakami.

Przemek przypomniał sobie czasy, kiedy sam był małym chłopcem. Trudno było utrzymać go w domu. Kiedy tylko miał wolne od szkoły, od świtu do nocy biegał z kolegami po podwórku. Rozgrywali mecze, grali w zbijaka i dwa ognie, no i oczywiście zaczepiali dziewczynki. „Zaczynali się”, jak później skarżyły się mamom i babciom. To były piękne czasy!

Dobrze było wrócić w rodzinne strony.

Bartek grzebał patykiem po dnie strumyka, kiedy usłyszał za sobą głos.

— Cześć. Jestem Mary Ann.

Obejrzał się. Podeszła do niego uśmiechnięta dziewczynka.

— Cześć — rzucił krótko. Nie miał ochoty na rozmowy.

— Przyjechałam do Jadwigi Kowalik; to moja babcia. Znasz ją może?

Bartek prychnął.

— Pewnie, że znam, to nauczycielka. Kiedyś miałem z nią na pieńku.

— To znaczy, że jej nie lubisz?

— Tego nie powiedziałem. Kiedyś ulepiłem bałwana przed jej domem.
— Bartek zachichotał. — I marchewkę wsadziłem nie w to miejsce, gdzie trzeba. Nieważne.

— Ile masz lat? — Dziewczynka była nim wyraźnie zainteresowana.

— Dziesięć.

— Ja dziewięć.

— Nie wyglądasz.

— Jestem drobna. — Mary Ann chwyciła drugi patyk, który leżał koło kamienia. — Co robisz?

— Łowię ryby.

— Ale tak na niby?

— Nie. Na serio.

— Połowię z tobą.

— Jeśli chcesz.

— Chcę.

Rozdział 17

Amelia pchnęła furtkę, która zaskrzypiała. Córka poinformowała ją, że od tego dnia to mama będzie chodziła po jajka do tego nawiedzonego, aczkolwiek przystojnego gościa. Ona w najbliższym czasie nie postawi tam nogi, raz w zupełności wystarczy.

Kobieta poczuła, jakby znalazła się w jakimś tajemniczym ogrodzie. Dookoła ogrodzenia rosły malwy, goździki, a groszek pachnący oplatał drewniany płotek. Westchnęła głęboko.

„Jak tu pięknie” — pomyślała.

— Dzień dobry. — Z zamyślenia wyrwał ją męski głos.

— Dzień dobry. — Podniosła głowę i stanęła twarzą w twarz z wysokim, barczystym mężczyzną. Twarz miał opaloną, dookoła niebieskich oczu malowała się sieć drobnych zmarszczek. Jego muskularne ciało opinała błękitna koszulka. Ile mógł mieć lat? Koło czterdziestu?

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał.

Amelia stała jak zaczarowana.

— Tak, tak. — Skinęła głową. — Mama powiedziała, że mogę u pana kupić mleko i jajka.

— Może pani. — Mężczyzna się uśmiechał.

— To ja kupię.

— Dobrze. Ile?

— Co ile?

— Mleka.

— Obojętnie.

„Co ja gadam...” — skarciła się w duchu.

— To znaczy, mam tutaj pojemnik. — Wyciągnęła przed siebie plastikowy baniak. — Piękna chata! Taka... swojska. — Wskazała ręką na budynek. Wyglądał, jakby liczył sobie więcej niż wiek, choć stan wskazywał na to, że niedawno go restaurowano. — Mieszka pan tutaj od zawsze?

— Marek jestem.

— Amelia. — Wyciągnęła do niego dłoń, którą on mocno uściskał.

— Kupiłem tę chatę dziesięć lat temu. Właściciel niechętnie mi ją sprzedał, bo nie jestem miejscowy, ale po namowach skapitulował. Początkowo przyjeżdżaliśmy tu z żoną na urlop, ale... od czterech lat mieszkam tutaj sam.

— A wcześniej gdzie mieszkałeś? Przepraszam! — zreflektowała się Amelia. — Nie musisz odpowiadać.

— W Warszawie. — Mężczyzna zupełnie nie czuł się skrępowany. — Wcześniej mieszkałem w Warszawie, ale od zawsze chciałem mieszkać na wsi. Pamiętam, że kiedy byłem na koloniach w Bieszczadach, bardzo mi się tutaj spodobało i powiedziałem, że jeszcze tu wrócę.

— I wróciłeś.

— I wróciłem. Nie była to łatwa decyzja. Wiesz, kiedy jest się w związku i ta druga osoba tego nie chce... — Splótł dłonie.

— Przepraszam, chyba wkroczyłam na grząski grunt.

— Nie, dlaczego? — Marek spojrzał jej w oczy, potarł ręką brodę, na której widniał

kilkudniowy zarost. — Ja nie mam nic do ukrycia. Nie mamy z żoną dzieci. Dzięki temu było łatwiej. Nagle poczułem, że miasto mnie przytłacza, chodziłem niezadowolony i miałem skwaszoną minę. Aż w końcu przyjechałem tutaj, kupiłem tę chałupę. Starą, oryginalną, zniszczoną. I postanowiłem, że tu zamieszkać. Wciąż pracowałem w firmie, a tutaj przyjeżdżałem na urlopy. Odgruzowywałem pomału to miejsce, kładłem cegły tam, gdzie trzeba było coś nadbudować, szlifowałem deski, żeby podłoga była taka, jak sobie wymarzyłem. W

ogrodzie posadziłem malwy, goździki, floksy, lwie paszcze, na tyłach domu zrobiłem sobie mały warzywnik. Potem postanowiłem, że będę gospodarzył; krowę kupiłem i jeszcze kilka zwierzaków.

Amelia patrzyła na niego zauroczona.

— Nic nie wiedziałem o trzodzie. Wydawało mi się, że wszystko to jest takie proste jak w filmach. Że wieś to sielskie życie — zaśmiał się. — A tu dostałem w brzuch z kopyta, kiedy dołem Mućkę. Dojenie na początku zajmowało mi ponad godzinę. Nie zawsze jest łatwo; codziennie muszę wstawać do moich milusińskich już o piątej, a mi się nie chce. Jak nie wstanę, to buczą i muczą.

Kobieta zaśmiała się.

— Usiądziesz i zjesz ze mną śniadanie? — zaproponował Marek.

— Chętnie — odpowiedziała wciąż zahipnotyzowana. Spojrzała na zegarek. — Jest dziesiąta.

— Dopiero teraz mogę wziąć coś na ząb.

Usiedli na werandzie, gdzie stały drewniany stół i dwa krzesła. Marek wyniósł z kuchni tacę. Rogaliki, dzbanek kawy, świeże masło i konfitury. Amelia chwyciła rogalika, przekroiła go na pół i posmarowała masłem oraz konfiturą.

— Mhmmm — westchnęła. — Piec też umiesz?

— Nie. Kupiłem rogaliki w „Cynamonowych Sercach”. Wiesz, gdzie to jest?

— Tak. Byłam tam raz, kiedy burza mnie dopadła. Przytulnie, smacznie,

a pani Zosia to kobieta o złotym sercu!

— Tak, jest cudowna.

— Pięknie tutaj masz. Ten ogród — gestem pokazała otoczenie — taki sielski.

Marek parsknął śmiechem.

— Tak to tylko wygląda. Sielsko, anielsko, a tak naprawdę to i ogrodem trzeba się zajmować. W takie upalne dni jak dziś wieczorem podlewam kwiaty chyba z godzinę. To muszę grządki przekopać, to trawę skosić. To coś naprawić, to iść do pracy.

— Jeszcze oprócz tego pracujesz? — Amelia uniosła brwi, nim dokończyła rogalika.

— Nie samą sielskością żyje człowiek. — Marek się uśmiechnął. — Pracuję w leśniczówce.

— Jesteś leśniczym?

— Raczej pomocnikiem leśniczego, nic na pełen etat. Nie mam specjalistycznego wykształcenia, ale las kocham.

— Czyli ogarniasz ogród, pracujesz w lesie, jesteś gospodarzem pełną gębą.

— I złotą rączką, że tak się nieskromnie zareklamuję. To stara chałupa. — Marek ruchem głowy wskazał na dom. — Ciągłe coś się psuje. Zeszłej zimy piec; dobrze, że się nie zatrąłem.

Wstałem któregoś dnia rano, a w domu siwo od dymu! Myślałem, że mgła mi do chałupy wtargnęła. — Roześmiali się. — Ale naprawiłem.

Naraz Amelia usłyszała chrumkanie. Rozejrzała się dookoła.

— Brzmi jak świnia — zawyrokowała.

— To wieprz.

— Wieprz?

— Fred.

— Masz wieprza?

— Czy to jakiś problem? — Marek puścił do niej oko.

Amelia zobaczyła, jak zza krzaków wyłania się dorodny zwierzak. Resztkami siły powstrzymała się, by nie zacząć krzyczeć. „To tylko świnia, a raczej wieprz” — tłumaczyła sobie.

— Nie. To chyba normalne na wsi.

— O, wypraszam sobie, Złotkowo ma prawa miejskie. Ale jego obrzeża... no cóż, może i są trochę wiejskie... Poprzedni właściciel w ogóle nie dbał o małego prosiaczka. Kiedy go od niego odkupiłem, był zagłodzony i nieufny. Nie to, co teraz.

Fred jak na zawołanie podszedł bliżej.

— No, faktycznie. Ale czy kiedyś... Skorzystasz... — Amelia chciała zapytać, czy z Freda będzie kaszanka, ale zwierzę jakby odczytało jej myśli i zachrumkało. Dość złowrogo.

— Nie ma mowy. Nie mam zamiaru przerabiać Freda na kotlety. Nawet nie wyobrażam sobie jeść go na obiad!

Amelia dokończyła kawę. Wiedziała, że powinna podziękować i sobie pójść, ale jakoś nie miała ochoty. Mimo to podniosła się i pożegnała z Markiem, zabierając ze sobą baniak mleka i dwa tuziny jajek.

Pomyślała sobie jednak, że z przyjemnością jeszcze tu wróci. To miejsce wzbudzało w niej pozytywną energię.

Przez kolejne dni Amelia nie spotkała Marka, mimo iż specjalnie kilkakrotnie przechodziła koło jego domu. Raz nawet poszła prosto do niego pod pretekstem zakupu mleka, ale go nie zastała.

Spotkała go podczas sobotniego spaceru po lesie. Ubrany był w spodnie moro i koszulkę khaki. Wyglądał męsko i przystojnie. Amelia lubiła mężczyzn z prawdziwego zdarzenia. Jakoś nie mogła się przyzwyczaić do tych wszystkich wymuskanych facetów niczym z żurnala, w spodniach rurkach i obcisłych koszulkach.

— Cześć. — Gdy tylko ją wypatrzył, ruszył w jej kierunku.

Amelia przystanęła i zastygła.

— Amelia, to ja Marek. — Podszedł do niej bliżej.

— Serio? Jaki Marek? — droczyła się z nim.

— Nie pamiętasz? — Marek był zdziwiony jej reakcją. Albo nie chciała go znać, albo udawała, że go nie pamięta.

Parsknęła śmiechem.

— Jak mogłabym zapomnieć?

Prawda była taka, że od poprzedniego spotkania dość często rozmyślała o Marku. Ujął ją poczuciem humoru i tym, że postawił na swoje marzenia.

— Ufff. Miałaś taką minę, że już straciłem nadzieję. Co u ciebie?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem. To nie było tylko grzecznościowe pytanie.

— Spaceruję. A co u ciebie? — Kobieta była lekko podenerwowana, choć sama do końca nie wiedziała dlaczego.

— Pracuję. Ostatnio w lesie mamy zagrożenie pożarowe. Ściółka jest tak wysuszona, że wystarczyłby niedbale rzucony niedopałek, a mielibyśmy katastrofę. Prowadzimy monitoring przeciwpożarowy. Patroluję też las samolotem.

— Latasz? — Amelia otworzyła szerzej oczy.

„Czego ten człowiek nie robi?” — zastanawiała się.

— A latam sobie w chmurach — zaśmiał się, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

— Zaskakujesz mnie. Czego jeszcze o tobie nie wiem?

— Zapewniam cię, że jest tego sporo. Kiedyś ci o tym opowiem, bo na razie nie mam do tego głowy.

— Co się stało? — zapytała z troską w głosie.

Marek westchnął.

— W tym tygodniu mieliśmy też inwentaryzację magazynu drewna. I niestety, razem z moim współnikiem trochę bekneliśmy.

— Słucham? — nie rozumiała.

— Brakowało części stosu brzozonego i musieliśmy oddać manko z własnej kieszeni.

— Co się stało?

— Ktoś sobie podprowadził. Ale to nic, wszystko inne się zgadza. — Marek spojrział na zegarek. — Przepraszam cię, muszę zmykać. — Nie chciał się z nią jeszcze rozstawać, miał jednak nawał roboty.

— Tak, oczywiście. Rozumiem.

— Może wpadniesz do mnie któregoś dnia z córkami? — Puścił do niej oko.

— Skąd wiesz, że mam córki?

— Zasięgnąłem języka tu i ówdzie. Zresztą twoja starsza córka była u mnie po jajka i poznała Freda. — Uśmiechał się do niej w dość szczególny sposób, a ona poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

— A tak. Wiktoria coś wspominała.

— I jestem zadowolony z faktu, że z kolei męża nie masz.

— Aha.

„Jasny szlag! Czy ja się rumienię?”

— Serio, wpadajcie. Pomożecie mi krowy wydoić — zażartował, ale po minie kobiety wywnioskował, że ona wzięła to na serio. Następne słowa tylko to potwierdziły.

— Zapraszasz nas do porannej pracy? — Amelia uniosła brwi. Nigdy nie doiła krowy.

„Ale w końcu musi być ten pierwszy raz” — pomyślała.

— I na smaczne śniadanie. Pięknie u mnie, sama wiesz, maliny dojrzały, gęsi gubią pióra.

Niech twoje córki zaznają prawdziwego wiejskiego życia. A i bociany mam, sztuk dwie, uwiły sobie gniazdo na moim słupie i przez to telewizja mi słabo odbiera.

— Strasznie dużo gadasz. Faceci zazwyczaj tyle nie mówią. — Amelia uśmiechnęła się szeroko.

— Ktoś musi. — Pomachał jej ręką. — Do zobaczenia!

— Do zobaczenia.

Amelia wracała do domu z dziwną lekkością w sercu.

Rozdział 18

Michalina wsiadła do autobusu zadowolona, że udało jej się załatwić wszystko w Sanoku.

Usadowiła się obok okna. Przystanek dalej do pojazdu wsiadła pani Moczarska, właścicielka i kierowniczka sklepu wielobranżowego.

„No to mam przesrane” — pomyślała Miśka. Zdawała sobie sprawę, że pani Moczarska nie przestanie gadać do samego Złotkowa. Wiedziała, że to nieładnie z jej strony, ale udawała, że nie widzi znajomej, i modliła się w duchu, aby i ta jej nie zauważyła.

— Misia, a niech mnie. Co za niespodzianka! — Ekspedientka usadowiła się tuż obok, stawiając dwie kraciaste torby, z którymi wtoczyła się do autobusu, na stopach dziewczyny. Ta wyszarpnęła nogi spod toreb, powstrzymując się, by nie jęknąć.

— Po staremu.

— No jak po staremu? — Kierowniczka obfitymi kształtami zapełniła swoje siedzenie i pół tego, na którym siedziała Miśka, spychając dziewczynę pod samo okno.

— Nic ciekawego się nie dzieje.

— Oj, nie, nie. — Pogroziła jej palcem Moczarska. — Słyszałam, co ci zrobił ten cały Artur. Ja go wyczułam już na początku. — Wypełniła policzki powietrzem, przez co wyglądała jak monstrualnych rozmiarów morświn.

— Po prostu się rozstaliśmy. Ludzie się rozstają.

— A wiesz... — Moczarska machnęła ręką. — Czasami to i lepiej. On jakiś taki napuszony był. I te jego dzieci... No, rozwodnik. Boże kochany! — Złapała się za falującą pierś, która na wybojach podskakiwała tak, że Miśce się zdawało, że zaraz wyskoczy z dekoltu.

— Wie pani, różnie się życie ludziom układa. — Postanowiła trzymać stronę Artura.

— No różnie, różnie. Ale, Najświętsza Panienko — teraz z kolei Moczarska uczyniła znak krzyża — co się z tym światem dzieje? Terrorysty wszędzie, geje dzieci adoptują, dzieci rodzą dzieci... I ludzie — tutaj ściszyła głos — wynajmują jeszcze te sugatki do rodzenia im dzieci. Chore, chore....

— Surogatki.

— Że co, proszę?

— Surogatki rodzą dzieci.

— Eee!!! — Moczarska machnęła ręką. — To wszystko prowadzi do zagłady. — Schyliła się do torby i wyjęła z niej ptasie mleczko. Odwinęła starannie folię i otworzyła pudełko.

— Poczęstuj się, złociutka — zwróciła się do Miśki.

— Podziękuję tym razem.

Ekspedientka złapała trzy ptasie mleczka i włożyła je do ust.

— Niebo w gębie. No, niebo w gębie. Ale i tak się popsuły ostatnio. — Sięgnęła po kolejne dwie kostki. — Popsuły, to nie to samo co kiedyś — powiedziała, mlaskając. — Ale o czym to ja chciałam...? A, już wiem. Że też Jadwiga ma córkę i wnuczki, kto by pomyślał? Ale popatrz, ponoć tę córkę wygnała z domu, kiedy ona była młoda.

— Niechże pani bzdur nie opowiada, pani Moczarska. Skąd pani takie rzeczy wie?


— No nie wiem. Przypuszczam.

— Właśnie. Nie wie pani. Więc proszę nie rozgłaszać takich plotek.

— A co mi tam, Miśka, ty wiesz, co to jutro będzie?

Michalina zaczęła się wiercić na krześle.

— A pani to wie?

— Oj, dziecinko, toż ten Kim Dzong Un to wariat, on może rozpętać
trzecią wojnę 
światową.

Do końca drogi buzia się Moczarskiej nie zamykała. Michalina wyłączyła się. Kiwała tylko głową i uśmiechała się sztucznie, co najwidoczniej zupełnie nie przeszkadzało jej znajomej.

— Już prawie jesteśmy na miejscu — padło po kilkunastu minutach.

„Boże, dzięki” — pomyślała Michalina.

— Czas szybko leci w miłym towarzystwie. — Moczarska złapała za uchwyty krzasiastych toreb.

— Doprawdy? — zakpiła Miśka i zachciało jej się śmiać.

Nic nie miała do Moczarskiej. Nawet ją lubiła. Ale ten jej długi język i plotkowanie denerwowało ją tak bardzo, że miała ochotę potrząsnąć kobietą.

Bartek od razu znalazł wspólny język z Mary Ann. Trzeba było przyznać, że dziewczynka nie pozostawiła mu wyboru. Od początku zapałała

do niego uczuciem. Nie to, że się zakochała.

Co to, to nie. Bartek by na to nie pozwolił. Po prostu łąziła za nim krok w krok, a on musiał

przyznać, że ją polubił. Mówiła po polsku, mimo że wychowała się w Anglii, chociaż lekko zaciągała. I nie znała niektórych słów. Nie wiedziała na przykład, co to jest ropucha; żaba już tak, ale na „ropuchę” zrobiła wielkie oczy.

Wiatr rozwiął chmury i na niebie pojawiło się słońce. Tego dnia spędzili wspólnie długie godziny. Chłopiec zawsze nosił ze sobą plecak, w którym były kanapki przygotowane przez siostrę, dwa bidony z wodą i pieczone przez babcię ciastka. Kiedy zapas żywności im się kończył, chodzili do pobliskich sadów lub na działki po owoce.

— To kradzież — oburzyła się za pierwszym razem Mary Ann.

— Jaka tam kradzież? Od dwóch jabłek nikt nie zubożeje.

Później śmiali się wesoło, pogryzając soczyste owoce. Właściciel sadu, do którego się zakradli, pogroził im pięścią, ale widać było, że niespecjalnie się przejął. Następnego dnia sam wręczył dziewczynce najsmaczniejsze i najczerwieńsze jabłuszko, jakie kiedykolwiek jadła.

— Czy ty niczego nie zauważasz, czy ściemniasz? — zapytał ją Bartek podczas jednej z zabaw.

Mary Ann zmarszczyła nosek.

— O co ci chodzi?

— Ściemniasz. — Bartek założył ręce na piersi.

— Nie rozumiem.

— Jestem czarny.

— Nie. — Dziewczynka pokręciła głową. — Jesteś jak kawa z mleczkiem. Czy przeszkadza ci to, że masz taki kolor skóry?

— Nie. Ale niektórym czasem tak.

— Serio?

— Noo. — Chłopak kopnął kamyk tak mocno, że aż uniósł się tuman kurzu. — Byłem na półkoloniach piłkarskich. Marzyłem o nich bardzo długo. I w tym roku... A, zresztą nieważne, po co ci o tym mówię...?

— Widocznie chcesz powiedzieć, bo zacząłeś. Dokończ.

— ...no i niektórzy chłopcy się na mnie uwzięli.

— Dlaczego?

— No właśnie dlatego, że jestem, jaki jestem. Mój tato jest Nigeryjczykiem, więc mam ciemny kolor skóry i wyglądam, jak wyglądam.

— Mnie się podobasz. — Mary Ann powiedziała to z całym przekonaniem.

— Miśka też tak mówi: że jestem cudem. Ale Miśka już taka jest.

— Kocha cię.

— Najwidoczniej.

— W Londynie jest mnóstwo Afroamerykanów, Hindusów, Azjatów i nikt nie ma z tym problemów. Nie przejmuj się. Niektórzy są gupi.

— Głupi.

— Słucham?

— Mówi się: głupi.

Roześmiali się.

— Czy twoja mama też jest czarna?

— Nie, była biała.

— Dlaczego mówisz, że była? — Mary Ann ponownie zmarszczyła nos.

— Bo umarła.

— Przykro mi. — Dziewczynka dotknęła ręki chłopca.

Bartek wzruszył ramionami.

— Mnie też jest przykro, ale jej nie znałem. Umarła, kiedy byłem malutki. Nawet jej nie pamiętam. Moją mamą jest Miśka, choć tak naprawdę nie jest moją mamą, ale siostrą.

— Ojejku, to skomplikowane.

— Trochę tak. A ty?

— Ja mam mamę i siostrę. Tatę też mam, ale się z nim nie widuję.

— Dlaczego? — Bartek spojrzał na dziewczynkę swoimi wielkimi, czarnymi oczami.

— Bo on tego nie chce... — Mary Ann spochmurniała.

— Na pewno chce, tylko może ma dużo pracy. Tak jak mój. — Bartek starał się pocieszyć dziewczynkę.

— Na pewno.

Przez kolejne dni Mary Ann i Bartek spotykali się codziennie. Dobrze się razem bawili, a chłopiec coraz częściej się zastanawiał, jak by to było, gdyby mieszkał w Anglii, gdzie kolor skóry nie miałby dla nikogo znaczenia. Szybko jednak odganiał od siebie te myśli. Za nic w świecie nie chciałby opuścić Złotkowa.

Tu był jego dom.



Rozdział 19

Amelia siedziała przed domem na schodkach ubrana w piżamę. Związała tylko włosy w kucyk. Piła kawę.

— Cześć! — Za jej plecami stanęła Jadwiga.

— Cześć, mamó.

— Mogę się przysiąc?

— Miejsca dość.

Kobieta usiadła obok córki.

— Wcześniej dziś wstałaś.

— Szkoda marnować czas.

Wspólnie patrzyły na wschodzące słońce. Jego promienie barwiły obłoki na różne odcienie różu.

— Co racja, to racja. O czym myślałaś?

— O kilku sprawach.

— I zapewne nie chcesz mi o nich powiedzieć...

— Nie, czemu? — Amelia pociągnęła łyk kawy. — Myślałam o mojej ucieczce z domu; często mi się to ostatnio zdarza. I o tym, co się potem działo. O tym, jak siedziałam w tym domku w lesie praktycznie sama i bałam się, że urodzę, kiedy Roberta nie będzie przy mnie.

Jadwiga dotknęła jej ręki.

— Martwiłam się o ciebie.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że możesz się martwić, póki sama nie zostałam matką.

— A dlaczego potem... No wiesz, nie próbowałaś nawiązać ze mną kontaktu?

— Na początku wciąż rozdrapywałam rany. Obwiniłam was o to, co zrobiłam. Potem chciałam, ale było mi wstyd i odwlekałam tę decyzję w czasie... Po kilku latach zdobyłam się na odwagę i zaprosiłam cię. Wtedy ty odmówiłaś.

— Bo się wystraszyłam... — Matka spuściła wzrok.

Amelia nadal sączyła kawę, a Jadwiga bawiła się zerwanym źdźbłem trawy.

— Ja też się bałam zrobić pierwszy krok — odezwała się starsza kobieta. — Kiedy przeprowadziłaś się do Anglii i podałaś mi swój adres, mogłam przyjechać wcześniej, ale nie zapraszałaś... Przepaść między nami była coraz większa. Po prostu. — Jadwiga poczuła, jak dławiąca klucha zatyka jej przełyk. — Myślałam, że wykreśliłaś mnie ze swojego życia.

— To nie tak! To nie tak... — Amelia zaczęła kręcić głową. — To wszystko nie tak.

Wiesz... Może ja się przejdę. Sama. — Kobieta poczuła, że łyzy wzbierają jej pod powiekami.

— Idź, pewnie. Zrobię dziewczynkom racuchy.

— Zetrzesz do nich papierówki? Mary Ann uwielbia polskie papierówki.

— Zetrę. — Jadwiga uśmiechnęła się do córki. — Zetrę.

Amelia szybko wbiegła po schodach na górę, by się przebrać. Nie chciała, żeby ktokolwiek oglądał ją w chwili słabości. Jej matka obejrzała się przez ramię i jeszcze przez moment popatrywała za nią w milczeniu.

Zofia miesiła ciasto, kiedy usłyszała dzwoneczek przy drzwiach, który oznajmił jej, że ktoś wszedł do kawiarni.

— Dzień dobry, pani Zosieńko. — Marek biodrem pchnął drzwi i wszedł do „Cynamonowych Serc”.

— A dobry, dobry. — Zosia wytarła ręce w fartuch. — Co tam u ciebie, Mareczku?

— Dzień jak co dzień.

— Czyli mówisz, że piękny?

Razem wybuchnęli śmiechem.

— Przyniosłem czterdzieści jajek, śmietanę i mleko.

— No, złoty z ciebie człowiek! Pieniążki są jak zwykle w kopercie, a w siateczce znajdziesz coś słodkiego.

— Pani to się uparła, żeby mnie utuczyć — zażartował Marek.

— A gdzieżbym śmiała. Zresztą ty szczupły jesteś. A trochę trzeba sobie życie osłodzić.

Zresztą możesz podzielić się z Fredem...

— To ja już wolę zjeść sam. Fredowi i tak za dobrze się powodzi.

Wymienili kolejne uśmiechy.

— Pani Zosieńko, to ja kawkę jeszcze zamówię i słodkie zjem na

miejscu.

— Czarną jak smoła i mocną?

— Czy pani pamięta zamówienia wszystkich swoich klientów?

— Tylko tych przystojnych! — Zofia puściła do niego oko.

Marek usiadł przy stoliku na zewnątrz kawiarni. Sączył kawę i z ciekawością patrzył na otaczający go świat. Przeprowadzka tutaj była najlepszą decyzją w jego życiu. W takie poranki jak ten odczuwał to z całą mocą.

Amelia szła w stronę „Cynamonowych Serc”. Słońce oświetlało drzewa, a liście migotały kropelkami deszczu, który spadł w nocy. Powietrze było rześkie i świeże.

Marka zauważyła od razu. Wyprostowała się i wciągnęła brzuch. W pierwszym odruchu chciała zawrócić, jednak zdecydowała, że jeśli on zobaczy, jak ona ucieka... Cóż, to będzie bardzo głupio wyglądało. Zdawała sobie sprawę, że to chore, że w wieku trzydziestu siedmiu lat bawi się w jakieś gierki, ale to wszystko było takie ekscytujące!

— Cześć — odezwała się, kiedy podeszła do stolika, przy którym siedział Marek.

— Hej! — Mężczyzna osłonił oczy przed słońcem. — Prześladujesz mnie?

— Chyba tak. — Amelia nie przestawała się uśmiechać. — Los tak chce.

— Siadaj. Napijesz się ze mną kawy?

— Odkąd tutaj przyjechałam, nauczyłam się pić kawę.

— To źle?

— A dobrze?

— Moje zdanie jest takie: dobra kawa nie jest zła.

Zaśmiali się. Amelia usiadła naprzeciwko niego.

— Miałaś przyjść do mnie z córkami na poranne dojenie.

— Żadna z dziewcząt nie jest zainteresowana.

— To wpadnij sama.

— Cóż za kusząca propozycja!

— Powiem ci nawet lepiej: nie do odrzucenia.

Otarł łzę radości, która pojawiła się w kąciku jego oka. Często i dużo się śmiał.

— Kochasz jeszcze żonę? — zapytała nagle Amelia. Już po chwili pożałowała tego pytania. Nie powinno jej to obchodzić.

Marek spojrział na nią uważniej.

— Dlaczego mnie o to pytasz?

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Może kobiety są ciekawskie.

— Nie będę cię okłamywał. Jeszcze tak. Chociaż wiem, że nic już z tego nie będzie.

Oddalamy się od siebie... Oddaliliśmy się już dawno. Ale ty mi się podobasz.

Amelia poczuła jak krew szybciej krąży w jej ciele.

— Jesteś, hmm... Dość otwarty.

— Sama zaczęłaś tę rozmowę.

— To ja lepiej zamówię kawę.

Michalina usiadła w kuchni i zaczęła lepić anioły. Wakacje były okresem martwym pod względem sprzedaży, ale musiała zająć czymś ręce, a to ją odprężyło. Ostatnio brakowało jej cierpliwości, a odkąd straciła Artura, musiała czymś się nieustannie zajmować, żeby nie oszaleć i przede wszystkim nie myśleć. Skończyła przed północą.

Kiedy następnego dnia budzik zadzwonił o piątej trzydzieści, z niechęcią otworzyła oczy.

Po kąpieli i szybkiej kawie nieco już ożywiona wstąpiła do „Cynamonowych Serc”, gdzie Zofia uszykowała dla niej ciepłe bułeczki. Gdy wróciła do domu, Przemek był już w kuchni.

— Przepraszam — powiedział, bo przyłapała go na myszkowaniu po szafkach — ale rozgościłem się już i zaparzyłem sobie kawy.

— Nie ma problemu! Nie wiedziałam, że z ciebie taki ranny ptaszek. Dopiero przyniosłam bułeczki. — Michalina rozpakowała pakunek, a wypieki ułożyła na talerzu.

— Pachną wyśmienicie. — Przemek wciągnął powietrze do płuc.

— Proszę, usiądź i się poczęstuj. Zaraz podam maselko, wędlinę, pomidory i ogórki.

Przemek usiadł przy stole, przekroił bułkę. Z jej wnętrza wydobyła się para. Masło momentalnie się rozpuściło i wsiąkło w ciasto. Chłopak położył na bułkę dwa plasterki pomidora i posypał całość solą.

— Pyszne — powiedział z zadowoleniem po kilku kęsach.

Do kuchni wbiegł Bartek.

— Cześć — zwrócił się do Przemka.

— Bartek! — Miśka skarciła brata wzrokiem.

— To znaczy, dzień dobry.

Chłopiec się zmieszał, co najwyraźniej rozbawiło gościa.

— Może być i „cześć”.

— Bartek jestem. — Chłopczyk wyciągnął w jego kierunku rękę.

— A ja Przemek. Miło mi. — Mężczyzna delikatnie ją uścisnął. — Widzę, że w domu mało bywasz.

— Są wakacje. — Bartek przewrócił oczami.

— To oczywista oczywistość.

— Gdyby pani Jadwiga słyszała, jak pan mówi, toby pana przegnała gdzie pieprz rośnie.

— A kim jest pani Jadwiga? — zainteresował się Przemek.

— To belferka z mojej szkoły.

— Mamy szczęście, że jej tutaj nie ma.

— Wielkie! — Bartek roześmiał się i usiadł do stołu. Rozsmarował na kromce masło i położył na niej kilka plasterków wędliny. Jadł z apetytem, a Przemek opowiadał o swoim dzieciństwie. Chłopiec pomyślał, że fajny z niego gość.

Michalina spojrzała w niebo. Chmurzyło się. Niedobrze. Włosy i tak miała okropnie trudne, tak o nich myślała; pokręcone niczym sprężynki i sterczące na wszystkie strony. Jeśli zacznie padać, to na jej głowie zrobi się takie afro, że będzie wyglądała niczym kobieta jaskiniowa. Gdzie ten PKS? W dłoniach trzymała wielkie pudło owinięte folią.

Stojący po drugiej stronie ulicy Przemek również spojrzał w niebo. „Zaraz będzie lać” — pomyślał i przeniósł wzrok na Michalinę. Może nie była klasyczną piękną, ale miała w sobie coś, co elektryzowało mężczyzn. Kiedy tylko stanął na progu „Różanego Pensjonatu”, przez chwilę gapił się na nią, jakby coś w niego trzasnęło. Bynajmniej nie piorun. Mimo że urodę miała oryginalną, było w niej coś staroświeckiego. Sposób poruszania się, mówienia. Nie była jak typowa młoda dziewczyna w jej wieku. Może to dlatego, że tyle przeszła, że zbyt szybko musiała dorosnąć?

Zaczął kropić deszcz. Przemek przeszedł na drugą stronę.

— Nie masz parasola? — zapytał. To było głupie pytanie, niezbyt

błyskotliwe, ale musiał

jakoś zagaić. Michalina odwróciła się do niego.

— Nie jestem z cukru.

— Ale wciąż tak samo słodka.

Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

— Czekasz na autobus?

— Tak.

— Dokąd jedziesz?

— Do Sanoka, zawieźć anioły. — Ruchem głowy wskazała na pudło.

— Podwiozę cię.

Deszcz zaczął padać mocniej.

— Mój autobus będzie za dziesięć minut.

— Do tej pory do cna przemokniesz.

Nie czekając na jej odpowiedź, wziął pudło i ruszył w stronę samochodu. Michalina podreptała za nim.

Nim zapięli pasy, zaczęło lać jak z cebra. Już i tak byli mokrzy.

— Uratowałem cię — roześmiał się Przemek, podając koleżance paczkę chusteczek.

— Mówiłam ci już, że bym się nie roztopiła!

Wyjęła z paczki chusteczkę i zaczęła nią wycierać twarz.

— Hmm. Ale kiedy przemokłaby ci ta sukienka, wszystko byłoby ci widać.

Michalina objęła się rękoma. Faktycznie, już teraz lekko zmoczona sukienka zaczęła prześwitywać.

— Nie powiem, to całkiem niezły widok...

— Jedźmy już! — rzuciła rozłoszczona Miśka.

Przemek odpalił silnik.

— Za bardzo się przejmujesz pierdołami. Masz ładne piersi, to możesz je pokazywać.

— Nie sędzę, żeby Złotkowo było wybiegiem dla modelek, a przystanek PKS to nie studio fotograficzne, gdzie mogłabym obnażać swoje wdzięki.

Przemek śmiał się na całego.

— Mówiłem ci już, że cię uwielbiam?

— Pewnie. Kilka razy, kiedy byliśmy małolatami. A potem zawsze robiłeś mi jakiegoś psikusa.

— Tak się zachowują mali chłopcy, kiedy jakaś dziewczynka im się podoba.

— Widocznie ty wciąż nie dorosłeś.

— Dobra jesteś. Naprawdę dobra. — Przemek śmiał się tak, że łzy spływały mu po policzkach.

— A do tego potrafię cię rozśmieszyć. Skarb, nie kobieta!

Rozdział 20

Amelia pomagała Jadwidze pielnić ogródek. Kobiety rozmawiały przy tym dość żywo.

— Mogę cię o coś zapytać? — W pewnym momencie pani Kowalik wstała z klęczek, potarła ręką obolały krzyż i spojrzała na córkę.

— Pewnie.

— Opowiesz mi o tym, jak to było, kiedy urodziła się Wiktoria? Jak sobie poradziłaś?

Amelia przez chwilę biła się z myślami, ale w końcu zdecydowała się odpowiedzieć szczerze i bez upiększania. Opowiedziała mamie o Klarze, o tym, że Robert je porzucił. O swojej pierwszej pracy, którą załatwiła jej tamta dobra, pełna ciepła kobieta.

— Gdyby nie ona... Pewnie nie dałabym sobie rady. Pomogła mi opiekować się Wiktoria.

— Szkoda, że to nie byłam ja...

— Mamo! — Amelia również się podniosła, otrzepała ręce i wytarła je w fartuch. — Obie popełniłyśmy błędy. Nie wracajmy do tego.

— Tak, masz rację. A... są jacyś mężczyźni w twoim życiu? Przecież na pewno nie byłaś sama przez cały ten czas.

— Wiesz, mamo... Mówiłam ci już, że nigdy nie potrafiłam stworzyć stabilnego związku.

— Amelia zapatrzyła się na pobliskie pagórki.

— Czasami nam nie wychodzi.

— No tak, ale obie moje córki przeze mnie nie mają dobrego kontaktu z ojcami. Wiktoria nie pamięta Roberta, a Mary Ann rzadko spotyka się z Alexem, mimo iż sama go namawiam, by częściej ją odwiedzał.

— To przecież nie twoja wina. Najważniejsze, że dzięki tym facetom masz wspaniałe córki. — Jadwiga położyła dłoń na plecach Amelii.

Rok 2001

Wiktoria miała prawie dwa latka. Było dość ciepłe lato; tego dnia wybrały się na plażę.

Amelia rozebrała małą i wyciągnęła z plecaka foremki oraz wiaderko, potem sama zrzuciła sukienkę. Odzyskała już figurę sprzed ciąży, a jednak nadal czuła się dziwnie w samym bikini.

Jakiś młody chłopak wyraźnie się na nią gapił, jednak kiedy tylko zobaczył Wiktorię, stracił

zainteresowanie. Amelia wcale się nie dziwiła, choć czasem było jej przykro.

Córka była dla niej najważniejsza. Zdarzało się jednak, że fantazjowała o tym, że znajduje oparcie w czyichś silnych ramionach. Starła się być dobrą matką, niestety, nie zawsze jej to wychodziło. Ostatnio wszystko ją irytowało — i Klara, która niekiedy była nadgorliwa, i praca, która nie spełniała jej oczekiwań. Czasami zadawała sobie pytanie, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej. Pragnęła dać córce wszystko to, czego sama nie zaznała od swojej matki, ale popełniała podobne błędy. Pracowała po godzinach, aby stać ją było na połowę czynszu, na jedzenie i ciuszki dla Wiktorii. Bolało ją to, że jej samej poświęca za mało czasu, choć przecież oddawała jej każdą wolną chwilę.

Jeszcze dwa, trzy lata temu łatwo było jej oceniać swoją mamę, ale kiedy sama nią została, okazało się, że macierzyństwo nie jest wcale takie łatwe. Życie dyktuje nam własne warunki.

To było sobotnie popołudnie. Do kawiarni, w której pracowała, weszło trzech młodych mężczyzn. Kiedy Amelia usłyszała, że mówią po polsku, odwróciła się i zamarła. Chłopak, który przed chwilą głośno się śmiał, również zastygł bez ruchu. Patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

— Amelia — wydusił w końcu.

— Robert?

Jego towarzysze zagwizdali, ale on nic sobie z tego nie robił. Złapał dziewczynę pod rękę i pociągnął na bok.

— Co ty tu robisz? — zapytał.

Amelia wyswobodziła się z jego uścisku. Serce biło jej jak szalone.

— Pracuję.

— Próbowałem cię odnaleźć. Byłem w tamtym domu. Chciałem

zobaczyć ciebie i dziecko.

Zupełnie mu nie wierzyła, ale potrafił być taki przekonujący...

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Dziewczynka, ma na imię Wiktoria. — Amelia w środku cała się trzęsła. Ta rozmowa nie była dla niej łatwa.

— Aha. Myślałem, że będzie chłopak. Ale zdrowa jest? Wiesz, nie robiliśmy żadnych badań w ciąży. — Spojrzał na nią jakby z czułością, przynajmniej tak się jej wydawało.

— Jest zdrowa — odpowiedziała na jednym wydechu, jakby samo wyartykułowanie tych słów sprawiło jej ulgę.

— Aha.

Robert najwyraźniej sam nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Kiedy już się spotkali, mógł zadać tyle pytań... Wyglądało jednak na to, że nagle zabrakło mu słów.

— Wracam do pracy. Cześć.

— Cześć.

Chciała, żeby ją zatrzymał, ale zamiast tego stał jak słup soli. Na nogach jak z waty weszła na zaplecze kawiarni. Do końca zmiany nie mogła się na niczym skoncentrować. Wylała kawę, rozsypała cukier. Kiedy wybiła osiemnasta, z ulgą wyszła na zewnątrz. Było dość chłodno, więc wyciągnęła z torebki szalik i obwiązała nim szyję. Gdy przyspieszyła kroku, za plecami usłyszała czyjś głos.

— Zaczekaj!

Przystanęła. Odwróciła się: to był on!

— Co tu robisz?

— Sumienie nie pozwala mi... No wiesz. — Wzruszył ramionami. — Chciałbym się zobaczyć z córką.

Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

— Sama nie wiem, czy to dobry pomysł.

— Proszę. To nie chodzi o nas. Co jej powiesz, kiedy w końcu zaczniesz pytać o tatę?

— Robert... Pojawiasz się w moim życiu po dwóch latach i myślisz, że to wszystko będzie dla mnie takie proste?

Biła się z myślami, ale przecież to był ojciec jej dziecka. Czuła, że powinna dać mu drugą szansę. Każdy z nas zasługuje w życiu na drugą szansę.

Robert zaczął odwiedzać Wiktorię. Kajał się, przeproszał, przynosił córce prezenty.

Zapewniał, że dojrzał. Wynajmował mieszkanie, do którego Amelia i Wiktoria zaczęły przychodzić z wizytą, czasem zostawały tam na noc.

Na początku łudziła się, że może stworzą rodzinę, że wszystko jakoś się ułoży. Zaczęli się spotykać. Po kilku miesiącach dziewczyna stwierdziła, że jednak nie tak to wszystko sobie wyobrażała.

Znów była sobota. Amelia i Wiktoria z samego rana przyjechały do mieszkania Roberta.

Byli razem w zoo, zjedli wspólnie obiad. Było dość sympatycznie, dopóki dawny ukochany nie oznajmił jej, że wieczorem w jego mieszkaniu odbędzie się mała imprezka.

— Ale wiesz, Wiki... Ona chodzi spać o dwudziestej pierwszej.

— Za bardzo się nad nią rozczulasz. Zresztą — odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy — nie będzie zbyt głośno.

Później tego samego dnia Wiktoria już spała, kiedy Amelia z kieliszkiem wina wyszła na balkon. Usiadła na leżaku i nakryła się kocem. Z mieszkania dochodziły pijackie śmiechy mężczyzn.

— Ameliiaaa! — zaryczał do jej ucha podpity Robert, który znalazł się obok niej. — A ty co taka jesteś? — Chwycił się poręczy i zaśmiał się jak głupek.

— Jaka jestem?

— Jakaś taka sztywna. — Znów ten pijacki śmiech. — No chodź! — Pochylił się nad nią i zniżył głos do ochrypłego szeptu. — Pobawimy się w mamusię i tatusia...

Amelia spojrzała na niego. Białka oczu miał przekrwione. Tłuste włosy lepiły się do jego czoła.

— Mamu dziecko, które śpi. W każdej chwili może się obudzić.

Impreza trwała w najlepsze, była mocno zakrapiana alkoholem. Amelia nie przepadała za znajomymi swojego chłopaka. Lubili imprezy, alkohol i dragi. Czuła się w ich towarzystwie nie na miejscu. Weszła do mieszkania,

sprawdziła, co u Wiktorii. Mała spała. Robert wypił kilka drinków i Amelia zupełnie straciła go z oczu.

Claire, która spotykała się z Charliem, podeszła do niej z kuflem piwa.

— Wypij. Przyda ci się — powiedziała ni z tego, ni z owego.

Amelia przez moment zastanawiała się, dlaczego piwo miałyby się jej przydać. Nie miała ochoty na więcej alkoholu. I tak wypić już trzy kieliszki wina, które Robert miał schowane w barku tylko dla niej. Jak na nią to sporo.

— Idę poszukać Roberta. — Nachyliła się w stronę Claire.

— Chodź, zatańczymy. — Claire przytrzymała ją za rękę.

— Nie chcę tańczyć!

Tak naprawdę Amelia pragnęła się jak najszybciej stamtąd zmyć. Muzyka dudniła jej w uszach. Pijani goście byli głośni i wulgarni.

Mieszkanie znajdowało się na parterze i należał do niego kawałek ogrodu, który rozpościerał się za drzwiami balkonowymi. Można było do niego wejść od strony kuchni lub przez balkon. Ona postanowiła wyjść kuchennymi drzwiami.

Odwróciła się w tamtą stronę.

— Lepiej tam nie idź — rzuciła Claire, ale Amelia poczuła jakąś siłę, która pchała ją w tamtym kierunku.

Wyszła z mieszkania. Na zewnątrz roilo się od obmacujących się par. Rozejrzała się i nagle zobaczyła Roberta, który uprawiał seks z jakąś chudą

dziewczyną. Ona stała oparta o pień drzewa, nogi miała szeroko rozstawione, a on wbijał się w nią. Jego błady tyłek przyspieszał

coraz bardziej. Amelia przez chwilę nie mogła złapać oddechu, ale już po chwili zdecydowała się podejść do kopulującej pary.

— Robert, kiedy kończysz? — zapytała bez zastanowienia.

Mężczyzna zamarł, a potem w jednej chwili naciągnął spodnie i odwrócił się do niej.

Rozporek wciąż miał rozsunięty. Pomyślała o płynach ustrojowych, które wymieniał z tą dziewczyną, i zrobiło jej się niedobrze.

Tamta wciągnęła na tyłek majtki i obciągnęła spódnice.

— Ja... — zaczął Robert.

„Kurwa, kurwa, kurwa” — zaklęła w duchu Amelia.

— Nie miałeś czasu przepchnąć rury w łazience, ale jak widzę, inne rury łatwo ci się przepycha!

Poczuła taki przyływ mdłości, że musiała pobiec w stronę krzaków, bo inaczej zwróciłyby na tych dwoje. Zwymiotowała. W jednej chwili jej ulżyło. Wierzchem dłoni otarła usta i ruszyła w stronę mieszkania.

— Amelia!

— Pieprz się! Pieprz się, bo jeszcze nie dokończyłeś!

I tak oto Robert zniknął z ich życia już na zawsze. Amelia później próbowała się z nim skontaktować. Zapewniła go, że sama wprawdzie nie chce go widzieć, ale ich córeczka za nim tęskni. Jakoś specjalnie się tym nie przejął.

Któregoś dnia przyszła do jego mieszkania i pocałowała klamkę. Od dozorczy dowiedziała się, że Polacy, którzy wynajmowali lokal, wrócili do kraju. Tyle było z wielkiego żalu i otwarcie deklarowanego uczucia do nich obu.

Rozdział 21

Było późne popołudnie. Michalina rozwiesiła za domem pranie. Prześcieradła, poszewki i ręczniki fruwały na wietrze. W środę do pensjonatu miała przyjechać rodzina z trójką dzieci, co oznaczało, że pościele być może będzie trzeba zmieniać częściej.

Kiedy skończyła z praniem, przeszła do kuchni. Nastawiła mięso na obiadokolację, po czym przypomniała sobie, że nie ma mąki, którą chciała zaprawić sos. Tyle się słyszało o tym, że biała mąka to zło, ale ona się tym nie przejmowała. Lubiła zawiesiste sosy i nie zamierzała z nich rezygnować. Nie było rady, należało uzupełnić zapasy.

Zamiast wyjść frontowymi drzwiami, postanowiła iść na skróty kuchennymi. Przecięła ogród, wspięła się na siatkę i zgrabnym ruchem przeskoczyła na drugą stronę.

— No, no, no. Zwinna niczym kotka — usłyszała za sobą głos Przemka.

Michalina się zmieszła.

— Zostało ci z dziecinnych lat. — Gość zaczął klaskać.

— Co mi zostało?

— Ta zwinność.

— Inne rzeczy też mi pozostały. Lubię gryźć ludzi.

— Wiesz, co ja bym dał, żebyś mnie pogryzła?

— Jesteś szurnięty. Naprawdę jesteś szurnięty.

Wzruszyła ramionami, a on się roześmiał. Bawiła go ta czupurność Miśki.

Uwielbiała wieczorny spokój panujący w pensjonacie. Lubiła ten czas spędzać w samotności. Lubiła spacerować boso po ogrodzie i rozmyślać nad minionym dniem. Nie znosiła jednak, kiedy jej myśli kierowały się w stronę Artura. Czas leczy rany, zostawiając blizny.

Niektóre z nich znikają, inne straszą swoją szpetnością. Michalina pamiętała wszystkie rzeczy związane z Arturem. Emocje przeszłe, zaprzeszłe. Wyznania, rozmowy. Uśmiechy. Słowa. Dużo słów, tych potrzebnych i tych zbędnych. Uświadomiła sobie, że nie była z nim szczęśliwa. Ona była szczęśliwa z miłością do niego.

Czułaś to kiedyś? Na pewno. Budzisz się pewnego dnia i stwierdzasz, że jesteś zakochana. I niby wszystko jest na miejscu, takie samo, a jednak świat jest jakiś inny.

A potem to już jest istne szaleństwo... I tylko czasami można się ostro poturbować, kiedy człowiek w porę nie zwolni na zakręcie.

„Przyjeżdżam jutro” — mówił nieraz Artur. I to „jutro” mogło być pojutrze albo za tydzień. Albo jutro mogło się przemienić w „za jakiś czas”. „Zrozum, dzieci”, „praca”, „spotkanie”. I ona rozumiała, czekała. Ale jakoś ją to uwierało. I się skończyło. Ponoć wszystko się kiedyś kończy.

Przemek był oczarowany Michaliną. Nieustannie szukał pretekstów, aby z nią porozmawiać. Powinien pisać dysertację doktorską, a zamiast tego uganiał się za właścicielką pensjonatu niczym jakiś fircyk.

W piątek po południu wybrał się na spacer. Nie spodziewał się, że zacznie padać.

Zawrócił i wbiegł do „Cynamonowych Serc”, gdzie omal nie zderzył się z Michaliną. Był

zaskoczony tym niespodziewanym spotkaniem i z tego wszystkiego nie wiedział, co powiedzieć.

— Miśka... — wykrztusił w końcu. Poczł się jak głupek.

— To jaaa... — odpowiedziała przeciągle, nabijając się z niego.

Patrzył na nią, jakby co najmniej ducha zobaczył.

— Co się tak dziwisz? To cukiernia mojej babci.

— Wiem.

— Zapakowała mi całą siatkę ciast i ciasteczek. Może miałbyś ochotę na herbatkę w towarzystwie ciacha?

Czy ona się z niego nabija? Do tej pory darła z nim koty, a teraz zaprasza go na herbatkę?

Chwilę później siedzieli na tarasie, jedli ciasto i popijali herbatę. Deszcz już dawno ustał.

Zza chmur wyrzało słońce. Było dość parno. Kiedy skończyła się herbata, Michalina zaproponowała Przemkowi nalewkę.

— Jest gorąco — zauważył. — Nie wiem, czy nalewka nas nie sponiewiera.

— Od czasu do czasu dobrze być sponiewieranym. — Michalina

uśmiechnęła się do niego.

Po kilku kieliszkach ona już chichotała, on był rozluźniony. I zrobiło się jakoś tak miło i przyjaźnie, że w pewnym momencie niespodziewanie opowiedziała mu o Arturze. Wszystko, nawet o tym, że mimo iż się rozstali, wciąż go kocha. Potem się rozplakała i postanowiła pójść do łóżka. Kiedy jednak podniosła się z krzesła, nogi się pod nią ugięły i gdyby Przemek jej nie złapał, upadłaby jak długa.

— Zaprowadzę cię — zaproponował, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju.

Dziewczyna wprawdzie nie była ciężka, ale też nie ważyła tyle co piórko, w dodatku nalewkę pili przecież oboje. Kiedy więc weszli do sypialni Miśki, Przemek potknął się o rzucone byle jak buty, zachwiał się i razem upadli na łóżko.

Miśka zachichotała. Zaczęli się całować. Jej usta były słodkie od nalewki, jego gorące.

Włożyła ręce pod jego koszulkę i opuszkami palców błędziła po jego ciele.

I nagle Przemek zerwał się na równe nogi. Choć — trzeba mu oddać sprawiedliwość — kosztowało go to sporo wysiłku.

— Nie tak — powiedział.

Michalina jakby momentalnie otrzeźwiała.

— Słucham?

— Nie w ten sposób. — Usiadł na krześle stojącym w końcu pokoju. — Najłatwiej by teraz było kochać się z tobą i wierz mi, bardzo tego chcę, ale...

To by było zbyt proste. Poza tym wiem, że ty byś tego żałowała — westchnął głęboko i utkwił w niej błyszczące spojrzenie.

Michalina poczuła, jak oblewa ją rumieniec. Odwróciła wzrok.

On wstał, podszedł do drzwi i sięgnął do klamki.

— Daj mi znać, kiedy naprawdę będziesz tego chciała.

Wyszedł. Michalina poczuła się jak idiotka. Nakryła się poduszką. „Głupia, głupia, głupia!” Chciała zapaść w sen, przestać czuć, stracić świadomość.

— Niech cię szlag! Niech cię jasny szlag trafi!

Znów do snu tulił ją płacz.

Rozdział 22

Amelia leżała w łóżku i patrzyła na smugę światła, która przebijała przez szparę między zasłonami. I nagle pomyślała, że jest szczęśliwa.

Czym jest szczęście? Tą ciszą o poranku, którą rozdziera jedynie pianie koguta; rześkim wiatrem, który wpada do pokoju, kiedy tylko otworzymy okno. Jaka to przyjemność — móc wyjść na spacer i niczym się nie martwić. Chodzić wśród łąnów zbóż i dotykać kłosów pszenicy rękoma. Szczęście to niebo o kolorze akwamarynu. I można by powiedzieć, że niebo jest błękitnie, ale ten akwamaryn brzmi tak dostojniej, piękniej.

Szczęście czuje się w całym ciele, nawet w opuszkach palców.

Uśmiechnęła się do siebie. Wzięła prysznic, włożyła szorty i koszulkę na

ramiączkach i wyszła na dwór. Na podwórku spotkała młodszą córkę. Podeszła do niej i pocałowała ją w czoło.

— Może masz ochotę pójść ze mną na spacer? — zaproponowała.

— Jestem umówiona z Bartkiem! — Dziewczynka sięgnęła po plecak.

— Znów z Bartkiem? — Mama puściła do niej oko.

— No co? To mój kolega — zachnęła się dziewczynka.

— No nic. Myślałam, że spędzimy trochę czasu razem.

Ale Mary Ann pchnęła furtkę i już jej nie było.

Amelia uśmiechnęła się. Skoro jej córki są szczęśliwe, to ona również ma zamiar być.

— Tutaj w Bieszczadach ludzie żyją w zgodzie z przyrodą. Kiedy nadchodzi jesień, zwalniamą — powiedział jej podczas ostatniego spotkania Marek.

— W ogóle zauważyłam, że tu ludzie mniej się spieszą. Przedwczoraj wracałam z moimi dziewczynami z Sanoka. Autobus gwałtownie zahamował. Myślałam, że jakiś wypadek albo coś się stało z pojazdem, kiedy kierowca wysiadł i wyszedł na drogę. Na przeciwnym pasie stał

traktor i kierowca autobusu po prostu przywitał się z traktorzystą. Stanęli sobie na środku drogi i zaczęli rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Rozejrzałam się po ludziach, a oni nawet się nie zniecierpliwili. To było dla nich takie oczywiste. Dla mnie nie; tylko otworzyłam szeroko oczy.

Ale to jest piękne. Taki *slow life*.

— Podoba ci się tutaj?

— Tak. Kocham Bieszczady, zapach ziemi po deszczu, zapach skoszonej trawy. Ciepłe powietrze, które otula moje ramiona, masło z mleka prosto od krowy. To czarne niebo upstrzone gwiazdami. Brzęczenie pszczoł... Chyba gadam jak potłuczona.

— Nie gadasz. Pięknie gadasz. A ja mam też kilka uli.

— Czego ty nie masz? — Amelia uśmiechnęła się do Marka.

— To taka mała pasieka, tylko na mój użytek. Wiesz, że jedna pszczoła podczas całego swojego pszczelego życia jest w stanie wyprodukować tylko jedną łyżkę miodu?

— O kurczę, to raczej mało.

— Jaki z tego wniosek?

— Doceniajmy pszczoły.

— O tak! Wiesz, że około dziewięćdziesiąt procent wszystkich roślin to rośliny owadopylne? Jedna trzecia produktów żywnościowych ma bezpośredni lub pośredni związek z zapylaniem, a wśród owadów zapylających najważniejszą grupę stanowią właśnie pszczoły miodne. Co ciekawe, jako jedyne są wierne jednemu gatunkowi kwiatów.

— To znaczy...?

— To znaczy, że podczas jednego oblotu pszczoła odwiedza tylko jeden gatunek kwitnącej rośliny. Pyłek osadzający się na włoskach zbieraczki jest przenoszony na kwiat tego samego gatunku, co znacznie zwiększa prawdopodobieństwo jego zapylenia.

— Przystojny gospodarz, leśnik, do tego jaka wiedza na temat pszczół!
— komplementowała Marka Amelia.

Roześmiali się.

— Uwielbiam twój ogród, zapylany przez pszczoły z twojej pasieki. —
Amelia kolejny już raz uśmiechnęła się szeroko.

— Nie jest to ogród wersalski... Wszystko rośnie, jak chce. To znaczy,
wydaje się, że tak jest, a ja przycinam, nawozę, podlewam.

— A czym nawozisz?

— Kozimi odchodami.

— W sumie nie wiem, po co mi te wiadomości.

— Ja też nie. Ale pytałaś, to odpowiedziałem.

Przeszli kawałek dalej.

— Zleciłem niedawno zrobienie ławki. Stanie o tam, pod tą pnącą się
różą. — Wskazał

ręką na prawo. — Ławeczka pod różą.

— Ale ci obrodziła kwieciami!

Amelia pomyślała, że i w ogrodzie jej mamy przydałaby się taka. Jakże
byłoby przyjemnie móc sobie wieczorami siąść tam i popijać herbatę albo
gorące kakao, patrząc na zachodzące słońce...

— Już drugi rok taki urodzaj. Trochę tak kiczowato będzie, ta ławka, ta róża...

— Romantycznie.

— O tak, ale ten romantyzm nie bierze się z niczego. Jeśli będziesz chciała kiedyś prowadzić ogród w Bieszczadach, to musisz pamiętać o jednym: tutaj wszystko sieje się po zimnej Zośce, inaczej ci pomarznie. No i te różane krzaki na zimę trzeba zabezpieczać, z tym też jest sporo pracy...

— Nie żal ci miasta, zgiełku, sklepów, restauracji? Łatwego dostępu do wszystkiego?

Tutaj nawet internet wolno działa. Telefony tracą zasięg.

Marek potrząsnął głową.

— Bo jak pisał Kapuściński... „Kiedy się spieszysz, nic nie widzisz, nic nie przeżywasz, niczego nie doświadczasz, nie myślisz. Szybkie tempo wysusza najgłębsze warstwy twojej duszy, stępia twoją wrażliwość, wyjaławia cię i odczłowiecza”⁴... Kiedy patrzę na turystów, którzy zamiast cieszyć się pięknem gór, otaczającą ich przyrodą, pstrykają coś na telefonach, bo chcą złapać zasięg, żeby dodać zdjęcie na fejsa czy Instagrama, to mi się krew gotuje. Mam ochotę krzyknąć: „Ludzie, opamiętajcie się! Życie to nie tylko telefon, nieustannie dzwoniący, wibrujący, bo ktoś napisał, bo ktoś zdjęcie zalajkował. A ty uśmiechasz się do lajka, który podbudowuje twoje ego”. To głupie.

— Odkąd tu przyjechałam, nie noszę ze sobą telefonu.

— Dawniej ludzie też nie nosili, bo nie mieli, i jakoś nie poginęli, nic im się złego nie stało.

— Pewnie lepiej się im żyło.

Rok 2009

To było już wtedy, kiedy razem z Klarą przyjechały do Anglii. Starsza z kobiet dostała świetną propozycję pracy na Wyspach, więc sprzedały dom i opuściły Niemcy. Amelia angielskiego uczyła się od czasów szkolnych, więc stosunkowo szybko się przestawiła i rozpoczęła pracę w kawiarni. To tutaj poznała Alexa.

Pewnego dnia akurat czyściła ekspres do kawy, kiedy nad drzwiami zadzwoniły dzwoneczki, a do środka wszedł młody mężczyzna. Amelia odwróciła się. Mężczyzna był

wysoki, a ona miała wrażenie, że jego ciało składało się z samych mięśni. Twarz miał pogodną, a rude włosy lekko rozwichrzone. Usiadł na stołku przy barze, chociaż większość stolików była wolna.

— Coś podać? — zapytała z uśmiechem.

Mężczyzna również się uśmiechnął i spojrzał na nią jakoś tak szczególnie.

— Tak, chciałbym napić się z tobą kawy.

Amelia roześmiała się.

— Ja tu pracuję.

— Zapłacę każdą kwotę.

— Nie mogę.

Spojrzała mu w oczy, bawiąc się warkoczem.

— O której kończysz?

Amelia zerknęła na zegarek.

— Za dwie godziny.

— Poczekam. Alex jestem.

— Amelia.

— Skąd jesteś? Masz piękny akcent.

Amelia zawahała się na moment. Ludzie różnie reagowali na słowo „Polska”, ale zdecydowała się powiedzieć prawdę.

— Byłem kiedyś w Krakowie... — usłyszała w odpowiedzi.

„Co drugi Brytyjczyk był w Krakowie” — pomyślała, ale nie wypowiedziała tego na głos.

Miasto było ważnym punktem na mapie świetnych miejsc na spędzenie wieczoru kawalerskiego.

— Lubię Kraków — oświadczyła za to z nostalgią w głosie.

— A więc: Amelio, zaczekam na ciebie.

Czas w kawiarni spędzili niezwykle miło, żadne z nich nawet nie pomyślało o tym, żeby zerkać na zegarek. Ponieważ jednak spotkanie się przeciągnęło, mężczyzna zaprosił nową znajomą jeszcze do restauracji. Kiedy po kolacji zakrapianej winem wsiedli do taksówki, Alex nachylił się w jej

stronę i ją pocałował. Jego wargi były ciepłe i miękkie, a policzki szorstkie od dwudniowego zarostu.

Amelia zapragnęła, aby dotknął jej skóry. Złapała jego rękę i wsadziła ją pod bluzkę.

Kątem oka zauważyła, jak taksówkarz uśmiechnął się w lusterku. Na pewno był przyzwyczajony do takich sytuacji.

Tulili się do siebie, napawając się swoją bliskością.

Taksówka dojechała na miejsce. Kiedy wysiedli z samochodu, twarz Amelii owiał zimny wiatr. Co ciekawe, alkohol momentalnie z niej wyparował.

— Pojedziesz ze mną... — Alex chwycił jej rękę.

— Nie mogę... Przepraszam. — Spuściła wzrok.

— Nie chcesz?

— Nie. — Pokręciła głową. — Chcę. Ale... Mówiłam ci, miałam ciężkie przeżycia z pewnym mężczyzną. I wolę być ostrożna.

— Dobrze. Rozumiem.

Amelia dosłyszała w jego głosie rozczarowanie.

Od tej pory niemal codziennie pojawiał się w kawiarni, gdzie pracowała. Obsypywał ją podarunkami i bukietami kwiatów. Dobiegał czterdziestki, co Amelii bardzo odpowiadało, gdyż sądziła, że podobnie jak ona, będzie chciał założyć rodzinę. Miała w sobie tyle macierzyńskich uczuć, że pragnęła mieć jeszcze przynajmniej jedno dziecko, może dwoje.

On zaś jakoś niespecjalnie palił się czy to do małżeństwa, czy to do potomstwa.

Ich związek rozpoczął się dość szybko, burzliwie, intensywnie. Z wyładowaniami. Klara nie polubiła Alexa. „To flirtiarz i kobieciarz” — powiedziała przyjaciółce. Za to Wiktoria, która potrzebowała ojca, łąziła za nim krok w krok.

Za jego namową Amelia wyprowadziła się od Klary. Starsza kobieta nie kryła smutku, kiedy jej dotychczasowa towarzyszka, którą pokochała jak córkę, pakowała rzeczy.

— Początki miłości zawsze trącą nierozsądnymi decyzjami — powiedziała wtedy.

— My się kochamy! — Amelia zachowywała się jak desperatka, która pragnie jedynie mieć rodzinę.

— Tak. — Klara uśmiechnęła się do niej. — Nie wątpię w to. Na początku zawsze jest kolorowo. I ta ekscytacja, która powoduje, że człowiek traci zdrowy rozsądek.

— Będę przyjeżdżała.

— Zawsze możesz tu wrócić. Zawsze. Zawsze też możesz poprosić mnie o pomoc.

— Dziękuję...

Amelia także czuła smutek, ale wiedziała, że jeśli chce być z Alexem, musi się do niego przeprowadzić. Jeżeli chce stworzyć z nim rodzinę, nie może mieszkać z Klarą. Na pewno czułby się w jej towarzystwie skrepowany.

Jej nowy mężczyzna był menedżerem w banku. Pracował trzydzieści godzin w tygodniu, co bardzo odpowiadało Amelii, przynajmniej na początku. Wyobrażała sobie, że będą mieli dla siebie dużo czasu. Jednak wyobrażenia to jedno, a życie to już całkiem inna bajka.

O nie, życie wcale nie jest słodką bajeczką, gdzie on i ona żyją sobie w zamku i kochają się do grobowej deski. Życie w związku to przede wszystkim codzienność, gdzie ani ona nie jest księżniczką, ani on księciem na białym rumaku. Związek to zwyczajne dni, gdzie trzeba zrobić pranie, zakupy, opłacić rachunki, gdzie czasami nic się nikomu nie chce, gdzie są złe humory i fochy bez powodu. Ale dojrzały ludzie wiedzą, jak jest. Amelia była szczęśliwa z Alexem, mimo iż przeczuwała, że to nowe życie nie przynosi jej ani ekscytacji, ani uniesień. Czuła się dobrze, bezpiecznie — i to jej wystarczyło, a przynajmniej tak wtedy sądziła.

Zaręczyli się po roku znajomości, ale Alex ucinał temat ślubu.

Było środowe majowe południe, Amelia miała tego dnia wolne. Nie powiedziała o tym Alexowi. Postanowiła, że zrobi mu niespodziankę i zje z nim lunch. Wypatrzyła go, jak wychodził z przeszklonego biurowca banku wraz z asystentką. Kiedyś przedstawił je sobie.

Asystentka była młodą dziewczyną, zakochaną w swoim chłopaku, DJ-u, co w pewien sposób uspokoiło Amelię. Nie to, żeby była zazdrosna, ale ostrożności nigdy za wiele. Pomachała im, ale nawet jej nie zauważyli, tak byli zajęci rozmową. Przeszła na drugą stronę ulicy.

— Cześć — powiedziała, kiedy wreszcie ich dogoniła.

Alex i dziewczyna odwrócili się. Oboje byli zaskoczeni.

— Wybieracie się na lunch? — zaszczębiotała Amelia. Nie rozumiała, dlaczego kobieta zerknęła na nią jakoś tak dziwnie.

— Tak. — Alex w jednej chwili zbladł.

— To ja już pójdę... — Asystentka odwróciła się na pięcie. Amelia chciała za nią zawołać, ale coś w oczach Alexa ją powstrzymało. Jego spojrzenie było jakieś dziwne.

— Co ty tu robisz?

Wyglądał na zakłopotanego. Zupełnie nie tego oczekiwała.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę. Wiesz, tak jak na tych romantycznych filmach.

— Nie sądzisz, że to trochę głupie, robić rzeczy rodem z komedijek romantycznych?

— No tak. — Amelia spojrzała na swoje stopy. — No tak — powtórzyła.

— Dobrze, chodźmy gdzieś na kawę. — Alex złapał ją pod ramię. Szedł szybko. Amelia ledwo mogła za nim nadążyć.

W kawiarni zamówił dwie kawy, nie zapytawszy Amelii, na którą ma ochotę.

— Amy jest w ciąży — powiedział prosto z mostu.

Jego narzeczona rozpromieniła się.

— Z tym DJ-em? Na pewno chłopak oswoi się z tą myślą. Wiesz, jak to jest z młodymi.

— Nie w tym rzecz.

Alex wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć.

— To w czym?

Spojrzał jej w oczy. Przez te dwa lata spoglądał w nie kilka tysięcy razy, zapewniając ją o swojej miłości. Teraz w jego wzroku była tylko jakaś drwina.

— Czy ty nic nie rozumiesz, czy tylko udajesz?

Amelia zachłysnęła się kawą. Zaczęła kaszleć. W jednej chwili wszystko do niej dotarło.

Alex zaczął klepać ją po plecach.

— Zostaw mnie! — krzyknęła, kiedy odzyskała oddech.

Usiadł z powrotem na krześle.

Przez chwilę milczeli. Amelia czuła się tak, jakby ktoś uderzył ją prosto w splot słoneczny. W duszy kłębiły się emocje, cały wachlarz emocji, od nienawiści po żal i wściekłość.

Wszystkie jej marzenia nagle legły w gruzach.

— Ale ty... — Nie mogła znaleźć słów. — Ale ty nie chciałeś dzieci. Nie wiem nawet, czy tak naprawdę chciałeś małżeństwa.

— No nie. Ale stało się.

— Dlaczego nam się nie stało? — zapytała żałośnie.

— Nie chciałem cię zranić.

Spuścił wzrok.

— To jest zabawne, to, co mówisz. Jak to nie chciałeś?

— Nie.

— Czy to... Czy to...? — Amelia westchnęła głęboko. Nie musiała pytać, bo znała odpowiedź. Zobaczyła ją nagle z całą jasnością. — Czy to był jednorazowy skok w bok?

— Nie.

Zaczęła kręcić głową. Nie rozumiała. Nie potrafiła tego objąć umysłem.

— Dlaczego ze mną nie zerwałeś?

— Nie wiem. Kocham cię. Pokochałem Wiktorię. Stworzyłaś mi dom.

— A ty go rozpieprzyłeś!

— Uwierz mi...

Amelia była zbyt odrętwiata, żeby coś zrobić. Spoliczkować go, wybuchnąć płaczem.

Cokolwiek.

— Kiedy dziecko ma się urodzić? — Zupełnie nie wiedziała, po co zadaje te pytania.

Sprawiała sobie ból, a jednak... chciała wiedzieć. Chciała wszystko wiedzieć. Dogłębnie przeanalizować.

Kolejny facet ją wystawia. Co z nią nie tak? Pragnęła tylko kochać i być kochana. Tylko tyle i aż tyle.

— Za sześć miesięcy.

Wreszcie się rozpląkała. Łzy płynęły po jej twarzy zupełnie swobodnie, nawet nie próbowała ich ocierać.

— Przepraszam... Naprawdę nie wiem, co mi odbiło. To czysta namiętność. Ona jest taka młoda... Wiesz, młodość ma tyle do zaoferowania. Tyle szaleństwa — westchnął. — Niedługo stuknie mi czterdziestka. Z jednej strony ciągnie mnie, by mieć dom, stabilizację, a z drugiej jeszcze chciałbym coś przeżyć. Jeszcze jakieś drzenie, jakieś wybuchy. Bo tak mi się czasami zdawało, że przy tobie to już żadnych fajerwerków nie będzie.

— Chcesz fajerwerków?!

Nie odpowiedział. Dopiero po chwili rzucił:

— Wyprowadzam się. Mieszkanie jest opłacone z góry za pół roku. Możecie w nim mieszkać, jeśli...

Nagle Amelia wstała i nie namyślając się długo, chlusnęła mu kawą w twarz. Był tak zszokowany, że nawet się nie ruszył. A ona jeszcze nie skończyła. Złapała jego filiżankę i po chwili kolejna porcja kawy spływała po jego zdradzieckiej twarzy.

Następnie obróciła się na pięcie i wyszła bez słowa, pozostawiając go całkiem osłupiałego.

Tego dnia Amelia przyszła do Klary z Wiktoria. Kiedy dziewczynka już spała, kobiety usiadły na kanapie z lampką wina. Odkąd Amelia odebrała

córkę ze szkoły, trzymała się w ryzach, dopiero teraz się rozplakała. Klara ją przytuliła.

Gdy tylko młodsza z przyjaciółek się wyplakała i poczuła, że napięcie minimalnie z niej zeszło, opowiedziała wszystko starszej.

— Czuję się jak ostatnia idiotka, że niczego się nie domyśliłam.

— Zazwyczaj żony czy partnerki dowiadują się na końcu.

— Nie wiem, co gorsze: to, że mnie zdradził, czy to, że będzie miał dziecko z inną kobietą. A ze mną nie chciał!

— Nie zastanawiaj się nad tym. To będzie cię zżerało, jeśli będziesz dalej to roztrząsać.

— Co ze mną nie tak, że wszyscy mężczyźni ode mnie odchodzą?

— Lepiej wcześniej niż później.

— Nie ułatwiasz... — Amelia spojrzała na Klarę z żalnością.

Z czasem uświadomiła sobie, że Klara przypomina jej Jadwigę. Tę z tych dawnych, dobrych czasów.

— Chcę ci pomóc, chociaż przez rozmowę.

— Doceniam to, naprawdę! Tylko że nie zmienia to faktu, że nic nie rozumiem. Inne kobiety są z jednym mężczyzną przez dwadzieścia, trzydzieści lat.

— A ile z nich jest szczęśliwych? Nigdy nie wiesz, czy ich małżeństwo nie gnije.

Niektórzy są ze sobą z przyzwyczajenia. Wracając do ciebie... Musisz się zastanowić, co dalej.

Masz wspaniałą córkę, która cię potrzebuje.

— Chcę, by było jak dawniej.

— Nie chrzań.

— Ale ja naprawdę chcę. Chcę, żeby Alex się otrząsnął i do mnie wrócił. Sam powiedział, że to tylko pożądanie i namiętność. Przecież jesteśmy zaręczeni!

— Daj sobie z nim spokój. Chociaż założę się, że będzie cię jeszcze nieraz przeproszał, ale tylko dlatego, żeby móc spokojnie zasypiać, uśpić wyrzuty sumienia.

— Ale gdyby wrócił...

— Tobys kopnęła go w zad. Oto, co powinnaś zrobić.

— Ludzie popełniają błędy.

— Gdyby tylko raz się z nią przespał! A sama mówiłaś, że sypiał z nią od jakiegoś czasu.

Czy to nie odrażające? Sypiał i z tobą, i z nią.

— Tylko że mnie kochał.

— Przestań zachowywać się tak żałośnie! Przestań skomleć.

Amelia wiedziała, że Klara ma rację. Ale ona naprawdę zakochała się w Alexie. Myślała, że to już ten jedyny, że to już na zawsze, do starości. A ten jeden jedyny odwalił jej taki numer.

Był dobrym człowiekiem.

Nie, nie mógł być dobry, skoro ją zranił. O czym ona myśli? Chyba już postradała rozum.

— Gdzie będziesz teraz mieszkała? Chcesz wrócić?

— Nie. Chcę się usamodzielnić. Alex powiedział, że mieszkanie, w którym mieszkaliśmy razem, jest na jakiś czas opłacone. I dobrze. Zostanę tam, a potem zobaczę.

— Zawsze możesz wrócić.

— Dzięki, Klara.

Po dwóch miesiącach od rozstania, kiedy Amelia już sobie wszystko jakoś poukładała w sercu i duszy, dojrzała Alexa. Stał pod klatką i czekał na nią. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się szeroko.

— Myślałem, że nigdy nie wrócisz — powiedział ciepłym głosem, nie przestając się do niej uśmiechać.

— Gdybyś zadzwonił, byłoby łatwiej. — Obrzuciła go baczny spojrzeniem. Niebieskie oczy Alexa były jak bezchmurne niebo. Zapach jego perfum mocno oddziaływał na jej zmysły.

— Gdzie Wiki?

— U Klary. Odbieram ją za godzinę.

— A szkoda... Chciałem się z nią zobaczyć.

— Przez dwa miesiące jakoś nie chciałeś.

Mężczyzna spuścił wzrok.

— To nie tak. Chciałem, ale wolałem, żebyś ochłonęła. Chciałem dać ci czas.

— Ooo. — Amelia wydeła usta. — To bardzo szlachetne z twojej strony.

— Mogę wejść? — Zaczął przestępować z nogi na nogę.

— W jakim celu?

— Chciałbym napić się z tobą herbaty.

— Wejdz.

Alex przytrzymał jej drzwi, a ona weszła na klatkę. Po kilku chwilach byli w mieszkaniu.

Amelia zaparzyła dzbanek zielonej.

— Mam coś dla ciebie.

Z trzymanego w ręku neseseru wyjął czerwone pudełeczko, w którym odkryła srebrną bransoletkę z niebieskimi paciorkami.

— Piękna, dziękuję... ale chyba nie będę mogła tego przyjąć.

— Proszę. Weź.

— Dlaczego to robisz?

— By cię przeprosić.

W Amelii rozbudziła się nadzieja. Wiedziała, że nie powinna się łudzić, ale poczuła w sercu jakąś iskierkę. Przecież kiedyś było im tak dobrze! Może gdyby się postarała, gdyby oboje się postarali...

— No wiesz...

Zamilkli. Alex usiadł na kanapie, w rogu, tam, gdzie kiedyś siadywał.

— Usiądź koło mnie. Nie gryzę. — Uśmiechnął się ciepło.

Siedzieli razem na kanapie i popijali herbatę. Jak za starych, dobrych czasów.

— Co u Klary? Podejrzewam, że najchętniej by mnie stąd wykopała.

— Twoje podejrzenia są słuszne.

Roześmiali się.

— Dobra z niej przyjaciółka. Zawsze się o ciebie troszczyła. — Alex odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów, a ją przeszył dreszcz. Niepotrzebnie tak reagowała. To jednak było silniejsze od niej.



Czuła, jak jej żołądek się ściska. Nie wiedziała, jak się zachowywać, nie wiedziała, w jakim celu przyszedł, bo o niczym konkretnym nie mówił. Zastanawiała się nad doborem słów, by nie wyjść na idiotkę, chociaż nie powinno jej to nic a nic obchodzić.

Dopili herbatę.

— Masz może coś mocniejszego? — zapytał, nie spuszczając wzroku z Amelii.

— Muszę odebrać Wiki od Klary.

— A nie możesz zadzwonić, że coś ci wypadło?

— Po co miałabym to robić?

— Muszę z tobą porozmawiać, ale dobrze by było, gdybyśmy najpierw się odprężyli.

Skinęła głową i zatelefonowała do przyjaciółki. Alex w tym czasie podszedł do barku i wyjął whisky oraz colę. Amelia nie lubiła whisky, ale nie zaprotestowała. Denerwowało ją, że była taka bierna. Uświadomiła sobie, że zawsze mu ulegała.

Wypili kilka drinków. Alex zaczął opowiadać zabawne anegdotki, zrobiło się naprawdę miło. Kiedy Amelia wróciła z łazienki, w pokoju paliły się świece, a z głośników leciało nieśmiertelne *Power of Love* Jennifer Rush.

— A to co? — Amelia zachichotała, bo była już na rauszu. Powinna sobie w tej chwili przypomnieć, co on jej zrobił. Powinna pamiętać, że za kilka miesięcy Alex zostanie ojcem, ojcem dziecka obcej kobiety, z którą regularnie ją zdradzał. Powinien w jej głowie rozlec się jakiś gong. A tu cisza,

a raczej chichot chochlika.

— Nie wiem. — Podszedł do niej. — Jakoś mnie wzięło na wspominki. Zawsze lubiłaś tę piosenkę o potędze miłości.

— Jest taka ckliwa...

— Chodź, zatańczymy. — Wyciągnął ku niej rękę.

Po chwili znalazła się w jego ramionach. Prawie w ogóle się nie poruszali; raczej dreptali w miejscu. Ich usta natychmiast się odnalazły, a Amelia poczuła znajomy smak. Jego usta muskały i ssały jej wargi, a dłonie błądziły pod jej bluzką. Nawet się nie spostrzegła, gdy wylądowali w łóżku.

Niekiedy wystarczy chwila, zbyt krótka, by pozwolić dojść do głosu rozsądkowi. Chwila, która nie powinna się wydarzyć. A jednak podczas tej chwili cały świat wiruje, emocje buzują, a ty chcesz tego, mimo że wiesz, jesteś na tyle świadoma, że zdajesz sobie sprawę, że nie powinnaś, że to nie przyniesie nic dobrego.

— Kocham cię — szepnęła w jego muskularne ciało.

On tego nie dosłyszał albo nie chciał słyszeć. Wszedł w nią i zaczął się w niej poruszać.

Pragnęła go, chciała.... Chciała, by z nią został.

Dwie godziny później Alex zaczął zbierać rzeczy z podłogi.

— Lepiej już pójdę. Wiesz... Muszę kilka rzeczy sobie teraz uporządkować.

— Tak, pewnie... rozumiem.

Z każdą minutą miała coraz więcej złudzeń. Ale na co liczyła? Przecież zdawała sobie sprawę, że Alex nie może opuścić tamtej dziewczyny, miał obowiązki wobec jej dziecka. To byłaby podłość. Ona byłaby podła. A mimo to wyobrażała sobie, że są razem, że pomagają Amy wychować dziecko. Może nawet udałoby się zaadoptować małą?

Alex nie zadzwonił przez kolejne trzy tygodnie, a ona myślała, że zwariuje. Poczula takie rozczarowanie, że miała ochotę zakopać się pod kołdrą i spod niej nie wychodzić.

Zamiast tego sama wybrała jego numer.

— Cześć — przywitał ją lodowatym tonem.

— Nie odzywałeś się...

— Tak — stwierdził.

I tyle. Jak gdyby zupełnie nic się między nimi nie wydarzyło. Jakby to było normalne.

— Niepokoiłam się o ciebie.

— Dlaczego? To dziwne. Przecież nie jesteśmy już ze sobą.

— No tak, ale wiesz... — Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

— To był tylko seks.

Amelia jęknęła. Miała wrażenie, że padnie trupem na środku chodnika. „Głupia, głupia, głupia!” Dlaczego zadzwoniła do niego w drodze do pracy? Zdawała sobie sprawę, że tej rozmowie będą towarzyszyć takie emocje.

— Jak możesz tak mówić?

— Posłuchaj, Amelia — syknął niczym rozjuszony wąż. — Między nami wszystko skończone. Wszystko.

— A twoja asystentka?

— Nie musi o niczym wiedzieć.

— Jakim ty jesteś podłym sukinsynem!

— Wyluzuj.

Rozłączył się.

Po chwili Amelia otrzymała SMS-a: „Jeśli jej o czymś powiesz, to znaczy, że jesteś wyrachowaną suką. Ona i dziecko nie są niczemu winne”.

Rozpadła się na kawałki.

Dwa miesiące później ponownie zadzwoniła do Alexa. Nie odbierał, więc przyszła pod jego pracę.

— Jestem w ciąży.

— To usuń — poradził głosem wyzutym z emocji.

Kolejny mężczyzna w jej życiu mówił o usunięciu dziecka. Zamachnęła się i jej ręka z plaśnięciem spoczęła na jego policzku.

Po kolejnych dwóch miesiącach wysłała mu SMS-a, że sama niczego od niego nie oczekuje. Chce tylko, żeby widywał się z dzieckiem.

Nic nie odpisał. Zjawił się dopiero znacznie później, osiem miesięcy po narodzinach Mary Ann. Dziewczynka wystraszyła się, gdy go zobaczyła, i zaczęła płakać. On, zdeglustowany tym faktem, po prostu wyszedł, nie zamieniwszy z jej matką czy z Wiktoria ani słowa. Pojawił

się w życiu córki jeszcze kilka razy. Mary Ann jakoś specjalnie za nim nie tęskniła albo przynajmniej nie dawała tego po sobie poznać.

Może tak było lepiej?

Gdy tylko Alex ją opuścił i definitywnie dał do zrozumienia, że ma ją gdzieś i nie ma zamiaru uczestniczyć w życiu ani jej, ani nienarodzonego jeszcze dziecka, Amelia popadła w ogromne przygnębienie. Sama nie wiedziała, czy to był początek depresji, czy tylko tak zwany dół, z którego ciężko było się wydostać. Przy zdrowych zmysłach trzymały ją Wiki i to dziecko w jej łonie. Wzięła zwolnienie, potem kilkutygodniowy urlop. Siedziała w mieszkaniu. Rano jadła płatki z mlekiem, potem oglądała jakiś serial, który nawet jej nie interesował. Wgapiła się bezmyślnie w telewizor. Czasami coś uprała, sprzątnęła. Nieraz nic jej się nie chciało robić.

Potrafiła przeleżeć w łóżku do czternastej, czyli dopóki nie musiała odebrać Wiktorii ze szkoły. I tak mijał dzień za dniem, jej brzuch urósł, a ona była wciąż w podłym nastroju.

Tego dnia musiała przysnąć na zbyt długo, bo kiedy się ocknęła i spojrzała na zegarek, było już piętnaście po drugiej. Pospiesznie wstała z łóżka, wyszła do przedpokoju, włożyła baleriny i na tyle szybko, na ile pozwolił jej brzuch, potruchtała w kierunku szkoły.

Kiedy złapała zadyszkę, przystanęła. Najwyżej Wiki chwilę poczeka; Amelia nie da rady biec. W tym samym momencie, gdy o tym pomyślała, przejeżdżający obok samochód zatrzymał

się na światłach. Dostrzegła w nim znajomą postać. Alex śmiał się do kobiety siedzącej obok niego. Światła się zmieniły, samochód ruszył, a ją ogarnęła rozpacz. Łzy leciały po jej policzkach ciurkiem.

Nie koncentrowała się na tym, co robi, weszła na skrzyżowanie, na ruchliwą ulicę, zmuszając kierowcę przejeżdżającego samochodu do skręcenia i zahamowania z piskiem opon.

— O mój Boże! — krzyknęła, przykładając obie ręce do piersi.

Szok sprawił, że stanęła jak słup soli. Wpatrywała się bezmyślnie w ślady opon na asfalcie. Inne samochody również się zatrzymały.

Z auta wysiadła niska, szczupła kobieta. Podbiegła do Amelii.

— Nic się pani nie stało? — Spojrzała na jej wypukły brzuch.

— Nie... — Amelia pokręciła głową, czując rosnącą w jej gardle kluczę.

— Jest pani ranna?

— Nie. Nic mi nie jest.

— Może odwiozę panią do domu?

— Nie! Muszę odebrać córkę ze szkoły. — Serce Amelii biło jak szalone.

Kobieta uparła się ją podwieźć. Amelia podziękowała. Była strasznie zakłopotana całym tym zajściem.

— Przepraszam — wybąkała.

— Proszę na siebie uważać — rzuciła tamta na pożegnanie i raz jeszcze

ciepło spojrziała na jej brzuch. — Jest pani mamą.

Kiedy za Amelią zamknęły się drzwi, uprzejma kobieta odjechała. W tej chwili gdzieś z tyłu rozległ się głos córki.

— Mamooo!

Wiktorija jako jedyna czekała jeszcze z nauczycielką przed szkołą.

— Przepraszam za spóźnienie — wyszeptała Amelia.

— Ostatnio ciągle się spóźniasz. Jesteś nieobecna. Ja cię w ogóle nie obchodzę! — Twarz dziewczynki wykrzywiła się w grymasie.

— Obchodzisz.

— Nieprawda. Obchodzi cię tylko on.

— Kto?

— Alex. Za nim ciągle płaczesz! A ja? — W oczach Wiktorii pojawiły się łzy. — Ja jestem twoją córką! I też potrzebuję, żebyś mnie kochała.

Właśnie. Jej córka też potrzebowała miłości.

Ten dzień dużo jej uświadomił. Miała dla kogo żyć. Ktoś jej potrzebował i ona kogoś potrzebowała. Świat nie kręcił się wokół jej złamanego serca. Trzeba je było posklejać i żyć dalej.

Amelia stała przed lustrem i powtarzała do swojego odbicia:

— Jestem fajną, mądrą babką, która... — spojrziała w lustro — ma trzy

pryszczę na czole i zjadła na śniadanie opakowanie czekoladek.

To głupie, tak gadać do swojego odbicia. A jednak w jakiś sposób jej to pomagało. Może nie do końca wierzyła w to, że jest taka odłotowa i że wszystko może, ale za każdym razem, gdy zapewniała samą siebie o swojej przebojowości, mądrości, fajności, chciało jej się śmiać. Czyli na coś się te przemowy zdawały.

Klara przychodziła do niej codziennie. A jeśli nie przychodziła, to dzwoniła.

— Wciąż mi trudno — mówiła Amelia.

— To zrozumiałe.

— Nie jest zrozumiałe to, że nieustannie lokuję uczucia w mężczyznach, którzy nie chcą ze mną być dłużej niż przez chwilę.

— Przestań się nad sobą uzalać! Świat się nie zaczyna i nie kończy na męskich portkach.

Amelia roześmiała się.

— Masz cudowne, dobre serce — ciągnęła przyjaciółka. — Jesteś niesamowitą mamą. A niedługo zostaniesz nią po raz drugi. To jest cud. Wszystko inne... No wiesz... Moja mama zawsze mówiła: „Mężczyźni przychodzą i odchodzą, a dziecko jest z tobą”. Zazdroszczę ci, tak pozytywnie, że jesteś mamą. Mnie nigdy nie było dane nią zostać. A może było... — Klara na chwilę się zamyśliła. — Ale nie wykorzystałam szansy. Bo za wcześnie, bo za późno. Bo to i tamto.

Amelia spojrzała na starszą kobietę z czułością.

— Dla mnie ty jesteś jak matka. Dziękuję za twoje wsparcie, za

podtrzymujące na duchu rozmowy. Za wszystko dziękuję...

4 Ryszard Kapuściński, *Lapidarium V*, Warszawa 2004.

Rozdział 23

Do pensjonatu przyjechała Alina Kołodziejczak. Rezerwacja obejmowała tylko weekend.

Kobieta siedziała w ogrodzie na leżaku i patrzyła na góry.

— To mi wystarczy — odezwała się do Michaliny.

— Nie bardzo rozumiem. — Miśka pielęła właśnie grządki w ogródku. Otrzeпаła ręce i spojrzała ze zdziwieniem na kobietę.

— Ta cisza i ten widok.

— Czasami niewiele do szczęścia potrzeba. — Gospodyni pensjonatu uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Wie pani... — zaczęła pani Kołodziejczak. Nie patrzyła na Miśkę, a gdzieś przed siebie. — My, kobiety, bardzo często zapominamy o sobie. Bo dzieci, bo mąż, którego niekiedy traktujemy jak synka, a nie jak chłopca, choć ma czterdzieści lat i sam może sobie wiele rzeczy zrobić...

Miśka się roześmiała, ale kiedy spojrzała na rozmówczynię, zobaczyła, że tej w ogóle nie jest do śmiechu.

— I przychodzi taki dzień, kiedy masz dzieci, męża, dom, pieska, fajne życie, bo i wakacje nad morzem, i ferie w górach, ale zalewa cię jakaś gorycz. Ktoś powie: nie doceniasz tego, co masz, a mogłaś mieć mniej. Mogłam, ale czasami się duszę w tym wszystkim. Czasami mi źle, ot, tak sobie. I te wszystkie poradniki, które ostatnio przeczytałam, mówiły: „Ej, jesteś

szczęśliwa, masz tak wiele, ciesz się z tego i tamtego”. Ale ja czułam się pusta w środku. Może to jakiś kryzys wieku średniego? — zastanawiała się na głos Alina. — Zdawało mi się, że miałam go, kiedy skończyłam trzydzieści pięć lat, teraz, gdy mam czterdzieści dwa, znów mnie dopadł.

— Ale czy coś się stało? — Miśka nie chciała być wścibska, skoro jednak kobieta sama zaczęła mówić, to znaczy, że potrzebowała kogoś, kto jej wysłucha.

Alina zaśmiała się nerwowo.

— Chciałam sobie zrobić weekend od codzienności. Od pieczenia bułeczek, od prowadzenia domu. I od tego, że mój mąż mnie nie zauważa. Zmieniłam fryzurę, nic. Kupiłam nową sukienkę, to usłyszałam, że po co mi kolejna kiecka, przecież i tak nigdzie nie wychodzę.

Więc wyjechałam. To ta kiecka, nawiasem mówiąc — dodała.

— Śliczna! — Miśka spojrzała na błękitną sukienkę w drobne kwiatuszki.

— Poza tym... albo coś z moim mężem jest nie halo, bo zaczął spryskiwać się damskimi perfumami, albo ma romans.

Michalina otworzyła i zamknęła usta niczym ryba.

— To... to niczego nie dowodzi.

— No, niby nie, nie przyłapałam go w łóżku z sąsiadką, niby po pracy wraca prosto do domu. Ale czasami jeździ w delegację. I po jednej z takiej delegacji przywłókł za sobą woń damskich perfum. Sam chyba nie mógł jej znieść, bo od razu wrzucił koszulę do pralki.

Umilkła na chwilę.

— Wiesz, on czasami na mnie tak patrzy, jakby zadawał sobie pytanie, jak to się stało, że ta kobieta, którą kiedyś pokochał, stała się babą z kilkoma nadprogramowymi kilogramami, szwendającą się po domu w dresie.

— Ma pani dzieci, prowadzi pani dom, pracuje. Nie będzie pani przecież biegała po mieszkaniu w szpilkach.

— No nie. — Alina wzruszyła ramionami. — Zresztą sama nie wiem. Może powinnam trochę o sobie zadbać. Teraz jestem tutaj i rozkoszuję się pięknym widokiem. Wyłączyłam telefon, dzieci zostawiłam u mamy.

Kobieta poczuła jakiś ucisk w okolicy mostka. Tak rzadko się kochali z mężem, bo dzieci, bo praca, bo pralka się zepsuła. Zawsze zastanawiała się, czy w innych małżeństwach też tak jest, że z biegiem czasu seks jest spychany na dalszy plan. Co wieczór Paweł brał prysznic, ona kąpiel. Potem on wkładał czysty T-shirt i bokserki, ona piżamę i skarpetki. Kładli się obok siebie, całowali cnotliwie w policzek. On czytał jakiś kryminał, ona na telefonie przeglądała jakieś wiadomości bądź przepisy na kolejne ciasto. Kochali się raz w miesiącu, czasem częściej, czasem rzadziej.

— Pani mąż nie wie, że pani tutaj jest? — przerwała jej rozmyślenia Michalina.

— Nie. Tylko mama wie. Potrzebuję od niego odpocząć. Zastanowić się nad wszystkim.

Kobieta zamknęła oczy, a Miśka zabrała się do pielienia. Nie jej cyrk, nie jej małpy. Z

drugiej strony zrobiło jej się żal swojego gościa. Pomyślała o Arturze, który też ją zawiódł.

— Mężczyźni — westchnęła pod nosem.

Przemek z Michaliną siedzieli w salonie.

— Masz ochotę się czegoś napić? — zaproponowała, kiedy na korytarzu zapanowała cisza.

— Z przyjemnością; herbaty.

Po kilku chwilach siedzieli na kanapie, popijając napar. Rozmawiali przez kolejne dwie i pół godziny. Michalina słuchała dawnego znajomego z przyjemnością. Kiedy nie błaznował, był

całkiem fajnym facetem. Miał dużą wiedzę historyczną i podobne poglądy na życie. To nie pieniądze i kariera były dla niego najważniejsze.

— Powiem ci coś w sekrecie... — zniżył głos i nachylił się w jej stronę.

— Mów. — Jej oczy zrobiły się duże z zaciekawienia.

— Marzy mi się mały domek w jakimś ustronnym miejscu. Takim jak Bieszczady.

Spokój, cisza i gromadka dzieci.

— Nie nabijasz się ze mnie?

— Nie, Miśka. Naprawdę mam takie marzenie.

— Fajne to twoje marzenie.

— Do życia czasem potrzeba tylko marzeń. — Zamyślił się. — I powiem ci coś jeszcze: one nie muszą się szybko spełniać. Mogę sobie trochę poczekać. Poleżakować jak dobry piernik.

— A jeśli się nie spełnią, to będziesz miał żal do świata?

— Nie. Chyba nie. Wtedy będzie po prostu po staremu. Zwyczajnie.

Michalina zamyśliła się i spojrzała na niego zupełnie inaczej. Zaczęła powoli przekonywać się do Przemka. Może te jego żarty były tylko jakąś formą obrony? W gruncie rzeczy dał się lubić.

O czwartej nad ranem Miśka usłyszała walenie do drzwi. To nawet nie było pukanie, tylko właśnie głośne walenie. Jakby ktoś za wszelką cenę chciał wtargnąć do domu. Na palcach podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Na progu stał jakiś mężczyzna. W słabym jeszcze świetle nie zobaczyła wiele więcej.

— Proszę otworzyć! — ryknął niczym rozjuszony lew. Michalina odskoczyła od drzwi.

Na schodach pojawiła się Alina, która wiązała właśnie pasek od szlafroka.

— Co się tu dzieje? — szepnęła wyraźnie przestraszona.

— Nie wiem. — Michalina wzruszyła ramionami.

Po schodach zbiegł zaspany Przemek.

— Co się dzieje? — powtórzył za Aliną.

— Jakiś facet dobija się do drzwi.

— Zaraz zrobię z nim porządek.

— Uwważaj... — Miśka chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Przemek już

podszedł do drzwi i je otworzył. Do środka wpadł mężczyzna w szarym garniturze. Szybko rozejrzał się na boki, jakby czegoś gorączkowo szukając. Wreszcie jego wzrok padł na Alinę.

— Co ty tu robisz? — Kobieta zeszła z ostatniego schodka, zdziwiona widokiem przybysza.

— Co tu robię? Co tu robię? — zadrwił mężczyzna. Był wyraźnie zdenerwowany. — Przyjechałem do ciebie.

— Chciałam pobyć sama. Dlaczego przyjechałeś?

Podszedł do Aliny. Jego twarz poczerwieniała.

— Wyjeżdżasz bez słowa, wyłączasz telefon i robisz sobie wakacje.

— Widocznie tego potrzebowałam! — krzyknęła.

— Niech cię jasny szlag! Martwiłem się o ciebie.

— Ciekawe, że się tak nie martwiłeś, kiedy obściskiwaleś się z tamtą lafiryndą.

— Jaką lafiryndą?! — Mąż Aliny zmarszczył brwi.

— Tą od perfum.

Przemek z Michaliną wycofali się do salonu.

— Jakich znowu perfum? — Paweł Kołodziejczak był wyraźnie skołowany oskarżeniami żony. Wyglądał, jakby gorączkowo szukał w głowie

jakiegokolwiek punktu odniesienia.

Alina skrzyżowała ręce na piersiach.

— Przecież było wiadome, że się nie przyznasz. — Pokręciła głową. — Ostatnia delegacja w Hamburgu. Przyjechałeś do domu, śmierdząc damskimi perfumami. Jakbyś się nimi spryskiwał albo się w nich wytarzał. Chyłkiem włożyłeś koszulę do pralki.

Nagle mąż Aliny się roześmiał. Śmiał się tak, że jego żona aż osłupiała.

— Włożyłem do pralki — przyznał — bo nie mogłem znieść tego zapachu.

— Ty draniu!

— Uspokój się. — Uśmiechnął się do niej ciepło. — Chciałem ci tylko kupić perfumy, ale nie wiedziałem, jakich używasz. Byłem w perfumerii. Spryskałem tysiące papierków, aż w końcu jakaś ekspedientka poradziła mi, żebym psiknął sobie perfumy na nadgarstek, to wtedy poczuję ich prawdziwy zapach. A ja zamiast na nadgarstek, psiknąłem sobie w oczy, bo ten wylot był taki jasny, że go zupełnie nie było widać. Wrzasnąłem, zacząłem trzeć oczy mankietami koszuli. Wkurzony wyszedłem z tego sklepu. — Paweł znów się zaśmiewał, patrząc żonie wesoło prosto w oczy. — No i perfum ci, jak wiesz, nie kupiłem. — Przybrał minę wyrażającą pełną skruchę.

— I nie wymyśliłeś tej historyjki na poczekaniu? — Alina zbliżyła się do niego.

— Czy gdyby mi na tobie nie zależało, tobym tu przyjeżdżał? — Paweł zbliżył się do niej i objął ją mocno. — Teraz miałbym wolną chatę i młodą kochankę w łóżku. A jednak przyjechałem do mojej żony.

— Bo żadna nie zrobi ci takich schabowych jak ja.

— I takiego sernika. I koszul mi żadna tak nie uprasuje. I nikt mi się w łóżku nie rozpycha tak jak ty i kołdry ze mnie nie ściąga. A już na pewno żadna kochanka nie śpi w skarpetach.

Wspólnie wybuchnęli śmiechem.

— Alina, kocham cię — oświadczył, kiedy już się uspokoili.

— Za mało mi to okazujesz.

— A ty? Uważasz, że jesteś tu bez winy?

Przymknęła oczy. Faktycznie, sama też nie mówiła ani nie okazywała mężowi, że jej na nim zależy. Nie bezpośrednio.

— Zostaniesz na weekend? — powiedziała w klapę jego marynarki.

Odsunął się od niej i zlustrował ją wzrokiem, zabawnie unosząc brew.

— A nie masz wełnianych skarpet?

— Dzisiaj śpię nago — szepnęła mu do ucha.

Alinę obudził słodki zapach róż. Przypomniała sobie, że po miłosnych igraszkach uchylili okno. Na samą myśl o poprzednich godzinach kobieta uśmiechnęła się szeroko. Obok niej pochrapywał Paweł. Delikatnie dotknęła jego szorstkiego policzka. Opadła na poduszki i odpłynęła w błogi sen. Obudził ją głód i pocałunek męża.

— Która godzina? — Przeciągnęła się.

— Jedenasta.

— Żartujesz? — Podniosła się na łokciu.

— Dokładnie za pięć.

— No to sobie pospaliśmy...

— Robiliśmy też inne rzeczy. Cud, że łóżko przetrwało.

Zachichotali niczym para nastolatków.

— Powinniśmy częściej robić sobie takie przerwy od życia.

— Masz rację. Czemu wcześniej o tym nie pomyśleliśmy?

— Bo zawsze jest coś do zrobienia.

— Wiesz... — Alina nagle się zawstydzila, wracając do rzeczywistości.
— Nawet nie zapytaliśmy właścicielki pensjonatu, czy możesz zostać.

— Mam uciekać przez okno? — Paweł przysunął się do żony.

— Musimy uregulować opłaty.

— Damy radę. — Przytulił ją i złożył na jej czole czuły pocałunek.

Godzinę później odświeżeni porannym prysznicem i ubrani zeszli na dół.

W salonie czekała na nich Michalina. Alina wyjaśniła wszystko rozbawionej dziewczynie, a Paweł rozliczył się z niezapowiedzianej wizyty.

— Dobrze państwo spali? — zapytała Miśka.

Małżeństwo wymieniło się spojrzeniami.

— Znakomicie — odpowiedział Paweł.

— Zatem zapraszam na śniadanie.

— Przepraszamy za kłopot, już po dwunastej, a my dopiero śniadanie będziemy jeść — zreflektowała się Alina.

— To żaden kłopot. Zaraz podam ciepłe grzanki, na stole są jeszcze sałatka, wędlina, masło, konfitury, owoce i warzywa. Dzbanek z kawą i herbatą też zaraz podam. Czujcie się państwo jak u siebie!

Alina i Paweł raz jeszcze wymienili spojrzenia. Oby ten sen trwał jeszcze trochę, choć chwilę dłużej!

Patrząc na małżeństwo Aliny i Pawła, Michalina pomyślała, że czasami nie warto wysuwać bezsensownych podejrzeń. I — o dziwo — nagle w jej głowie pojawił się obraz nie Artura, tylko Przemka. Kiedy byli dzieciakami, strasznie ją denerwował, ale teraz przecież wydorósł, zmienił się. Był zabawny, no i nie wykorzystał sytuacji, kiedy była na rauszu. A ostatnia rozmowa?

Mogłaby z nim rozmawiać godzinami.

Rozdział 24

Amelia przyłapała się na tym, że pod byle pretekstem stara się zajrzeć do Marka.

— Cześć, nie przeszkadzam? — zawołała, kiedy zauważyła go w ogrodzie.

— Nie. — Podniósł się z klęczek i wierzchem dłoni otarł kropelki potu. — Mam stado nornic w ogrodzie i staram się coś z tym zrobić. Ryją wszędzie.

— Czyli jednak przyszłam nie w porę.

— Nie, nie, wejdz. Zrobię sobie przerwę. Napijesz się kawy?

— Z przyjemnością.

Weszła do ogrodu i usiadła na ławce.

— Tylko skoczę się odświeżyć i wracam... — Marek uśmiechnął się szeroko. — Dosłownie za pięć minut.

— Możesz być i za dziesięć.

Kwadrans później pili kawę.

— Wiesz — zaczął Marek — nurtuje mnie jedna rzecz...

— Dawaj.

— Jak to było z tobą i panią Jadwigą? Znam ją od kilku lat i powiem ci, że nawet nie przypuszczałem, że ma córkę.

— Było trudno... — westchnęła.

— Hej, jeśli nie chcesz, to nie mów. Rozumiem. — Marek uniósł dłonie.
— Nie chcę się wtrącać.

Amelia jednak poczuła, że dobrze jej to zrobi, jeśli podzieli się z kimś swoimi przemyśleniami. Dlatego zaczęła opowiadać.

— Kiedy miałam siedemnaście lat, uciekłam z domu. Czułam się wtedy zagubiona.

Rodzice nie mieli dla mnie czasu, a ja ich potrzebowałam. I... No, jakoś tak wyszło.

— Czasami tak wychodzi. — Marek dotknął jej dłoni.

Amelia zaczęła opowiadać o dziecku, o Robercie, Klarze, a nawet o Alexie i Mary Ann. Z

każdym wypowiedzianym słowem robiło jej się coraz lżej na duszy.

Kiedy skończyła, spojrzała na Marka. Trochę się wystraszyła, że będzie ją oceniał i ta ocena wcale nie będzie dla niej korzystna. Patrzył na nią z powagą.

— Przepraszam, znalazłam wolnego słuchacza...

— Lepiej ci teraz? — zapytał.

— Znacznie — przyznała i spróbowała się uśmiechnąć.

— I o to chodziło.

Milczeli przez jakąś chwilę.

— Będę się już zbierała. I tak zajęłam ci mnóstwo czasu.

— Możesz sobie tutaj posiedzieć, a ja skoszę trawę.

— Może ci w czymś pomóc?

— Nie śmiałbym cię wykorzystywać.

— Lubię od czasu do czasu być wykorzystywana.

Wybuchnęli śmiechem.

Amelia pielila grządki, co i rusz zerkając na Marka, który zdjął koszulkę i kosił trawę.

Trudno jej się było skupić, gdy w zasięgu wzroku miała półnagie męskie ciało. Dodatkowo to ciało było wysportowane i opalone. Zachichotała niczym podlotek.

Koło trzynastej usiedli w cieniu jabłoni i zjedli kanapki z serem. Ich ramiona stykały się, ale żadne nie odsunęło się nawet o milimetr.

Z krzaków wyłonił się Fred. Amelia tym razem nie miała ochoty uciec. Uśmiechnęła się nawet do wieprzka, a on do niej podszedł i szturchnął nosem jej nagą łydkę. Kobieta podrapała go za uchem. Fred prychnął, zachrumkał i odszedł w swoją stronę.

— Co za wieprz! — zaśmiała się Amelia.

— Taki dumny zwierz, powiedziałbym.

— Nawet zaczynam go lubić.

— I... — Marek zrobił wymowną pauzę — zaplusowałaś u mnie. Wobec czego zapraszam cię wieczorem na wino — dodał niespodziewanie.

Amelia poczuła, jak oblewa ją rumieniec.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

Zaczęła się zastanawiać: bo mama, bo córki...

— Nie odpowiedziałaś od razu, czyli szukasz wymówek. — Marek szturchnął Amelię w bok.

— Wcale nie!

— To co?

— Nie wiem sama... Wiesz, wino...

— Wino rozwiązuje języki, ale nie zobowiązuje.

Puścił do niej oko.

— Nie będę pił do lustra. Wtedy wino mi nie smakuje.

— Przyjdę — powiedziała, sama zaskoczona swoją odpowiedzią. Ale

Marek był w końcu osobą, w której obecności świetnie się czuła...

— Mamo, dzisiaj wieczorem wychodzę. — Amelia poczuła się nieswojo, wypowiadając te słowa. Tak powinny były brzmieć kilkanaście lat temu.

— Dokąd?

— Do Marka.

— Świetnie. — Jadwiga uśmiechnęła się do córki. — To porządny facet.

Amelii chciało się śmiać z tego „porządnego”, ale nie skomentowała.

— To tylko kieliszek wina... Wiesz, on jest w separacji... Nie wiąże z nim...

— Weź może gumki — poradziła ze śmiechem starsza córka, która weszła właśnie do kuchni. Amelia zaczerwieniła się po same koniuszki uszu. Nie to, żeby była pruderyjna, ale dziwnie się czuła, kiedy córka rzucała takie uwagi.

— To tylko przyjaciel.

— Ale jaki... Wygląda całkiem nieźle jak na starego faceta.

— Czterdzieści lat to jeszcze nie starość!

Wiktoria przewróciła oczami. Amelia przypomniała sobie, że kiedy ona była w jej wieku, myślała podobnie.

— Gdzie Mary Ann? — zapytała Jadwigę.

— A gdzie? Już pognała do Bartka.

— Czy ten Bartek to greczny chłopiec?

— Można mu zaufać.

— Widzę, że wszystkim mężczyznom w Złotkowie można zaufać.

Wspólnie wybuchnęły śmiechem.

Kiedy Amelia w gęstniejącym mroku weszła do ogrodu, serce waliło jej jak oszalałe. Po drodze kupiła kawałek sernika w „Cynamonowych Sercach”. Przycisnęła do piersi butelkę wina.

„Ochłoń, kobieto” — powiedziała do siebie w myślach.

Nieśmiało zapukała do drzwi, które momentalnie się otworzyły, jakby Marek czekał na nią z drugiej strony.

— Cześć. — Na jego twarzy jak zwykle malował się szeroki uśmiech.

— Cześć.

— Wejdz. Zapraszam. — Odsunął się na bok i gestem zaprosił Amelię do środka.

Kobieta weszła do salonu. Na środku pokoju stał przeszklony stolik, obok szara kanapa, pod oknem fotel bujany. Meble wykonane były z jasnego lakierowanego drewna. Na parapecie stały kwiaty doniczkowe, a na jednej ze ścian od góry do dołu wisały półki, na których poustawiane były książki.

— Siadaj. Otworzę wino.

Amelia poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie. Przycupnęła na brzegu kanapy.

— Przyniosłam też ciasto. — Wyciągnęła przed siebie pakunek.

— Świetnie. — Marek wziął od niej podarunki. — Dziękuję. — Spojrzał na nią uważnie.

— Czy coś nie tak?

— Trochę się denerwuję.

— Przyznam szczerze, że ja też. Ale... Już po pierwszym kieliszku pójdzie nam lepiej.

Minimalnie się odprężyła.

— Powiem ci w sekrecie, że za dużo nie wychodzę. Moje życie towarzyskie ogranicza się do wyjścia raz w miesiącu do teatru. Jestem domatorką.

— O, ja też. — Marek podał Amelii kieliszek. — To znaczy domatorem.

— Za zasiedziały w domach! — Stuknęli się kieliszkami.

Amelia upiła łyk wina. Było cierpkie, ale bogaty owocowy bukiet sprawił, że jej posmakowało.

— Jeszcze chwila i siadam koło ciebie. — Marek zapalił świece, które

stały na gzymsie kominka. — I jeszcze jedna. — Zniknął w kuchni, a po chwili znów się pojawił z tacą serów, orzechami i winogronami.

— No tak, do wina sery, a ja z tym ciastem wyskoczyłam — zachichotała nerwowo Amelia.

„Boże, robię z siebie idiotkę, śmieję się jak mysz do sera” — pomyślała.

— Do pierwszego kieliszka sery, po drugim to już wszystko jedno. Zresztą sernik to też taki ser, tyle że słodszy, więc się nadaje.

„Ależ jest boski...” Amelia nie spuszczała z niego oczu.

Popijali alkohol, a ich oczy lśniły w blasku świec. Po drugim kieliszku kobieta poczuła ciepło i przyjemne rozluźnienie.

— Jak wyglądało twoje warszawskie życie? — zapytała.

— Szybkie. Zbyt szybkie. Byłem nieustannie spięty, zapracowany. Nic mnie nie cieszyło.

Korpocześnik, a raczej robot. Denerwowały mnie te kolacje z kontrahentami. Wiele rzeczy mnie denerwowało. Wieczorami niekiedy sobie popijałem... Aż w końcu pewna granica została przekroczona. Wiesz, taka granica, kiedy człowiek mówi sobie: dość. Nie chcę tak żyć.

— A twoja żona?

— To wspaniała kobieta... — Spojrzał na swój kieliszek. Amelia poczuła ukłucie zazdrości. — Po prostu się nie dobraliśmy. Każde z nas oczekiwało czegoś innego.

— A gdyby teraz wróciła?

— Nie wiem. Nie wiem, co by było... Nie myślę o tym, cieszę się z tego, co mam.

— Jesteś odważny.

Marek uśmiechnął się.

— Czasami myślę, że jestem głupcem. Jak można rzucić swoje dotychczasowe życie z dnia na dzień? Życie, które przynosi ci prestiż i pieniądze...

— Może niekiedy warto coś zrobić pod wpływem impulsu? Nie można wszystkiego kalkulować, bo jeśli człowiek kalkuluje, to rodzi się w nim coraz więcej pytań. I łatwo jest zrezygnować.

— A ty? — zapytał po chwili. — Nie żałujesz, że uciekłaś?

— Pewnie, że tak. Żałuję, że nie potrafiłam wybaczyć, ale... jak to powiedziałeś, nie myślę o tym.

Marek wstał i dolał wina.

— Niedługo będę musiała się zbierać.

— To cię odprowadzę.

— Gorzej, jeśli tutaj zasnę.

— Przykryję cię kocem.

Spojrzeni na siebie. Przeskoczyła między nimi jakaś iskra.

Rozdział 25

Było już po północy, kiedy Amelia otworzyła drzwi do domu. Na korytarzu i w kuchni było ciemno, ale w pokoju Jadwigi paliło się światło. Amelia zapukała delikatnie do drzwi.

Matka przetarła zaspane oczy.

— Wejdz — powiedziała.

Amelia otworzyła drzwi.

— Spałaś?

— Czekałam na ciebie, ale musiałam przysnąć.

— Jestem. — Amelia uśmiechnęła się. Była ślicznie zarumieniona.

— Dobrze się bawiłaś?

— Tak.

— To najważniejsze.

— Idę do siebie. — Już chciała zamknąć drzwi, ale Jadwiga ją zatrzymała.

— Chciałam, żebyś wiedziała, że nigdy nie przestałam cię kochać i że...

— Wiem, mamó. Ja to wiem...

Cichutko zamknęła drzwi.

Kiedy leżała w łóżku, nie mogła zasnąć, mimo że wcześniej była taka senna. Świat jej lekko wirował. Myślała to o mamie, to o Marku. Obrazy przeskakiwały jej przed oczami.

Są takie chwile, które chciałabyś przeżyć jeszcze raz z bijącym sercem. Wspominasz czyjeś spojrzenie, uśmiech, rozmowę. To chwile, które sprawiają, że czas na sekundę przestaje gnać do przodu. Takie momenty zawieszony między teraźniejszością a przyszłością. Tylko że na przyszłość i teraźniejszość niezwykle silnie oddziałuje nasza przeszłość. Przeszłość, o której niekiedy chcemy zapomnieć.

Amelia zaczęła wspominać ojca.

Maciej był zawsze dumny ze swojej córki, a Amelia robiła wszystko, by być jego gwiazdeczką i by ją chwalił.

„Mądra dziewczynka” — powiedział podczas jakiegoś rodzinnego spędu, pokazując zebranym zeszyt Amelki ze starannym pismem. Wielką radość sprawiały mu jej szkolne sukcesy.

Córka kochała go za to, że był z niej dumny. Powtarzał, że wiedza, nauka i kariera są w życiu ważne. Chciała mu wierzyć, ale pragnęła też miłości. Rozmów nie tylko o kosmosie, równaniach matematycznych, ale także o lalkach. Chciałaby, aby się z nią pobawił. Mógłby być na przykład szoferem jej limuzyny. Mógłby być, kimkolwiek by chciał. Wystarczyłoby, żeby zaproponował....

Życie zweryfikowało jej poglądy na rodzicielstwo. Kiedy sama została matką najpierw Wiktorii, potem Mary Ann, zauważyła, że nie poświęca im już tak dużo czasu, o co miała do siebie pretensje. Gdy Mary Ann miała trzy latka, nieustannie domagała się porannych przytulasów. Amelia uwielbiała ją obejmować, całować ciało córki, które pachniało mlekiem, ciasteczkami i słońcem. Sama nie wiedziała, dlaczego dziecięcy zapach kojarzył jej się ze słońcem, ale tak było.

Najchętniej zostawałaby z małą w łóżku na dłuższe pieszczoty, wiedziała jednak, że zegar tyka, a jeszcze tyle rzeczy do załatwienia i praca... Musiała zarabiać pieniądze, aby to wszystko jakoś się kręciło. W tamtym czasie trochę zrozumiała swoją mamę, ale nie potrafiła przeskoczyć przepaści, jaka między nimi powstała. Miała jej adres, numer telefonu. Mimo to nie mogła się przemóc, by wyciągnąć rękę do zgody. Jeden jedyny raz zdecydowała się zaprosić Jadwigę, ale ta nie przyjechała. Wtedy postanowiła więcej nie próbować.

Dobrze, że matka wreszcie się u niej zjawiła. Amelia zorientowała się, że bardzo jej teraz potrzebowała. Przestała radzić sobie z życiem. Ten wakacyjny wyjazd do Złotkowa okazał się zbawienny.

Inaczej wyobrażała sobie swoje życie. Dom, dwójka dzieciaczków, jakiś mąż u boku, ładny domek i ogródek. Wieczorami będzie leżała w wannie i czytała książki. Tymczasem — zrobiła bilans — aromatycznych kąpieli z pianką: zero w ciągu zeszłego miesiąca. Liczba przeczytanych książek: jeden. Po kilku stronach zazwyczaj zasypiała. A oprócz tego stos prania, drugi stos prasowania. Na liście rzeczy do zrobienia: naprawić piecyk, zapłacić zaległe rachunki.

Wiktoria — opłata za wycieczkę, Mary Ann — wizyta u dentysty.

„Musisz znaleźć trochę czasu dla siebie. Choćby dwie, trzy godziny w tygodniu” — przeczytała w jednej z gazet, kiedy czekała w poczekalni, aż jej córka wyjdzie z gabinetu stomatologa.

Kto pisze takie bzdury? Albo kobieta, która nie ma dzieci, albo matka, która skrobie artykuł lub poradę, gdy jej pociechy są w szkole, i sama w to nie wierzy, bo kiedy mogłaby mieć chwilę dla siebie, pisze takie miałkie teksty, żeby dorobić...

Amelia cichutko zachichotała.

Przemek wracał właśnie z zakupów, kiedy dostrzegł, że kobieta, która przed chwilą stała na kamieniu, straciła równowagę i runęła jak długa do wody. Postawił siatkę na ziemi i pobiegł w jej stronę.

— Potrzebujesz pomocy?

Tamta odwróciła głowę. Z jej włosów ściekała woda. Rozpoznał Michalinę.

— Głupie pytanie — syknęła.

Przemek pomyślał o zimnej wodzie w strumyku i momentalnie dostał gęsiej skórki.

Stanął na kamieniu i podał Miśce rękę.

Z pomocą Przemka wyszła na brzeg. Mokre ubranie lepiło się do jej ciała, a jej podbródek zaczął się trząść. „Czy ona ma zamiar się rozpłakać?” — pomyślał mężczyzna. Jednak już po chwili zrozumiał, że był to zwiastun gromkiego śmiechu.

Przemek też parsknął.

— Cała się trzęsiesz z zimna — powiedział, gdy zauważył, że dziewczyna obejmuje się rękoma i szczeka zębami.

— Woda w tym strumyku jest lodowata.

— Jak w każdym górskim. Ale dzisiaj słońce ostro grzeje, zaraz zrobi ci się cieplej. Jeśli chcesz, pożyczę ci swoją koszulkę.

Zrobiło jej się ciepło na samą myśl o tym, że mógłby zaraz stanąć przy niej półnagi.

— Nie! — zaprotestowała. — Idę do domu.

I szybko ruszyła w stronę pensjonatu. Po kilku krokach jednak się zatrzymała i odwróciła w stronę Przemka.

— Dziękuję! — krzyknęła.

— Nie ma problemu. A tak w ogóle... czy założyłaś dzisiaj majtki?

Dziewczyna oblała się rumieńcem. Miała na sobie białe szorty, które teraz zapewne prześwitywały.

— Spadaj — syknęła.

— Jak dla mnie bomba. — Przemek roześmiał się.

— Nie masz na co patrzeć?

— Koleżanko... Tak gwoli ścisłości, to nie ja mam grzeszne myśli. Sama ostatnio próbowałaś zaciągnąć mnie do łóżka.

Miśka stwierdziła, że tego już za wiele. Poczowała się niewymownie wręcz głupio.



— Alkohol... — zaczęła dukać.

— Wiem, wiem. — Machnął ręką. — Alkohol, krew szybciej płynie w żyłach, płonie, a tutaj taki mężczyzna jak ja.

— Przepraszam! — Miśka odwróciła się i potruczała do domu.

— Nie ma za co... Nie ma za co...

Wszedł do pensjonatu jakiś czas po Michalinie, która zdążyła się już przebrać. Jej włosy nadal były wilgotne i zwijały się w ciasne sprężynki.

— Może znów napijesz się ze mną herbaty? — zaproponował Przemek.

— Mam dużo pracy — odpowiedziała. — Ale jeśli chcesz, zrobię dzbanek dla ciebie.

Możesz ją wypić w ogrodzie.

— Nie, dziękuję.

— Zatem wracam do roboty. — Michalina odwróciła się i skierowała do kuchni. Przemek przeciął jej drogę. Na sekundę, nie wiadomo dlaczego, jego bliskość ją zaskoczyła. Zaczerwieniła się. Pachniał górskim powietrzem i wiatrem.

— Stoisz mi na drodze — odezwała się.

— Dlaczego mnie nie lubisz? — zapytał z uśmiechem na twarzy.

— Nie powiedziałam wcale, że cię nie lubię. Po prostu zajmuję się pensjonatem. Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, ciągle jest tu coś do zrobienia. — Wyminęła go.

O dziwo, nie była na niego zła. Uśmiechnęła się nawet pod nosem. Jej serce biło jak szalone.

Rozdział 26

Michalina polubiła Przemka, nie była sobie w stanie dłużej wmawiać, że jest inaczej, ale nie mogła przestać myśleć o Arturze. On milczał, a ją zżerała

tęsknota. Środowego poranka poszła do „Cynamonowych Serc”. Kiedy już pomogła babci w wyłożeniu ciast na patery, usiadła przy stoliku z kubkiem kawy. Wyjęła notes i zaczęła pisać list do Artura. „Kto w tych czasach pisze listy?” — przeszło jej przez myśl. Ona. „Mail to mail, a list to list”. Uśmiechnęła się. Pisała o tym, co czuje, o swojej tęsknocie.

Wiesz, bo ja myślałam, że między Tobą i mną: wszystko. Bo musiało przecież być to coś.

Nie wierzę, że nie było nic. Nie mogłam sobie tego uroić, wyobrazić. Widziałam to w Twoich oczach, w uśmiechu. Cały wszechświat był w Twoim spojrzeniu. Ty uśmiechałeś się do mnie, patrzyłeś na mnie. No, wiesz jak. No, tak... Może nie z uwielbieniem, nie zalotnie. Nawet nie potrafię tego ubrać w słowa. Ale jakoś tak, że chciałam, byś patrzył na mnie nieustannie. Kobiety niekiedy za dużo sobie wyobrażają. Roztrząsają w głowie wypowiedziane słowa, wałkują je w kółko, uśmiechają się do swoich myśli. Żebyś wiedział, jakie ja mam myśli! Może lepiej, że nie siedzisz mi w głowie. Bo ja... Sama się rumienię, kiedy pomyślę, co mi po niej chodzi. Czasami mam wrażenie, że zrobiłam z siebie idiotkę, bo może sama chciałam bardziej, a ty mniej. Bo może faktycznie mi się wydawało. I widzisz, po co o tym myślę...?

Amelia weszła do „Cynamonowych Serc” z silnym postanowieniem, że zamówi tylko kawę. Ale kiedy otworzyła drzwi kawiarni, jej nozdrza wypełnił słodki maślany zapach.

— Czym mogę służyć? — zapytała młoda kobieta stojąca za ladą.

Amelia spojrzała na oszkloną półkę, gdzie stały rzędy smakołyków. Ciasta były puszyste, a torty wysokie, obłożone kremem i owocami. Ciasto marchewkowe przełożone było karmelem i udekorowane prażonymi migdałami, kruche były zaś dobrze wypieczone, przełożone powidłami.

— Najchętniej spróbowałam wszystkiego.

— Nic nie stoi na przeszkodzie.

— Obawiam się, że stoi: moje dzinsy, które i tak są już przyciasne.

Kobiety roześmiały się.

Amelia zamówiła karpatkę i kawę. Rozejrzała się po kawiarni, ale każdy stolik był zajęty.

W końcu zobaczyła jedno wolne miejsce koło kobiety, która robiła jakieś notatki.

— Przepraszam?

Michalina podniosła wzrok. Obok jej stolika stała kobieta, która trzymała w ręce tacę z filiżanką i talerzykiem z ciastem.

— Wszystkie stoliki są zajęte i pomyślałam... Nie chcę pani przeszkadzać, obiecuję siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, ale czy mogę się dosiąść?

— Tak, oczywiście. — Michalina przesunęła notes. Kobieta usiadła.

Miśka pisała dalej, a kiedy skończyła, wyrwała kartkę z notesu i schowała ją do koperty.

Kobieta siedząca naprzeciwko niej uśmiechnęła się.

— List. Dawno nie widziałam nikogo, kto jeszcze by je pisał — powiedziała.

— Ja też dawno nie pisałam listu, po prostu... Uznałam, że tak będzie lepiej.

— Jestem Amelia. — Kobieta wyciągnęła rękę nad stołem.

— Michalina.

Obie zamilkły.

— Czy ta wiadomość jest do mężczyzny? — odezwała się wreszcie tamta, spoglądając na dłonie dziewczyny, które mięły kopertę.

— Nikt na nią nie czeka — odparła smutno Miśka, bo nagle ogarnęło ją poczucie, że nie powinna jej wysłać.

— Skoro już napisałaś, może jednak powinnaś wysłać?

— Ten list był przeznaczony dla kogoś, kogo wciąż darzę uczuciem... Ale już z nim nie jestem. Straciłam go, bo zbyt wiele nas dzieli.

— A jeśli zrezygnujesz i za dużo stracisz?

— Chyba nie. Chyba czasami warto odpuścić. — Michalina pokręciła głową.

— Jestem zdania, że niekiedy warto walczyć do końca.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Amelii. Z miejsca ją polubiła.

Zaczęły się spotykać. Czasami na kawę, innym razem na wino lub nalewkę. Opowiadały sobie jedna o drugiej. Może nie wszystko, bo w trakcie kilku dni nie da się w pełni zaufać drugiemu człowiekowi, ale coś niecoś już o sobie wiedziały, trochę się domyślały, niektóre rzeczy przemilczały.

W piątkowy wieczór umówiły się na wino. Siedziały w ogrodzie przed „Różanym Pensjonatem” i kończyły pić drugą butelkę.

— Dlaczego nam, kobietom, wydaje się, że musimy mieć u boku faceta?
— zapytała Miśka, a po chwili czknęła. — Co jest nie tak w tych kobiecych mózgach, że myślą, a w sercach czują, że bez faceta są niepełne?

— Ej, nie wszystkie tak uważają. Ja jestem pełna.

— Pełna to jesteś wina. Przed chwilą mi się tu żaliłaś, jaka to jesteś samotna.

Wybuchnęły śmiechem. Języki im się plątały.

— Polejesz?

— Po czerwonym winie mam kaca.

— Czerwone wino rozwiązuje języki, wyciąga na światło dzienne tajemnice, których wcale nie zamierzało się nikomu zdradzać... Wyciąga wspomnienia o wielkich planach, marzeniach, strasznej zdradzie i tragicznej miłości. Wino śmieje się i chichocze.

— Czyli wino to najlepszy przyjaciel kobiety?

— Lepszego nie znajdziesz.

Ponownie zachichotały.

— Ty... A tak w ogóle, to komu właściwie są potrzebni mężczyźni? — Miśka rozlała resztę alkoholu do kieliszków.

— No... Na przykład mnie.

Śmiały się tak, że aż łzy spływały im po policzkach.

— Czyli kochałaś... nadal kochasz... tego Artura? — Amelia usiadła na huśtawce i zaczęła się odpychać nogami.

— Czy ja wiem? Teraz to już w zasadzie nie mam pojęcia. Zbyt dużo przez siebie wycierpieliśmy. I nie mówię, że to tylko jego wina. Ja też się go czepiałam. Chciałam mu ustawiać życie.


— My, kobiety, chyba lubimy się czepiać. Ale faceci nie są bez winy. Ojciec Wiktorii mnie zostawił, tak samo ojciec Mary Ann. Jeden, bo jeszcze nie dojrzał do związku, a drugi, bo przejrzał.

— Przejrzał? — Miśka się zaśmiała.

— No, przejrzał, ale nie, że przejrzał na oczy. Pojawiło się na nich bielmo zauroczenia asystentką. Tak mnie i jedna, i druga miłość trochę poturbowały. — Amelia zamknęła oczy i odchyliła głowę.

— Miłość nie powinna boleć.

— Nieprawda. Miłość zawsze boli. Całe serce mamy poznaczone bliznami, niezasklepienymi ranami. Zawsze boli... — Amelia się zamyśliła.

— Czasami się zastanawiam, 

czy ten ból to nie istota miłości? Albo nie, to nie chodzi o ból, ale o wybaczenie. Nie ma to jak babska przyjaźń. Z mężczyzną nie można się tak przyjaźnić. Bo albo ty, albo on zaczniecie czuć do tego drugiego coś więcej, albo gdzieś do tej relacji wtargnie namiętność...

— Albo...?

— To jest inny poziom. Oni jakby inaczej odczuwali, przeżywali. Są oziębli.

— Może racjonalni. To nami targają emocje.

— Chyba rzeczywiście mam problem z mężczyznami. — Amelia przechyliła kieliszek i pociągnęła spory łyk wina.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Popełniłam mnóstwo błędów w doborze partnerów.

— Każda z nas popełnia.

— Ale nie każda ma dzieci z kimś innym tak, że żaden z tych mężczyzn nie uczestniczy w waszym życiu. — Postawiła kieliszek na stoliku.

— Aż tak cię to uwiera? — Miśka wyciągnęła przed siebie stopy. Tego dnia jak zwykle była na nogach od piątej trzydzieści. Na szczęście goście wyjechali, a następni przyjadą za dwa dni. Ma czas na regenerację, co nie znaczy, że w tej chwili nogi jej nie bolały.

— Mnie to nawet nie uwiera, ale wiesz, jak niektórzy ludzie reagują na takie rzeczy.

Michalina prychnęła.

— Ludzie zawsze będą chcieli ci dopierdzielić, żeby ci przypadkiem za dobrze nie było.

A szczególnie kobiety mają w sobie pewną dozę złośliwości w stosunku do innych. Żeby tylko wbić szpileczkę.

— Są też fajne babki.

— Pewnie, że są. Ale są też takie babony.

— „Babony”? — Amelia śmiała się w głos.

— To takie baby, którym nigdy dość cudzej krzywdy. Babony, które najchętniej utopiłyby cię w łyżce wody, wydarłyby ci ostatni okruch szczęścia i same skonsumowały. Albo pogryzły i wypluły, żeby nikt nie mógł się nim nacieszyć.

— No są takie, są.

Znów się roześmiały.

— Czy ojca Wiktorii i ojca Mary Ann kochałaś?

Amelia zamyśliła się na chwilę.

— Mnie się zawsze wydawało, że to jest miłość. Coś jednak z tą miłością było nie halo.

Może była to raczej jej namiastka, emocje, przyjemności. W środku byłam pusta. To znaczy nie od razu. Po jakimś czasie. To chyba nie jest normalne?

— To raczej nie było to.

— I myślisz, że to wszystko na nic?

— No co ty? Wszystko było po coś. Ja nauczyłam się, czym jest, a czym nie jest miłość — bredziła na rauszu Miśka.

— A tak z innej strony... — Amelia postanowiła wreszcie zmienić temat. Głowa zaczynała ją boleć od tych filozoficznych wynurzeń. — Nie

znalazłabyś jakiejś pracy dla mojej starszej córki? Mówi, że się jej nudzi. I chętnie by się gdzieś zaczęła.

Miśka zmarszczyła brwi, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

— U mnie nie za bardzo. Sama wszystko ogarniam i jakoś mi z tym dobrze. Ale sądzę, że w „Cynamonowych Sercach” przydałaby się pomoc. Babcia Zosia zatrudnia na pół etatu Kasię, ale teraz jest taki ruch, że kolejną parą rąk na pewno nie pogardzą.

W kawiarni z każdym dniem przybywało klientów. Wydawało się, jakby wszyscy turyści ze Złotkowa i z okolic marzyli tylko o ciastach i mrożonej herbacie babci Zosi. Miśka pomaga w kawiarni, kiedy tylko mogła, ale przecież sama też była zlatana. Prośba Amelii była jak dar od losu.

Kiedy Michalina następnego dnia, na kacu i po jednej aspirynie, weszła do kawiarni, Kasia psioczyła pod nosem na ciasto.

— Cholerny sernik! A mówiłam: bez frużeliny! — Narzekała, wkładając kolejną formę do piekarnika.

— Rozniosę zamówienia — zaproponowała Michalina, aby przypadkiem nie nadebrać babcinej pracownicy na odcisk. Uwielbiała dziewczynę, ale wiedziała, że zła Kaśka zdolna jest do wszystkiego, nawet do rzucenia zakalcem o ścianę.

Kiedy w kawiarni zrobiło się trochę luźniej, Miśka podeszła do babci i przedstawiła jej propozycję zatrudnienia jeszcze kogoś.

— Przydać, toby się i przydało. Tylko kogo ja teraz znajdę? — Zofia rozłożyła ręce.

— Mam już kogoś na oku. Córka Amelii bardzo chciałaby nam pomóc. Sama planuje pracować w Anglii w kawiarni, może kiedyś z mamą coś

swojego otworzyć, a nic tak nie czyni mistrza, jak praktyka.

— Córka Amelii?

— Wiktoria. Wnuczka Kowalikowej.

— Myślisz, że się nada?

— Nada, nie nada, trzeba dać jej wycisk.

Kobiety zaśmiały się. Michalina uważnie przyjrzała się babci. Czas nie oszczędził jej kochanej twarzy, choć wciąż była piękną kobietą. Miśka miała wrażenie, że każda zmarszczka była zapisem kolejnego zmartwienia z ostatnich dwudziestu lat. Odkąd zmarła jej jedyna córka, tyle ich przybyło!

„Tak, babcię trzeba odciążyć. Musimy zadbać o ten nasz skarb” — pomyślała.

Wiktoria pojawiła się w „Cynamonowych Sercach” już następnego dnia. Kaśka oprowadziła ją po zapleczu i porządnie przećwiczyła. Dziewczyna już po dwóch godzinach miała dość, ale dzielnie się trzymała.

— I jak, dajesz radę? — zapytała Kaśka, wręczając jej kolejne zamówienie.

— Jakoś daję.

— Przyzwyczaisz się.

— Nóg nie czuję.

— Zapewniam cię, że kiedy wieczorem zdejmiesz buty, to poczujesz.

Obie parsknęły śmiechem. Czuły, że znajdą wspólny język. Wiktoria rozpoczynała kolejny etap życia.

Wiktoria z Kasią stały za ladą, kiedy drzwi do kawiarni otworzyły się z impetem. W

progu ukazał się młody mężczyzna ubrany w czarną koszulkę i czarne dżinsy. Na głowie miał

czapkę naciągniętą na oczy.

Podniósł wzrok na Wiktorię i ich spojrzenia się skrzyżowały.

— Boże! — Dziewczyna przestraszyła się lekkiego szaleństwa w jego oczach. — A to kto? — szepnęła do Kasi.

— Michał.

Młody mężczyzna podszedł do lady.

— Cześć. Ty pewnie jesteś Wiktoria? — zwrócił się do dziewczyny.

— Pewnie tak.

— Kaśka, poczęstujesz mnie kawą?

— A masz pieniądze?

— Dzisiaj mam. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Odwrócił się w stronę nowej kelnerki.

— Przyjechałaś tutaj w poszukiwaniu siebie? — zapytał jakby od niechcena.

— Słucham?

Wiktoria uniosła brwi.

— No wiesz, to ostatnio takie modne. Odnaleźć siebie, swoje miejsce na ziemi. Taki *shit* się ludziom wciska.

— Nie muszę szukać siebie. — Wiktoria skrzyżowała ręce na piersi.

— To gest obronny. — Wskazał ruchem głowy na jej ręce.

— Gest jak gest.

— No, paniusiu, chyba nie będziesz się tutaj na mnie obrażała? — Michał się zaśmiał.

— Nie zamierzam.

Kaśka też parsknęła śmiechem.

— Nie przejmuj się nim. On taki już jest.

— Taki, to znaczy jaki? — Wiktoria nie spuszczała oczu z klienta.

— Dziwak — odpowiedział usłużnie.

Wypił kawę duszkiem. Dziewczyna się skrzywiła. Przecież kawa musiała być gorąca, a on tak po prostu wychylił kubek.

— I szalenciec — dodał i puścił do niej oko.

Rozdział 27

Michalina zadzwoniła do drzwi domu babci Zosi i chwilę odczekała. Kiedy nie było żadnego odzewu, nacisnęła dzwonek jeszcze dwukrotnie. Wiedziała, że babcia jest w domu.

Odkąd zatrudniała w „Cynamonowych Sercach” Kasię i Wiktorię, miała wolne w niedziele i poniedziałki. I bardzo dobrze, należało się jej. Zofia była coraz bardziej zmęczona. Lat jej przecież nie ubywało.

Michalina słyszała, że telewizor głośno gra. Babcia za nic w świecie nie przegapiłaby swojego serialu. Podeszła do okna i zastukała; dopiero wtedy zdziwiona Zofia obejrzała się na szybę. Pomachała do wnuczki i podeszła do drzwi.

— Wchodź szybko. Wiesz, mój serial.

— Wiem — zaśmiała się Miśka. Zdjęła buty i weszła do saloniku. Prawdę powiedziawszy, w wakacje leciały tylko powtórki tego, co babcia obejrzała już w poprzednim sezonie, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało.

— Jeszcze pięć minut i wszystko mi powiesz, a teraz cicho sza!

Babcia usiadła w fotelu, a Miśka na wersalce.

Choć pani Zosia była przywiązana do rodziny, kochała niezależność i nie chciała teraz mieszkać w „Różanym Pensjonacie”. Pragnęła mieć własny domek. Po śmierci dziadka sprzedała swój duży dom i na tym samym podwórku, co rodzinny dom Miśki, wybudowano mały domek dla babci, w

sam raz dla niej. A i ona zawsze była blisko, gdyby była potrzebna lub sama wymagała pomocy.

Michalina rozejrzała się po saloniku pełnym bibelotów. Na półkach były ustawione zdjęcia ślubne babci i dziadka, wnuków i mamy Miśki — Ilony. Na przeciwległym regale stały książki. Na parapecie — doniczki z kwiatami. Nad kominkiem poustawiane były porcelanowe figurki kotów, które babcia zbierała od lat. W salonie było naprawdę dużo rzeczy, mimo to wszędzie panował ład.

Babcia uwielbiała porządek.

— Wiedziałam, że wskoczy mu do łóżka! — wykrzyknęła z triumfem, kiedy odcinek się skończył. Westchnęła, po czym zwróciła się do wnuczki: — Co cię do mnie sprowadza?

— A, tak przyszłam.

Starsza kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

— Widziałyśmy się rano.

— Jutro umyję ci okna — wyrzuciła na jednym tchu Michalina.

— Dlaczego miałabyś mi myć okna?

— Bo kupiłaś w sklepie płyn do mycia okien.

— Och, z tej Kazki Moczarskiej to jest plotkara! — zdenerwowała się pani Zosia. — Tak, mam zamiar umyć okna.

— Ja to zrobię. Ostatnim razem, kiedy się do tego zabrałaś, spadłaś z

drabiny.

— Każdemu się może zdarzyć, nawet tobie.

— Babciu, daj sobie pomóc.


— Mało masz roboty?

— Nie narzekam na brak pracy, ale...

— Chcę umyć sobie okna.

— Mało się w życiu napracowałaś?

Pani Zosia pokręciła tylko głową, próbując opanować rozbawienie.

— Jak się czujesz? — zapytała po chwili, podsuwając Miśce pod nos talerz maślanych  ciasteczek polanych czekoladą.

— Dobrze. — Miśka sięgnęła po ciastko. — Chociaż jeśli będę jadła tyle słodczy, to dupsko mi urośnie.

— Oj tam, oj tam. Dobrze sypiasz?

— Czasami lepiej, czasami gorzej.

— Wkurzył mnie ten Artur...

— Babciu, nie zaczynaj.

— Takie jest moje zdanie. Stary chłop, a sam nie wie, czego chce od życia. Tacy są najgorsi.

— Przejdzie mi. — Miśce na wspomnienie o Arturze zachciało się płakać, ale wiedziała, że nie może się rozkleić przy babci.

— Mam nadzieję, że nie jesteś, no, w tej... — Starsza kobieta szukała słów. — W depresji.

— Nie, babciu. Smutek to nie depresja.

— To dobrze. Żebyś mi tylko nie brała żadnych prochów, bo to wszystko oszustwo i wymysł koncernów farmaceutycznych. Żadnych prochów.

— Dobrze, babciu. Żadnych prochów. Obiecuję.

Dom był pogrążony w ciszy, jakby spał. Miśka podniosła się z łóżka i podeszła do parapetu. Odsłoniła rolety i otworzyła okno. Wiatr wpadł do środka, wydymając firanki i przynosząc ze sobą słodkawy zapach. Michalinie przypomniły się dawne czasy, kiedy mama jeszcze żyła, a budynek od rana wypełniał zapach ciasta i kawy. „Bez kawy nie ma życia” — mawiała mama Miśki.

Potem pomyślała o Arturze. Od tak dawna nie miała od niego wiadomości! Oczywiście, że się rozstali, ale mógłby się do niej odezwać. Przecież mogliby spróbować chociaż przyjaźni, prawda...? Nie wszyscy, którym nie wyszło, rozstawali się w gniewie i na zawsze.

Drobne rzeczy sprawiały, że zaczynała na nowo o nim myśleć: nalewka babci, strumyk w Złotkowie, przy którym Artur biegał w zimie, czyjeś

spojrzenie, które było tak wnikliwe jak jego, fragment książki, który mówił o uczuciach. Była smutna, a niekiedy na niego zła. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że za jego przyczyną będzie tak nieszczęśliwa! Tylko praca w pensjonacie i opieka nad bratem sprawiały, że twardo stąpała po ziemi i otrząsała się z melancholii.

Ale nie takie noce jak ta. Wtedy wszystko czuła znacznie intensywniej.

Rozdział 28

Amelia stała przed lustrem w bieliźnie i taksowała swoje odbicie, kiedy ktoś zapukał do pokoju.

— Mamo, to ja! — usłyszała głos Wiktorii.

— Wejdz.

Dziewczyna przestąpiła próg i spojrzała na matkę.

— Jak na kobietę w twoim wieku, po dwóch ciążach, wyglądasz nieźle — powiedziała z pełnym przekonaniem.

— Nieźle?

— Nieźle.

Zaśmiały się.

Wiktorii usiadła na łóżku, opierając długie nogi na stoliku.

— Ile razy ci mówiłam, że nie kładzie się nóg na stół?

— A mogę ci coś doradzić? — Córka zupełnie nie przejęła się połajanką. Amelia westchnęła.

— Mów.

— Bawełniane gacie i sportowy stanik raczej nie wzbudzają u faceta pożądania.

— Nie wybieram się na rozbieraną randkę. — Amelia chwyciła z oparcia krzesła szlafrok i ciasno się nim owinęła.

— Ale nie wiesz, co się może wydarzyć.

Kobieta momentalnie poczerwieniała. Sama miała nadzieję na to coś. Chciałaby...

Odsunęła od siebie te myśli.

— Nie masz niczego do roboty?

— Idę do „Cynamonowych Serc”.

— I jak ci się podoba praca kelnerki?

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— Kochanie, ja już ten etap mam za sobą.

— A przede mną jeszcze wszystko.

Wiktoria wstała, cmoknęła matkę w policzek i wyszła. Amelia rzuciła się w stronę szuflady, w której trzymała bieliznę. Wygrzebała z jej dna nowy komplet, koronkowy. „A co tam” — zachichotała. Raz się żyje.

Tego dnia wybrała się na wycieczkę z Markiem. Było dość gorąco, dlatego włożyła sukienkę na cienkich ramiączkach. Nie przewidziała jednak tego, że będą jechać jego terenowym jeepem, w którym pęd powietrza będzie owiewał jej nagie ramiona. Sposób bycia Marka sprawiał, że Amelia czuła się jakoś niezdarnie. Z jednej strony niby swobodnie, bo mężczyzna sypał żartami jak z rękawa, z drugiej jednak była przy nim dziwnie spięta.

Zaparkowali samochód u podnóża gór. Po kilku minutach dotarli na polanę. Po prawej stronie rozciągało się jezioro o błękitnej wodzie.

Amelia poczuła się zażenowana w swojej sukience. Marek ubrany był dość „na luzie”.

Chciała po prostu wyglądać ładnie, żeby dodać sobie odwagi, ale po jeździe po wertepach, kiedy to ręką musiała przytrzymywać kieckę, wcale się ładnie nie czuła. Tym bardziej że sukienka była teraz pomięta.

Marek rozłożył karimatę i zdjął z ramienia plecak. Usiedli i jak na komendę zapatrzili się w toń wody. Amelia przymknęła oczy. Napięcie powoli opadało, aż poczuła, że jest jej naprawdę dobrze. Tak długo nie myślała o tym, by się wyluzować, by zaspokoić swoje pragnienia. Bo praca, po córki, bo obiad, bo zakupy. A tutaj było tak pięknie!

— Dawno nie czułam się tak dobrze — wyartykułowała te myśli.
Uśmiech nie schodził
jej z twarzy.

— To chyba dobrze, że ci dobrze? — zaśmiał się Marek.

— Chyba tak. — Amelia również się roześmiała.

— Odkąd wyjechałem z Warszawy, czuję, że żyję. Mam więcej czasu na wszystko. I co najważniejsze, nie pracuję w czterech ścianach. I mam czas na książki.

— Nie wierzę! Przy tylu zajęciach? Co czytasz?

— Wszystko, co ciekawe. Biografie, reportaże i... tak zwaną literaturę dla kobiet.

— Żartujesz sobie? — Spojrzała na niego z ukosa.

— Nie. Serio. — Spojrzał jej prosto w oczy, żeby zobaczyła w nich szczerłość. — Dużo w nich miłości. A ja cierpię na jej deficyt. Tylko nie mów nikomu o moich upodobaniach!

— Miłosnych czy książkowych?

Śmiali się oboje.

— Muszę ci coś powiedzieć... — podjął po chwili.

— Mów.

— Jesteś śliczną kobietą.

Amelia zawstydziała się i uciekła wzrokiem w stronę jeziora.

— A ty jesteś flirciarzem.

— Nie. Po prostu stwierdzam fakt. Mogę cię przytulić? — zapytał niespodziewanie. W jej sercu znów zaczęły kłębić się emocje.

— Nie wiem.

— Dlaczego nie wiesz?

— Nie poddajesz się.

— Życie jest zbyt krótkie. I nauczyłem się, że jeśli dwoje ludzi chce czegoś tak samo mocno, to dlaczego mieliby tego nie zrobić? Chcę cię przytulić i jeśli mi na to pozwolisz, to to zrobię.

— Masz żonę.

— Z którą jestem w separacji i z którą od półtora roku nie współżyłem. Jestem też mężczyzną, któremu spodobała się inna kobieta.

Amelia zaczerwieniła się.

— Wiesz, jak to z tym pożądaniem jest. Niekiedy trzeba trzymać je na smyczy.

„Co ja bredzę?”

— Oboje tego chcemy. — Marek przeczesał ręką włosy.

— Wiem też, co jest niewłaściwe.

— Czasami nie powinno się wszystkiego tak dogłębnie analizować. Lubię cię, bardzo cię lubię. Pociągasz mnie. Przytul mnie...

Amelia chciała odmówić, ale nic nie powiedziała, tylko pokiwała głową.

Jego silne ramiona objęły ją, a ona poczuła się jeszcze lepiej, chociaż przed chwilą nie wierzyła, że to możliwe.

Patrzyli sobie w oczy dość długo, intensywnie. Marek widział, jak rozszerzają się jej źrenice. Pocałował ją. Nawet przez chwilę nie protestowała. Rozchyliła usta i przesunęła językiem po jego języku. Marek delikatnie ugryzł jej wargę. Amelia zaśmiała się. Całowali się tak długo, dopóki usta nie zaczęły ich poboлеwać.

Wreszcie mężczyzna wsunął rękę pod jej sukienkę i przez materiał biustonosza pieścił jej nabrzmiałe sutki. Amelia wygięła ciało w łuk i jęknęła. Marek ściągnął z niej sukienkę, a ona z niego T-shirt. Dotknęła jego klatki piersiowej; na skórze mężczyzny pojawiła się gęsia skórka.

Jedną ręką rozpiął jej stanik. Odrzucił go na bok i całował każdy centymetr jej rozpalonego ciała.

Pozbył się resztek jej bielizny i palcami sprawił jej rozkosz. Ciało Amelii zadrżało.

Po chwili oboje byli już nadzy. Marek usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Przebiegł

rękoma po jej nagich plecach. Przez chwilę poruszali się wolno, a z każdą minutą coraz szybciej i szybciej. Ich ciała pokryły się drobnymi kropelkami potu. Krótkie oddechy, szybkie ruchy, jęki.

Kochali się namiętnie, czule, z uwielbieniem. Amelia przez chwilę miała wrażenie, że cała ziemia się kołysze. Kiedy skończyli, pozostali w namiętym uścisku, splatając ze sobą nogi.

— Jesteś cudowna, piękna, jedyna... — szepnął jej do ucha Marek.

W tej chwili była w stanie mu uwierzyć we wszystko.

W drodze powrotnej oboje uśmiechali się do siebie. Amelia próbowała doprowadzić się do ładu; na głowie utworzył jej się kołtun. Rozczesała go palcami. Poprawiła sukienkę. Jedno jej ramiączko było naderwane.

Wchodząc do domu, wpadła na córkę.

— Mamo!!! — zawołała Wiktoria.

— Przepraszam. Zamyśliłam się.

Wiktoria spojrzała na nią wesoło i uśmiechnęła się pod nosem.

— Co?

— Nic. Widzę, że dobrze się bawiłaś. Masz trawę we włosach. — Wyjęła z resztek matczynej fryzury pojedyncze źdźbło.

Amelia przez chwilę zastanawiała się, czy jej się nie zwierzyć, ale to byłoby niedorzeczne. Powinna zachować to dla siebie. W końcu Wiktoria to jej córka, a z dziećmi niekoniecznie omawia się takie rzeczy.

— Świetnie bawiłam się z Markiem — przyznała w końcu na głos.

— I bardzo dobrze. Należy ci się. Nie miałaś faceta od...

— Od kilku lat.

— Kilkunastu chyba. — Wiktoria puściła do niej oko. — Uprawiałaś z nim seks?

Amelia zaczerwieniła się po same koniuszki uszu.

— To prywatna sprawa.

— A wiec tak! — Wiktoria klasnęła w ręce, pocałowała mamę w policzek i wybiegła do ogrodu.

„No i nici z sekretu” — westchnęła Amelia i wdrapała się na górę do pokoju.

Michalina jeszcze spała, kiedy usłyszała pukanie. Uniosła najpierw jedną powiekę, potem drugą. Spojrzała na budzik. Co, do cholery? Piąta rano. Dźwignęła się na łokciu i otworzyła drzwi. W progu stał uśmiechnięty, ubrany w dres Przemek.

— Obudziłem cię? — zapytał przesłodzonym głosem.

— Nie. No co ty? — zakpiła Miśka. — Nie śpię już od godziny.

— Nie chciałem cię budzić, ale nie mogłem znaleźć w kuchni kawy. Gdzieś przełożyłaś?

Czy się skończyła?

Michalina syknęła, wyprzedziła go i weszła do kuchni. Przemek podreptał za nią.

— Dlaczego wstałeś o tej porze?

— Lubię biegać rano.

„Kolejny — pomyślała z przekąsem. — Co oni mają z tym porannym bieganiem?”.

Wstawiła wodę na kawę i zaczęła grzebać w szafkach.

— Bez kawy nie dam rady — kontynuował rozbudzony Przemek. Nawet

w dresie wyglądał bardzo ponętnie.

Kiedy o tym pomyślała, on roześmiał się na głos.

— Co?

— W tym śpisz? — Ruchem głowy wskazał na jej rozciągniętą piżamę w kaczuszki.

— Tak.

— Nie powiem, że to jest sexy.

— Weź się goń! Nie powinno cię to obchodzić.

— No, w sumie! — Śmiał się wniebogłosy. — A pamiętasz o naszej przygodzie? Kiedy ty chciałaś...

— Powiedz jeszcze jedno słowo, a kawa wyląduje na twojej głowie.

— Zalecam meliskę.

— Słucham?

— Melisa działa uspokajająco.

— Goń się! — Miśka naprawdę miała go dość.

— Zaraz pogonię przed siebie. Nie masz ochoty pobiegać ze mną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie lubię biegać.

— A przydałoby się.

— Twoja kawa. — Michalina postawiła przed nim kubek. — Idę jeszcze spać! A mogłam jeszcze poleżeć te pół godziny...

W niedzielę babcia Zosia przyniosła wnukom garnek rosółu. Michalina zmywała naczynia.

— Przy tylu gościach powinnaś zainwestować w zmywarę — rzuciła Zofia.

— Zmywanie naczyń jeszcze nikogo nie wykończyło. — Miśka uśmiechnęła się pod nosem. — Mamy ważniejsze wydatki.

— Oj, wydatków nigdy nie za mało.

Zofia usiadła na taborecie.

— Powiem ci coś, na wypadek gdybyś jeszcze tego nie zauważyła. Ten cały Przemek szaleje za tobą.

Miśka odłożyła na suszarkę talerz i odwróciła się do babci. Pokręciła głową, uśmiechając się przy tym.

— Daj mi z nim spokój — fuknęła, udając wzburzenie.

— On świata poza tobą nie widzi.

Miśka zapatrzyła się gdzieś przez okno. Przemek był uroczy, uwielbiała z nim rozmawiać, śmiać się, ale przypuszczała, że chłopak nie chce być tylko jej kumplem, lecz kimś więcej. To dlatego tak ją czasem celowo denerwował. Czy świat musi być taki popieprzony?

Rozdział 29

Wiktoria postanowiła pójść na spacer. Coraz częściej łapała się na tym, że wcale nie brakuje jej londyńskiego życia. Jest nawet zadowolona z tego, że jej komórka traciła niekiedy zasięg, a ona nie musi co chwila odświeżać wiadomości i przeglądać Facebooka. Złotkowo było niezwykle cichą okolicą. Przyjeżdżali tutaj turyści, ale byli w ogóle niezauważalni. Na pewno nie było ich tak dużo, jak w typowych kurortach.

Tego dnia siąpiła lekka mżawka, ale nawet deszczyk nie zniechęcił Wiktorii do spacerów.

Westchnęła głęboko, a górskie powietrze wdarło się do jej płuc. Zauważyła, że zarówno mama, jak i jej młodsza siostrzyczka czuły się tu równie dobrze. Mama to się nawet zakochała.

Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem.

— Cześć! — Nie wiadomo skąd stanął przed nią Michał.

Wiktoria wzdrygnęła się.

— Skąd się tutaj wziąłeś? — Rozejrzała się na boki.

— Przestraszyłem cię?

— Wyrosłeś jak spod ziemi.

— Mieszkam tutaj. — Wskazał na dom w dolinie. — Chcesz się napić herbaty? Pada, a ty przemokłaś.

— No nie wiem...

— Nic ci nie zrobię — zaśmiał się. — Jestem może i dziwny, ale jeszcze nikogo nie zabiłem. Mimo że ludzie gadają inaczej.

Wyciągnął w jej stronę rękę, którą Wiktoria złapała. Szli kamienistą ścieżką w kierunku domu.

— Mieszkasz tutaj sam? — zapytała dziewczyna.

— Nie. — Pokręcił głową, a ona poczuła lekkie rozczarowanie. — Z kobietą mojego życia.

Nie skomentowała, choć zrobiło jej się jakoś dziwnie.

Weszli do garażu, w którym znajdował się warsztat.

— Możesz się tutaj rozejrzeć — powiedział Michał. Wiktoria powędrowała spojrzeniem po rzędach narzędzi, które wisiały na ścianach. Deski surowego drewna leżały na równych stertach po prawej stronie, a na środku garażu stał solidny stół do pracy.

— Wow! Jesteś stolarzem?

— Tak. Kocham robić różne rzeczy w drewnie. Chcesz obejrzyć zdjęcia moich prac?

— Pewnie!

Z górnej półki zjął album, w którym znajdowały się fotografie stołów, skrzyń, kufrów, szaf. Wiktoria przewracała strony, nie kryjąc zachwyty.

— Cudne. Naprawdę cudne. Jak się tego wszystkiego nauczyłeś?

— Mój tato mnie nauczył... No dobrze, nie będę cię zanudzał.

— Nie zanudzasz. Zresztą... Moja mama ostatnio wspomniała, że chciałyby mieć ławkę w ogrodzie.

Michał wzruszył ramionami.

— Wyglądasz na zziębniętą. Chodź, napijemy się herbaty.

Przeszli na koniec garażu, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące do wnętrza domu.

Korytarz był krótki i delikatnie oświetlony. W pewnym momencie usłyszeli damski głos.

— Michał, to ty?

— Ja. Mamy gościa.

Z kuchni wyłoniła się siwowłosa kobieta. Była dość pulchna, o łagodnym spojrzeniu i ciepłym uśmiechu.

— Dzień dobry — przywitała się dziewczyna. — Jestem Wiktoria.

— Mirka, mama Michała.

— Kobieta mojego życia — wyjaśnił Michał.

Wiktorię wzruszyło to, jak opowiada o mamie.

— Zaparzę herbaty — powiedziała pani Mirka. — Mam też grzybową.

— Nie chcę sprawiać kłopotu.

— Ale to żaden kłopot. Zjemy trochę zupy.

W trakcie posiłku Michał prawie w ogóle się nie odzywał. Wiktoria natomiast gawędziła z jego matką.

— A co z twoim tatą? — zapytała w pewnym momencie Michała. — Mówiłeś, że to on nauczył cię rzeźbić.

Tamci spojrzeli na siebie.

— Przepraszam, nie powinnam pytać — zreflektowała się Wiktoria. Zrobiło jej się głupio, że być może bezpowrotnie zepsuła atmosferę.

— Nie żyje. — Michał sięgnął po pajdę chleba. — Wychowywał mnie ojczym. Tatę pamiętam trochę jak przez mgłę. Ale to on nauczył mnie stolarki.

Tej nocy dziewczyna nie mogła zasnąć. Przekręcała się z boku na bok. Jej serce biło jak oszalałe. Ostatni raz na zegarek zerknęła tuż po północy. Potem musiała zasnąć, bo obudziła się dopiero wczesnym rankiem. Brzask oblewał wierzchołki gór różowo-fioletowym światłem.

Michalina zapukała do pokoju Przemka. Otworzył jej już po chwili.

— A, to ty? — Uśmiechnął się do niej, opierając się o framugę.

— Zdziwiony?

— Prędzej bym się diabła spodziewał niż ciebie.

— A tutaj przed tobą anielica.

Roześmiali się.

— Słucham? — Skrzyżował ręce na piersiach.

— Ja po prośbie.

— Wiedziałem, że nie zapukałabyś do moich drzwi bezinteresownie.

Miśka zignorowała tę uwagę. I tak czuła się dość dziwnie, prosząc Przemka o pomoc.

— Czy pomógłbyś mi przywieźć materac? Masz samochód kombi, więc sądzę, że się zmieści, a ja nie za bardzo mam jak...

— No nie wiem, nie wiem... — droczył się z nią.

— Tak czy nie?

— A co będę z tego miał?

— Może... Zrobię na obiad, co tylko zapragniesz?

— Kopytka polane skwareczkami?

— Umowa stoi. — Michalina wyciągnęła rękę, którą tamten uścisnął, wciąż szczerząc zęby.

Godzinę później byli w sklepie.

— Sama nie wiem. — Michalina dotykała kolejnych materacy. — Ten za twardy, ten za miękki.

— Zależy, do czego ma służyć. — Przemek uśmiechnął się zawadiacko.

— Do tego, aby goście się wyspali. W morskim pokoju materac jest, że tak powiem, wyeksploatowany.

— Chodź, zobacz ten. — Przemek ugniatał ręką kolejną sztukę. Michalina podeszła do niego. Zdjęła baleriny i po prostu wskoczyła na materac.

Przemek nie mógł oderwać wzroku od jej gołych nóg. Ubrana była w zwiewną, dość krótką sukienkę, która teraz się podwinęła.

— I co? — zapytał po chwili.

— Myślę, że to jest to. — Miśka uśmiechnęła się szeroko. — Wskakuj.

Przemek roześmiał się i położył koło niej. Materac lekko się zapadł, a oni stoczyli się do środka, przez chwilę dotykając się rękoma i nogami. Właściciel sklepu z udawaną złością pogroził im palcem z drugiego końca pomieszczenia.

— Dobra, wstajemy — zarządziła Miśka, speszona tą bliskością.

— Nie chciałabyś chwilę tak poleżeć? — Przemek zamknął oczy.

— Daj spokój, złaź.

— Patrz, jak szybko znów zaciągnąłem cię do łóżka. — Podniósł się na łokciu.

— Marzyciel. I do jakiego łóżka? Toż to sam materac!

Wstała pospiesznie i ruszyła w kierunku punktu obsługi klienta.

Kiedy byli już w samochodzie, Przemek zaproponował, by wyskoczyli na kawę.

— Kawy to ja się mogę w domu napić. Teraz nie mam na to czasu.

— A jednak diablina... — podsumował chłopak i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Wnieśli materac do pokoju i Przemek rozejrzał się po wnętrzu. Okna w tej sypialni zajmowały całą ścianę i widać z nich było panoramę Złotkowa. Łóżko przykryto błękitno-zieloną narzutą, o wezglowie opierały się poduszki w najróżniejszych odcieniach błękitu i zieleni.

— Pewnie goście lubią ten pokój — stwierdził.

— Tak, chyba tak. Dlatego materac taki zużyty.

— W takim wnętrzu to nic, tylko się kochać.

— Wiesz co? Głodnemu chleb na myśli.

— Masz rację. Miewam takie myśli.

Michalina ściągała po kolei poduszki i narzutę.

— Chyba nie mam ochoty ich poznawać.

Zosia spojrzała podejrzliwie na Wiktorię, kiedy ta weszła do cukierni.

— Widzę twoje rumieńce.

— I podekscytowanie — dorzuciła Kaśka.

— Czyżby jakiś młodzieniec? — Babcia Zosia wciąż spoglądała na nią badawczo.

— Spotkałam wczoraj Michała i zjedliśmy razem zupę. Z nim i jego mamą.

— To nie jest chłopak dla ciebie. — Kaśka zaczęła strzepywać z lady okruszki.

— Ja tylko wypiałam z nim herbatę i zjadłam zupę!

— A ja nie urodziłam się wczoraj — wtrąciła babcia Zosia.

— O co chodzi? Michał jest bardzo miłym młodym mężczyzną. — Wiktoria wyjęła z kieszeni gumkę i związała włosy w kucyk. Przeszła na zaplecze i umyła ręce. Kiedy wróciła do sklepowej części cukierni, babcia Zosia z Kasią coś szeptały; Wiktoria poczuła się jak intruz.

— Doszliśmy do wniosku, że powinnaś o tym wiedzieć — zaczęła pani Zosia.


— O czym?

— Michał... On prawdopodobnie był przy śmierci swojego ojczyma. Krążą plotki, że się do niej przyczynił. Oczywiście niczego mu nie udowodniono, ale... — Kaśka spojrzała na szefową.

— Powinnaś sama go o wszystko zapytać.

Wiktoria poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

— Pomówieniami można zniszczyć komuś życie.

— Tak. I dlatego my ich nie słuchamy. Michał jest tutaj mile widziany, ale ty powinnaś  wiedzieć, że ludzie gadają.

— Mamuś. — Amelia stanęła za plecami Jadwigi, która smażyła naleśniki. Starsza kobieta poczuła ucisk w sercu. To „mamuś” tyle dla niej znaczyło! Wszystko dla niej znaczyło.

— Czuję się tutaj jak w domu.

— Naprawdę tak myślisz?

Amelia skubnęła naleśnika.

— Ja nie myślę. Ja to czuję. Dom jest tam, gdzie ci dobrze, gdzie rano czujesz te wszystkie zapachy: kawy i naleśników, świeżych pomidorów,

sałatki z ogórków. Jest tam, gdzie jest miłość, trochę dąsów, gdzie jest rodzina.

Rok 2017

Amelia po latach pracy w kawiarence awansowała i została specjalistą od PR-u i reklamy całej sieci. Praca jej się podobała, ale musiała działać na pełnych obrotach więcej niż osiem godzin dziennie. Jednak po dziewięciu mówiła: „pas” i pędziła do córek. W domu również trzeba było ugotować, uprać, uprasować. Spędzić czas z dziećmi. Porozmawiać, dopytać, jak w szkole.

Po wizycie u dentysty wybrały się z Mary Ann do sklepu. Jej córka wyrosła ze wszystkich spodni, a spódniczek czy sukienek jak na złość nie chciała nosić.

Kiedy dziewczynka mierzyła bluzy, Amelia przypadkiem spojrzała na swoje dłonie. Nie były zbyt zadbane. Zwykle nawet nie myślała o tym, by po zmywaniu naczyń sięgnąć po krem, a tani lakier, którym kilka dni temu pomalowała krótkie paznokcie, zdążył już w kilku miejscach odprysnąć. Koniecznie musi sobie kupić jakiś porządniejszy.

Jej rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

— Za ile będziesz?

— Miałam ten dzień spędzić z córką — szepnęła do swojej asystentki.
— Wyszliśmy od dentysty i...

— Mamy zebranie. Musisz na nim być. John.

— O Jezuuu — jęknęła Amelia. — Zupełnie o nim zapomniałam.

Odstawiła córkę do szkoły na czwartą lekcję, przeprosiwszy ją z tysiąc razy, i pojechała do pracy.

Siedziała w sali konferencyjnej i słuchała wykładu Johna, raz po raz zerkając na zegarek.

Jeśli nie skończy za piętnaście minut, jej pociąg odjedzie, a ona spóźni się do szkoły.

— Aby coś sprzedać, trzeba umieć zachęcić, a najlepiej przekonać, że bez naszej kawy, naszego pysznego muffinka klient zupełnie sobie nie poradzi z rzeczywistością dnia codziennego. Oczywiście może kupić sobie kawę gdzie indziej, może też zrobić ją sobie w domu, bo ma na przykład ekspres, ale to nasza kawa jest tym, czego pragnie. I tu jest pies pogrzebany!

— podniósł głos, poczerwieniał na twarzy. — Przekonać kogoś do zakupu niepotrzebnej rzeczy to wyjątkowa sztuka. Sztuką jest sprzedanie rzeczy, której nikt nie potrzebuje. A jeszcze jeśli ta rzecz to zwykły bubel, to już mistrzostwo świata! — zarechotał.

— Ale kawy to już każdy potrzebuje — powiedział młody asystent, który zapewne nie spieszył się na pociąg i nie miał dzieci ani nawet psa, nie mówiąc o złotej rybce.

Kiedy nieprzenikniony wzrok Johna przeskoczył na Amelię, ta automatycznie przestała wpatrywać się w zegarek i zajęła się notatkami. To znaczy udawała, że notuje, gdyż o samym notowaniu nie było mowy. Odliczała minuty.

Z wywieszonym językiem wpadła do szkoły równo z dzwonkiem. Całą drogę ze stacji biegła boso, trzymając szpilki w ręce.

Przywitała się z młodszą córeczką. Wiktoria kończyła zajęcia w college'u godzinę później i do domu wróciła dopiero, kiedy Amelia postawiła na stole obiadokolację.

— Cześć, dziewczyny. — Cmoknęła mamę i siostrę w policzek.

— Cześć! — Amelia nakładała na talerze jedzenie. — Jakie newsy?

— Newsy są takie, że pralka się zepsuła.

— Jesteś pewna? — Amelia też zauważyła ostatnio, że urządzenie jakoś słabo wiruje.

— Tak, jestem. Rano, tak jak mnie prosiłaś, wstawiłam pranie. Po chwili spod bębna zaczęła się wydobywać piana. Potem coś pstryknęło, zaśmierdziało. A ubrania wyjęłam mokre i w pianie.

— No to się rzeczywiście zepsuła — zawyrokowała Amelia i zmarkotniała. Nie lubiła takich przykrych niespodzianek, ale i one były przecież częścią każdego życia. Później się tym zajmie.

Po obiadokolacji Mary Ann poprosiła mamę, żeby z nią porysowała. Amelia nie miała na to ochoty, w głowie tworzyła listę prac do wykonania, zanim położy się spać.

— No dobrze — burknęła wreszcie.

— Jak nie chcesz, to nie! — W oczach dziewczynki zamigotały łzy.

Amelia przywołała się do porządku.

— Pewnie, że chcę. Masz tę złotą kredkę, którą ci ostatnio kupiłam? — poprawiła się, a córka od razu się rozpromieniła.

— Pewnie, że mam!

Zaczęły rysować. Mama narysowała wazon z kwiatami, a Mary Ann trzy kobiety.

— O, jak pięknie — pochwaliła córkę Amelia.

— Dziękuję, mamusiu.

— Kto to?

— To ja, Wiki i Klara.

— Klara? — Amelia przełknęła rozczarowanie.

Kiedy miesiąc temu Mary Ann była chora, to Klara z nią została. Ona sama nie mogła wziąć wolnego. To Klara opiekowała się córkami, kiedy Amelia dwa miesiące wcześniej wyjechała do Liverpoolu na szkolenie. Była z nimi, kiedy jej potrzebowały.

„Cholera jasna! — zaklęła w duchu. — Muszę spędzać więcej czasu z dziećmi”.

Zorientowała się nagle, że bardzo często wyręczała się też Wiktorią, bo w końcu to była już dorosła dziewczyna. Ale czy ostatnio zapytała starszą córkę, co u niej? Czy ma chłopaka jak jej przyjaciółki? Wiki jest — spojrzała na córkę — w takim wieku, w którym ona zdecydowała się na ucieczkę. Właśnie przez brak uwagi ze strony rodziców.

Przygryzła dolną wargę.

— To piękny rysunek, Mary... — Uśmiechnęła się do córki, mimo że w sercu czuła silne ukłucie. — Weź magnes i przypnij go do lodówki.

Następnego dnia koło trzynastej zadzwoniła do przyjaciółki.

— Cześć, Klaro — powiedziała szorstkim tonem.

— Cześć, złociutka. Co u ciebie słychać?

— Odbiorę Mary Ann w piątek ze szkoły.

W piątki to Klara odbierała dziewczynkę, bo zajęcia kończyły się o dwunastej trzydzieści, kiedy Amelia była jeszcze w pracy. Podobnie w poniedziałki i czwartki.

— Super. Mary na pewno się ucieszy! — W głosie Klary jak zwykle słychać było słodycz. — Powinnaś częściej robić córce takie niespodzianki.

Tego już było za wiele. Amelia wybuchnęła.

— Mam pracę, Klaro. Jestem samotną matką, która musi pracować. Po powrocie do domu czeka na mnie cała masa obowiązków. Chyba mam prawo do jakiejś taryfy ulgowej!

Klara zaniemówiła, a Amelia westchnęła, zreflektowawszy się poniewczasie.

— Przepraszam, pogubiłam się.

— Hmm... — Przyjaciółka się zamyśliła. — Sama wiesz, że praca to nie wszystko. Że przychodzi w życiu człowieka taki moment, że musi przystopować. Zmienić swoje życie. Może faktycznie powinnaś polecieć z dziewczynkami do Polski? Wziąć bezpłatny urlop na dwa miesiące...

— I za co będziemy żyć?

— Wynajmij mieszkanie na te miesiące turystom. Londyn to drogie

miasto, na pewno znajdziesz chętnych nawet na krótkie terminy. Ja się mogę tym wszystkim zająć.

— Klara... — Amelia poczuła, że zalewa ją fala wstydu. — Ja cię naprawdę przepraszam. Pomagasz nam...

— Oj, dzieciaku, dzieciaku! Każdemu czasami puszczaają nerwy. Jesteś zmęczona, przepracowana. Wyhamuj.

— Dziewczynki na każdym kroku dają mi odczuć, że poświęcam im za mało czasu.

— To masz szansę poświęcić im go znacznie więcej.

Amelia miała dobry kontakt z Wiktoria. W końcu dzieliło je tylko osiemnaście lat. Nieraz siadały razem na kanapie w piątkowe popołudnie i opowiadały sobie o facetach. Przez ostatni rok to się zmieniło. Dlatego pewnego piątkowego popołudnia, kiedy Mary Ann była u koleżanki, a Amelia skończyła pracę o siedemnastej, weszła do sklepu, kupiła dwie paczki chipsów paprykowych, litrową colę i litrowe lody o smaku karmelowym. Takie lubiły najbardziej.

Godzinę później siedziały na sofie w rozciągniętych dresach i zaśmiewały się do łez.

Amelia mogła uważać się za szczęściarę. Jej córki praktycznie nie sprawiały żadnych problemów wychowawczych.

— Mamuś, powinnaś sobie znaleźć jakiegoś faceta — powiedziała poważnie Wiktoria, wkładając do buzi kilka chipsów.

— No, jeszcze mi tutaj faceta brakuje. Nie mam czasu się po tyłku podrapać, a ty byś chciała żebym prała śmierdzące męskie skarpetki.

— A tam, od razu prała. Pralka wypierze... kiedy ją naprawimy. Poza tym chodziło mi raczej o takiego dochodzącego mężczyznę.

— Mężczyźni w moim wieku mają już zazwyczaj żony.

— Młodsze, który dostrzegłby twoje wewnętrzne piękno.

— A dlaczego nie miałby dostrzec mojego zewnętrznego piękna? — Amelia zmarszczyła czoło.

Wiktoria przysunęła się do matki. Chwyciła dłońmi jej twarz. Obróciła jej głowę to w prawo, to w lewo.

— No, w sumie... — zaśmiała się. — Jesteś niczego sobie. Dojrzała kobieta u szczytu swoich seksualnych możliwości.

Amelia zaczęła się śmiać.

— Szczyty to ja już dawno zdobyłam; i wówczas stanowczo byłam za młoda na zdobywanie ich wszystkich.

— Mamuniu... — Wiktoria rozłożyła ręce. — To były pagóreczki.

Śmiały się we dwie.

— Taki młody, jurny chłopak, który mógłby cię rozruszać, to byłoby to.

— Wiki! — napomniała córkę Amelia.

— No co? Taki *life*.

— Już mi tu nie wyjeżdżaj z life'em. Gdzie miałabym spotkać takiego faceta?

— Mogłabyś się przejść pod moją szkołę.

Teraz obie pokładały się ze śmiechu. Kiedy się opanowały, Amelia zapytała córkę:

— A co u ciebie?

Dziewczyna zamilkła i utkwiała w niej spojrzenie.

— Dawno o to nie pytałaś.

— Wiem... Przepraszam.

— Nie mam chłopaka.

— A co z Tracy?

— Ona ma i zapomniała o przyjaciółce.

— Kochanie... — Amelia ją objęła. — To chwilowe. Kiedy pojawiają się pierwsze miłości, człowiek wariuje i zapomina o najbliższych. Niepotrzebnie. Ale potem wszystko wraca do normy.

— Mam nadzieję.

Rozdział 30

Jadwiga z Amelią doszły do wniosku, że w ogródku przydałaby się ławka. Wiktoria od razu pomyślała o Michale; przecież na pewno potrafiłby sobie z czymś takim poradzić. Zresztą mama wspominała, że to właśnie on

zrobił dębową ławkę do Markowego ogrodu. Jej serce zabiło dużo szybciej. Od Kaśki zdobyła numer jego telefonu.

Sama nie wiedziała dlaczego, ale ucieszyła się na kontakt z nim. Intrygował ją.

— Słucham? — Odebrał po trzecim sygnale.

— Cześć, to ja, Wiktoria.

— Nie znam — powiedział szorstko.

Dziewczyna poczuła się głupio. Czy faktycznie jej nie pamiętał?

— Poznaliśmy się w „Cynamonowych Sercach”. Potem byłam u ciebie na herbacie i zupie — podpowiedziała.

— Do rzeczy — uciął, a ją zdziwiła jego postawa.

— Chciałabym, żebyś zrobił dla nas ławkę. Taką... — Zaczęła nerwowo tłumaczyć.

— Jaką ławkę?

— Do ogrodu. Robiłeś już dla pana Marka.

— Robiłem wiele ławek na zamówienie.

— No tak. — Wiktoria poczuła skrepowanie.

— Na kiedy?

— Jak najszybciej.

— Nie mam takiego terminu w kalendarzu: „jak najszybciej”.

Wiktoria zaczynała wątpić, czy dobrze zrobiła, dzwoniąc do niego. Ale to był on, trudno było mieć wątpliwości. Cóż, Kaśka ją ostrzegała, że Michał jest dziwny i na swój sposób obcesowy.

— To kiedy pan może? — Bezwiednie zmieniła sposób zwracania się do niego.

— Gdy będę mógł, to do was przyjadę.

— Adres to...

— Znam.

Rozłączył się, a Wiktoria jeszcze przez chwilę wpatrywała się w słuchawkę. „Co za niewychowany typ” — pomyślała.

Jakiś czas później zapukała do drzwi jego domu. Serce waliło jej tak mocno, że dziewczynie wydawało się, że zaraz wyskoczy z klatki piersiowej.

— Michała jeszcze nie ma — zwróciła się do Wiktorii pani Mirka.

— To poczekam na niego przed domem.

— Nie gadaj głupot, dzisiaj strasznie wieje. Wejdź do środka. Napijesz się herbaty?

Dziewczyna skinęła głową, a gospodyni nastawiła czajnik. Do kubków wsypała trochę liści, z których miał powstać aromatyczny napar.

— Zapewne słyssałaś plotki o naszej rodzinie. — Kobieta odwróciła się w stronę Wiktorii.

Ta skinęła głową.

— Pod koniec życia mojego męża w naszym małżeństwie źle się działo. Nikt o tym nie wiedział, no bo po co mieliśmy mówić. Mój mąż miał pewne problemy ze sobą. Może istnieje na to jakaś naukowa nazwa. Jednego dnia nas kochał, innego nienawidził. Jednego dnia był do rany przyłoż, drugiego wściekał się na wszystko i wszystkich. Wymyślał sobie, że go zdradzam.

Następnego dnia przepraszał. I tak w kółko.

Zapatrzyła się w okno.

— Któregoś dnia Michał pokłócił się z ojczymem. Zaprosił tutaj jakąś dziewczynę, Józkowi się to nie spodobało. Posprzeczali się. Wybiegł z domu, wyzywając Michała. Mój syn za nim pobiegł; nie wiem, może chciał mu przyłożyć? Naprawdę nie mam pojęcia. Ta dziewczyna ruszyła za nimi. Po kilku chwilach wrócili do domu, bo nie mogli go znaleźć. Dziewczyna, z którą Michał był, dała mu alibi. Potem się okazało, że w tym czasie Józek spadł ze skarpy. Albo się poślizgnął, albo sam skoczył. — Pani Mirka na chwilę przerwała. — Taką wersję wydarzeń znam. Mnie tam nie było. Ale wierzę Michałowi. Dochodzenie wykluczyło obecność osób trzecich... Jednak ludzie zaczęli rozsiewać plotki.

Westchnęła ciężko.

— Michał nigdy nie skrzywdziłby ojczyma. Nie pałali do siebie miłością, ale nigdy nie zrobiłby mu krzywdy. A ludzie do tej pory gadają.

Spojrzała na Wiktorię wyczekująco.

— Ludzie lubią gadać.

— On jest niewinny.

Dziewczyna skinęła głową.

— Masz do niego jakąś sprawę?

— Właściwie to nie. To znaczy, ma zrobić dla nas ławkę. Do ogrodu mojej babci. Jadwigi Kowalik.

— Jeśli powiedział, że zrobi, to zrobi.

— No tak... — Wiktoria poczuła się jak intruz. — To skoro go nie ma, to może ja jednak pójdę.

— Jak chcesz. Nie wyrzucam cię. Może ci się wydawać, że dziwni z nas ludzie, ale trochę przeżyliśmy.

— Tak. Rozumiem.

Mama Michała popatrzyła na nią smutno, a potem odprowadziła ją do drzwi.

Następnego dnia Wiktoria wróciła do domu skonana. W „Cynamonowych Sercach” był

ruch jak w ulu. Usiadła na taborecie w kuchni i duszkiem wypila szklankę wody. Kiedy usłyszała dzwonek do drzwi, miała ochotę go zignorować. W domu nie było jednak nikogo, a za progiem najwyraźniej stał jakiś natręt. Podniosła się więc i otworzyła drzwi.

Po drugiej stronie w roboczych spodniach i niebieskiej koszulce stał Michał.

— Dzień dobry — powiedział dość cicho, jakby był lekko speszony.

Wiktoria wyprostowała się jak struna.

— Wejdiesz?

— Tak, chętnie.

Przeszli do kuchni, oboje skrępowani swoją obecnością.

— Zanim powiem, o co chodzi, może napijesz się czegoś?

— Wiem, o co chodzi. O ławkę.

— Tak. — Wiktoria westchnęła.

— Napiłbym się kawy.

— Z mlekiem?

— Czarną bez cukru poproszę.

Chwilę potem dziewczyna podała mu kubek.

— A więc chcecie ławkę?

— Tak. — Wiktoria skinęła głową. — Taką romantyczną, żeby stanęła w

altance w ogrodzie. Najlepiej pomalowaną na biało, z oparciem.

Michał uśmiechnął się nieśmiało.

— Wykonałem już kilka takich „romantycznych” ławeczek i dobrze mi to idzie. Wziąłem ze sobą kilka szkiców.

Z kieszeni wyjął złożone kartki i rozłożył je na stole.

Wiktoria patrzyła z uznaniem na projekty.

— Teraz modne są takie ławeczki. — Wskazał na projekt. — Ławki z minionych epok powracają do łask. Kiedyś zdobiły pałace, teraz ogrody. — Znów się uśmiechnął. — Wysmakowana, oryginalna, ręcznie robiona ławka to prawdziwy skarb współczesnych ogrodów.

Nie znajdziesz wśród moich prac dwóch takich samych ławek czy stołów. Każdy projekt jest inny i każdy żyje własnym życiem, bo wkładam w to mnóstwo serca. Z jakiego drzewa chcesz mieć swoją ławkę? — Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: — Proponuję sosnowe, dębowe albo świerk, wykazują się wytrzymałością i solidnością. A to zapewnia długie użytkowanie.

Wiktoria otworzyła szeroko oczy. Nie miała pojęcia, że można tyle gadać o zwykłej ławce. Ten człowiek naprawdę kochał to, co robił.

— To ja zapytam mamę — wydukała. — I babcię, w końcu to jej dom. Ale chciałabym, żebyś przyjął zlecenie.

— Już to zrobiłem.

Michał podniósł się z krzesła. Wiktoria zrobiła to samo.

— Zadzwoń do mnie, kiedy wszystkiego się dowiesz. Mam dużo zleceń.

— Z pewnością. Zadzwońię.

Podala mu rękę. Uścisał ją mocno.

Z duszą na ramieniu wybrała numer Michała już tego samego wieczoru. Nie odebrał za pierwszym razem. Spróbowala ponownie.

— Słucham? — odezwał się poirytowany.

— Tutaj Wiktorja.

— Wiem, kto dzwoni. Wyświetla mi się.

— Chcialam tylko...

— Paniusiu... — syknął. — Jeśli nie odebrałem za pierwszym razem, to znaczy, że nie mogłem odebrać. Oddzwoniłbym, kiedy znalazłbym czas. Miałem włączoną piłę.

— Nie pomyślałam.

— Słucham?

— Wiem już wszystko.

— O czym? — zapytał głosem, w którym wyraźnie słyszała zniecierpliwienie.

— O ławce. Może przyjdę do twojego warsztatu i porozmawiamy? — Wiktorja bardzo chciała go znów zobaczyć.

— Nie mam czasu na pogawędki.

— Zajmę dosłownie pięć minut.

— Wiesz, gdzie mieszkam. Do zobaczenia! — Rozłączył się.

Ruszyła pod górę. Szła wśród łąk i pól pszenicy. Była mocno wystraszona, a zarazem podekscytowana. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

Wiktoria weszła do warsztatu. Michał akurat szlifował deskę. Podniósł wzrok i zaskoczony wyłączył szlifierkę.

— Widzieliśmy się wczoraj. — Omiótł ją wzrokiem.

— Tak. — Wiktoria uśmiechnęła się. — Ale mówiłeś, że bym przyszła. Zabiorę ci tylko kilka chwil.

— Mówiłem, bo się narzucałaś; myślałem, że zrezygnujesz.

— Ale powiedziałaś...

— Nie mam czasu na kilka chwil. Mam dużo zleceń.

— Ty możesz wykonywać swoją pracę, a ja będę gadać.

Wzruszył ramionami.

— Ta komoda jest piękna. — Wiktoria ruchem głowy wskazała na mebel, nad którym pochylał się Michał.

— Dziękuję. Muszę jeszcze nad nią popracować. — Podparł się pod

boki. — Jest jakiś konkretny powód, dla którego tu przyszedłeś? Jak widzisz, jestem zajęty.

— Tak. — Wiktoria spuściła wzrok.

— To może mi go wyjawisz?

— Po prostu lubię spędzać z tobą czas — wypaliła dziewczyna.

Michał niespodziewanie wybuchnął śmiechem, co ją zaskoczyło.

— Dziewczyno! No to mnie rozbawiałaś.

— Cieszę się, że na twojej twarzy pojawił się uśmiech.

— Ile ty masz lat?

— Dziewiętnaście.

— A ja dwadzieścia dziewięć. Jestem stolarzem. Lekko zdziwaczałym. Odludkiem. Nie mam żony ani dziewczyny, ani przyjaciół. Lubię spędzać czas samotnie. Przejechałem się na ludziach. I nie mam ochoty zawierać nowych znajomości. Od czasu do czasu wpadnę do „Cynamonowych Serc” na kawę i ciastko. I to mi wystarczy.

— A mnie wystarczy, że sobie tu czasem przyjdę. — Wiktoria odwróciła się na pięcie i wybiegła z warsztatu.

Oblała się rumieńcem. Co ona wyprawia?

Na czas pobytu w Złotkowie Amelia wypożyczyła samochód. Teraz

siedziała w środku, zaciskając ręce na kierownicy, i czekała na mamę, która utknęła w sklepie wielobranżowym.

Jadwiga wsiadła do auta po dobrych kilkunastu minutach.

— Już miałam ruszyć na poszukiwania — zażartowała Amelia.

— Najpierw zagadała mnie kierowniczka sklepu. Kiedy ją poznasz, to sama się przekonasz, co to za kobieta. Dobry z niej człowiek, ale wszystko chce wiedzieć i zresztą wszystko o wszystkich wie. Potem spotkałam Marka.

Na sam dźwięk imienia mężczyzny na twarzy Amelii pojawił się uśmiech.

— Pytał o ciebie.

— Tak? — Udała zaskoczenie.

Jadwiga również się uśmiechnęła.

— On jest sam — zauważyła.

— W separacji.

— Oj tam, oj tam. — Jadwiga machnęła ręką. — Ta jego żona rzadko tu zagląda. Z tego już nic nie będzie.

— Mamo, musisz zapiąć pasy — zwróciła jej uwagę Amelia, ucinając temat przystojnego mężczyzny.

Jadwiga bez słowa sięgnęła po pas, ale oczy wciąż się jej śmiały.

Rozdział 31

Kiedy Amelia z Wiktorią weszły do sklepu wielobranżowego, zza lady uśmiechnęła się do nich właścicielka. Jakiś czas temu ekspedientka wzięła na spytki Wiktorię i dowiedziała się od niej, do kogo przyjechały, skąd i na jak długo. Pomachała do nich, kiedy brały koszyk.

Zakupy zrobiły niemal w ekspresowym tempie.

— Chodzą słuchy — ekspedientka zwróciła się do Wiktorii, kiedy już stanęły przy kasie — że spotykasz się z Michałem.

Amelia spojrzała na córkę. Ta ostatnia się zaczerwieniła.

— Michał to kolega. — Wiktoria poczuła, że musi się wytłumaczyć.

— Hmm. — Ekspedientka złapała się za obfitą pierś, jakby chciała nadać kolejnym słowom dramaturgii. — Uważaj na niego. Ten młody mężczyzna to kłopoty.

— Złotkowo to takie ładne miasteczko... — Amelia próbowała zmienić temat, żeby oszczędzić córce zakłopotania.

— O tak. Mieszkają tutaj życzliwi ludzie. Okolica jest piękna. Góry, lasy, czyste strumienie. Nie mogłabym mieszkać w takim Londynie. Za dużo hałasu, korki, smog. Nikt o nikim nic nie wie.

— I chyba to przeszkadzałoby pani najbardziej! — Amelia przygryzła dolną wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— O, bez wątpienia, droga pani, bez wątpienia! — Ekspedientka przytaknęła z absolutną powagą. — Powinniśmy wiedzieć o naszych sąsiadach jak najwięcej. A ty, dziewczyno, bądź

ostrożna — dodała, obróciwszy się nieznacznie do drugiej klientki. — Nie wątpię, że na rozsądku ci nie zbywa.

Wiktoria miała już dość tych insynuacji.

— Chyba nie myślisz pani, że Michał zabił swojego ojczyma?

— Oj, wcale nie! — Ekspedientka pokręciła głową tak mocno, że jej drugi podbródek zafalował. — To inni gadają różne rzeczy, a śmierć pana Skalskiego była mocno podejrzana.

Ludzie wysnuli mnóstwo teorii spiskowych, jak to ludzie. To dziwna rodzina, nie integrują się z nami.

— Ale Michałowi niczego nie udowodniono.

— Ano. A przecież był przesłuchiwany przez funkcjonariuszy. Ale coś jest dziwnego w tej rodzinie, w tym chłopaku.

Kiedy kobiety wyszły ze sklepu, Amelia zwróciła się do córki:

— Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?

— O czym?

— Że się z kimś spotykasz.

W głosie matki słychać było prawdziwy żal. Wiktoria przewróciła oczami.

— Mamo, a co ja ci miałam powiedzieć? Widziałam go raptem trzy razy. Michał robi dla nas ławkę. Z nikim się nie spotykam. Chyba nie zmartwiła cię gadka tej świruski?

— Nie wiem. Zabrzmiało to jak powód do niepokoju.

— Przecież jesteś rozsądna.

— Tak... Przepraszam. Ale powiedz mi o nim coś więcej. Ile on ma lat? Jest w twoim wieku?

— Trochę straszy.

Amelia przystanęła i spojrzała na córkę.

— Trochę? To znaczy ile?

— Ma dwadzieścia dziewięć lat. I nie mamy zamiaru brać ślubu, płodzić dzieci ani nic z tych rzeczy. Nawet mnie jeszcze nie pocałował.

— Jeszcze — westchnęła Amelia.

Nikt jej nie wmówi, że sytuacja szybko nie może się stać... rozwojowa.

— Babciu, ta kobieta ze sklepu to o wszystkim wie! — Wiktoria była wściekła na kierowniczkę.

Jadwiga roześmiała się serdecznie.

— Tutaj wszyscy wiedzą o wszystkich wszystkim, a przynajmniej tak sądzą. Połowa rzeczy jest wytworem ich wyobraźni. Ja, według nich, byłam szaloną czarownicą. A kiedy wyjechałam do was, do Londynu, zaczęły się domysły, że oszalałam z samotności i takie tam.

Potem wróciłam. Przecierali oczy ze zdumienia. Gdy się dowiedzieli, że mam córkę i wnuczki, plotki obiegły Złotkowo w ekspresowym tempie. — Pokiwała głową. — Kocham tę małą społeczność, ale czasami zupełnie mnie ona przeraża.

Odcedziła ziemniaki i sięgnęła po tłuczek.

Wiktoria wyszła do ogrodu. Jej babcia właśnie brała się do rozbijania mięsa, kiedy rozległ

się dzwonek. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Pani Jadziu, dzień dobry!

— Dzień dobry, Mareczku. Co tam, chłopcze?

— Czy zastałem Amelię? — Marek był wyraźnie strapiony.

— Tak, wejdz. Zaraz ją zawołam.

Amelia zdziwiła się, widząc Marka na progu domu matki. Wyglądał jakoś inaczej. Miał

podkrążone oczy i jakby pobladł. Amelia nie spodziewała się go tutaj.

— Czy możemy się przejść? — zapytał nieswoim głosem.

— Coś się stało? — Amelia zdenerwowała się.

— Chciałbym się przejść.

— Tak, pewnie.

Włożyła sandały i wyszli z domu. Ruszyli w stronę parku. Marek nie odzywał się przez całą drogę, dopóki nie doszli do strumienia.

— Czy coś się stało? — zapytała ponownie Amelia.

Pokiwał głową. I wreszcie zdecydował się zrzucić ciężar z serca.

— Moja żona przyjechała. Wczoraj.

— Aha. — Kobieta nie mogła wydusić niczego więcej.

— Chce, byśmy się na nowo zeszli. Chce się tu przeprowadzić. Żałuje, że nie postaraliśmy się wcześniej o dziecko.

„A ty? A ty czego chcesz?” — miała ochotę zapytać Amelia, ale zamiast tego powiedziała:

— To chyba fajnie. Super, kiedy ludzie się schodzą.

— To moja żona. — Wyciągnął rękę i kciukiem pogładził policzek Amelii.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

— Rozumiem. — Nic nie rozumiała. Jej serce właśnie pękło na pół. Kolejny raz. — Sugerujesz mi... Że mam więcej do ciebie nie przychodzić?

— Nie, absolutnie! Możesz... możesz wpaść do nas na kawę.

— Pewnie! — zaśmiała się gorzko. — Pewnie! — powtórzyła i ruszyła w stronę domu, nie zaszczyciwszy Marka nawet spojrzeniem.

Wpadała przez frontowe drzwi i pobiegła prosto na górę do swojego pokoju. Jadwiga ruszyła za nią.

— Co się stało?

Amelia niespodziewanie się rozszlochała.

— Jestem taka głupia! Taka głupia! Znów mi się to przydarzyło. Myślałam że tu... Teraz, w tym miejscu...

— Co się dzieje, córeczko? — zapytała Jadwiga niespokojnie. Podeszła do Amelii i mocno ją do siebie przytuliła.

— Wróciła jego żona... Żona Marka.

Jadwiga tuliła córkę w objęciach tak, jak powinna to robić przez te wszystkie lata, kiedy jej przy niej nie było. Ale Amelia nie była w stanie się uspokoić. Łzy spadały na matczyną podomkę.

— To nic nie znaczy. — Jadwiga pogładziła ją po plecach.

— Mamo, to znaczy wszystko. To oznacza koniec...

Jadwiga niczego nie pragnęła tak bardzo, jak pocieszyć córkę, ale co mogła jej powiedzieć? Tuliła ją więc po prostu w swoich ramionach.

Rozdział 32

Miśka zapukała do pokoju brata. Usłyszała mruknięcie. Weszła. Bartek leżał na łóżku na brzuchu i z wypiekami na twarzy czytał książkę. Michalina usiadła obok niego.

— Co czytasz?

— Historię wyścigów Formuły Jeden.

— Ciekawa?

— Mhm.

Michalina spojrzała na kościste barki brata, zgarbione nad książką. Miała ochotę ścisnąć go mocno i przytulić tak jak kiedyś, ale wiedziała, że Bartek tylko by fuknął. Był już przecież, w jego mniemaniu, „dorosły”.

— Chciałaś czegoś? — Chłopiec nie odrywał wzroku od książki.

— Powiedzieć ci, że gdybyś potrzebował ze mną porozmawiać, to zawsze możesz...

— No wiem.

— Wiem, że wiesz...

Michalina bardzo chciała być jego powierniczką, nigdy nie stracić z nim dobrego kontaktu. Czasem martwiła się, że może, zajęta gośćmi, przeoczy jakiś ważny moment jego życia.

— No dobra. — Machnął ręką, jakby chciał, by siostra już wyszła.

Westchnęła.

— Ostatnio myślałam o tym, że może warto byłoby się gdzieś przenieść. Do jakiegoś większego miasta. Tam, gdzie miałbyś lepsze perspektywy rozwoju.

Bartek zastygł na moment, po czym z trzaskiem zamknął książkę. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

— Tutaj jest mój dom! Koniec tematu! — wykrztusił wreszcie.

— Okej. Zrozumiałam.

— To teraz możesz mnie pocałować, ale tylko w policzek — przyzwolił wspaniałomyślnie.

Miśka się roześmiała i cmoknęła brata.

Jego zachowanie utwierdziło ją w przekonaniu, że dobrze zrobiła, nie godząc się na żadne przeprowadzki do Wrocławia. Ostatnimi czasy coraz częściej nachodziły ją myśli, że może jednak dla wszystkich to byłoby właśnie najlepsze rozwiązanie. Ale Artur nie miał racji. Tutaj był ich dom: jej, Bartka i babci.

Postanowiła zostać jeszcze chwilę u brata i jeśli jej pozwoli, przez sekundę побыć starszą siostrą, a nie tylko właścicielką pensjonatu.

— Jak tam Mary Ann?

— Dobrze, a co? — Chłopiec przeturlał się na plecy.

— Spędzasz z nią dużo czasu.

— Jak na dziewczynę, jest fajna.

— Oj ty, oj ty. — Michalina pogłaskała Bartka po policzku. — Co to znaczy: jak na dziewczynę?

— No, wszystko znaczy. — Chłopiec się zaśmiał. — A teraz wybacz, chcę skończyć czytać i lecę nad strumyk.

— Już mnie nie ma.

Wstała, spojrzała jeszcze raz na brata, po czym wyszła z pokoju.

Marek zadzwonił do Amelii.

— Spotkajmy się — poprosił szeptem.

Amelia poczuła złość.

— Jesteś żonaty! — krzyknęła.

— W separacji.

— Daj mi spokój! Daj mi spokój! Między nami koniec.

— Porozmawiajmy. Mojego małżeństwa właściwie już nie ma — kontynuował smutno.

Amelia rozłączyła się. Ona się w takie układy nie bawi. Dotąd nie miała szczęścia w miłości, ale to nie znaczy, że ma rozbijać czyjeś małżeństwo. Nie zafunduje nikomu tego, przez co sama przechodziła.

W kawiarni, gdzie pracowała jeszcze jako kelnerka, zaprzyjaźniła się z Jane. Jane wpadła w oko szefowi. Flirtował z nią na wszystkie możliwe sposoby. I kiedy w końcu zaproponował

spotkanie w Paryżu, z dała od wścibskich oczu żony, znajomych, których zawsze można spotkać na tajnych randkach, ona się zgodziła. Amelia nie omieszkała powiedzieć koleżance, co o tym wszystkim myśli.

— Jako twoja bliska przyjaciółka poważnie się o ciebie niepokoję.

— Jestem ostrożna — zapewniła Jane.

Amelia uśmiechnęła się pod nosem.

— Nie potrafisz dostrzec wszystkich konsekwencji, które wiążą się z takimi związkami.

Rozwalasz czyjąś rodzinę. Czekasz na znak, spotkanie, namiastki miłości. On natomiast dostanie, czego chce, a potem będzie wracał do domowych pieleszy.

— Ja nie mam romansu. Nawet z nim nie spałam.

— Przecież seks to nie wszystko. Ty jesteś zaangażowana emocjonalnie.

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi? Ciekawe. Przyjaciele nie jeżdżą do Paryża na schadzki. Nie czują do siebie pożądania. Nie narażają niczyjej rodziny. On cię pragnie i będzie robił wszystko, żeby cię uwieść. A ty się temu poddajesz. Zaimponował ci tymi kwiatami, które wręcza ci od miesiąca, rozmowami, bo mówi ci to, co chcesz usłyszeć, patrzy na ciebie błyszczącymi oczami. Tyle tylko, że ty chcesz czegoś więcej, chcesz kochania. Ale ten facet nie będzie cię kochał. Pożądał, pragnął, tak, ale nie kochał. Dam ci dobrą radę: nie jedź tam.

Jane uniosła się honorem.

— Zachowujesz się jak moja matka!

— Każdy niekiedy potrzebuje matczynej porady.

Stały naprzeciwko siebie i piorunowały się wzrokiem.

— Nie sądziłam, że to powiesz. — Jane zacisnęła dłonie w pięści. — Nie ty.

— A ja nie sądziłam, że możesz być taka głupia. Pakujesz się w kłopoty.

Jane poczuła, jak pod jej powiekami zbierają się łzy.

— Zadaj sobie jedno, proste pytanie: dokąd to wszystko zmierza?

Koleżanka wiedziała, że to dobra rada, ale bała się odpowiedzi.

— Skąd ten pomysł, że możesz zapragnąć męża innej kobiety? Myślisz, że masz do tego prawo? Że masz prawo rzucić się w to wszystko, nie myśląc o konsekwencjach?

— Dlaczego tak się na mnie uwzięłaś?

— Ja po prostu nie chcę być tą osobą, która będzie ocierała twoje łzy. Sama wiesz, że mam rację, ale nie chcesz się do tego przyznać.

Jane pojechała do Paryża. Wróciła zakochana. Po jakimś czasie wszystko wyszło na jaw, szef wrócił do żony, Jane zaś straciła pracę. Zarówno żona byłego szefa, jak i jej dawny facet przypięli jej łatkę tej najgorszej. Długo, bardzo długo nie mogła się pozbierać.

Amelia była zdania, że romanse zawsze źle się kończą. A ona miała już w swoim życiu dość komplikacji. Skoro żona Marka chce go odzyskać, nie będzie wchodziła im w paradę.

Michał do końca dnia nie mógł się skupić na pracy. Wieczorem usiadł na kanapie z kubkiem herbaty. Z bólem serca stwierdził, że nie radzi sobie z kobietami. Bał się zaangażowania, tego, że może kogoś skrzywdzić. Będzie taki jak jego ojczym.

Ławka dla pani Kowalikowej była już zrobiona, ale on zwlekał z dostawą. Miał tyle obaw. Musiał to przyznać: bał się spotkania z Wiktoria. Polubił ją, podobała mu się, ale nie miał

zamiaru ściągać na siebie kłopotów. A ławkę musiał przecież jakoś dostarczyć.

Pięć dni po ich ostatniej rozmowie podjechał vanem pod dom pani Jadwigi Kowalik.

Wiktoria wracała właśnie z „Cynamonowych Serc”. Przystanęła pod bramą.

— Cześć, co tu robisz? — zapytała.

— Zamawiałaś ławkę, prawda?

— No tak. Nie sądziłam, że wyrobisz się tak szybko... I myślałam, że wcześniej zadzwonisz.

— Czy wyglądam na osobę, która lubi telefonować? — zapytał dość opryskliwie.

— Nie. — Wiktoria uśmiechnęła się pod nosem. — Ale nie mamy przygotowanych pieniędzy.

— Innym razem.

Wszedł na pakę. Po chwili już zdejmował z niej ławkę. Była piękna.

Dokładnie taka, jaką sobie Wiktoria wymarzyła.

— I co myślisz? — zapytał.

— Śliczna.

— Podoba ci się.

— Tak. Naprawdę mi się podoba.

— Ostatnio nie zaglądałaś do mnie — stwierdził Michał, nie patrząc na nią. Otrzeptał ręce i wytarł je w spodnie.

— Wydawało mi się, że nie chcesz moich odwiedzin. — Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Wpadnij jutro. Zaparzę kawę.

— Okej. Przyniosę jakieś ciasto z „Cynamonowych Serc”.

— Będę czekał.

Jak dla Michała rozmowa i tak trwała za długo. Pożegnał się i chyłkiem wskoczył do kabiny kierowcy. Przez chwilę obserwował jeszcze dziewczynę w bocznym lusterku, zanim skręcił i całkiem zniknęła mu z oczu.

Następnego dnia po pracy Wiktoria z bijącym sercem weszła do warsztatu Michała. Już na nią czekał. Co ciekawe, niczego nie piłował ani nie szlifował.

— Może wyjdziemy na zewnątrz? Jest taka ładna pogoda —

zapropnował.

— Z przyjemnością. — Wiktoria wręczyła mu pakunek. — Przyniosłam rurki z kremem i kawałek sernika.

— Dziękuję. Zrobię coś do picia. Kawy? Herbaty? Kompotu?

— Kompot poproszę.

— Jesteś pewna?

— Uwielbiam kompot! W Polsce nauczyłam się go pić.

— Jak sobie życzysz.

Wiktoria uśmiechnęła się do niego.

Po chwili siedzieli na ławce, jedli rurki i rozmawiali.

— Co robisz w Londynie? — zagał, a Wiktoria zdziwiła się, bo wyglądało na to, że naprawdę jest ciekawy tego, czym ona się zajmuje. W Polsce ludzie raczej nie przywykli do *small talk*.

— Studiuję, a w wolnym czasie jestem opiekunką do dzieci.

— Lubisz te robotę?

— No coś ty! — prychnęła.

Michał się roześmiał.

— Nie lubisz dzieci? Wydawało mi się, że większość kobiet je lubi.

Wiktoria uniosła kąciki ust.

— Może inaczej. Nie lubię niektórych brytyjskich dzieci. Są rozwydrzone i nie mają szacunku do nikogo. Ale... Są i plusy tej roboty. Zazwyczaj pracuję wieczorami, kiedy rodzice dzieciaków idą na kolację albo jakieś przyjęcie. Kiedy uporam się z bachorkami i wsadzę je w końcu do łóżka, mam czas wolny i wtedy mogę się uczyć.

— A co zamierzasz robić w życiu?

— Być szczęśliwa. — Wiktoria raz jeszcze uśmiechnęła się do Michała.

— Cudnie to powiedziałaś. Nietypowo. Ludzie w twoim wieku chcą zazwyczaj zrobić karierę.

— Nie powiem, że nie marzę o fajnej pracy. Myślałam, żeby z mamą otworzyć kawiarnię.

— Stąd ta praca w „Cynamonowych Sercach”?

— Po części tak. Mama pracuje w dużej sieci kawiarni. Jest specjalistką od PR, zna ten biznes od podszewki, zresztą też zaczynała jako kelnerka. Myślę, że to dobry pomysł: najpierw popraczkować. A potem zobaczymy. „Cynamonowe Serca” to strzał w dziesiątkę. Domowe wypieki, domowa atmosfera. Chce się tam przychodzić.

— Taka młoda osoba, a już takie sprecyzowane plany. Masz u mnie plusa.

— Nigdy nie chciałeś się stąd wyrwać?

— Raz. Wtedy, kiedy zginął mój ojczym. Zapewne o tym wiesz...

— Słyszałam kilka plotek.

— Nie wątpię — westchnął Michał.

— Rozmawiałam też z twoją mamą.

Mężczyzna spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Zmarszczył brwi. Najwyraźniej pani Mirka nie powiedziała mu o jej wizycie.

— I?

Wiktoria wzruszyła ramionami.

— Ona wie, że tego nie zrobiłeś.

— Bo nie zrobiłem. — Michał patrzył dziewczynie prosto w oczy, a ona wiedziała, że mówił prawdę. — Wiesz, że to twoja babcia wyprowadziła mnie po tym wszystkim na ludzi?

— Naprawdę?

— Tak. Kiedy się to stało... Kiedy mój ojczym popełnił samobójstwo. Jako jedna z niewielu osób stanęła w mojej obronie. Wściekała się na wszystkich, którzy rozpuszczali plotki.

To ona namówiła mnie do otwarcia warsztatu i pomagała przy tworzeniu ulotek.

— Ale... Dlaczego to zrobiła?

— Powiedziała mi wtedy, że nikogo nie można osądzać, nie znając jego historii... A po śmierci ojczyrna w moim życiu rozpiętało się piekło.

Michał przymknęła oczy i zaczął opowiadać, a robił to tak plastycznie, że Wiktoria poczuła się, jakby słuchała audiobooka lub oglądała film. Również przymknęła oczy i zasłuchała się w jego historię.

— *Wiesz chyba, że ja tego nie zrobiłem...* — powiedziałem do mamy, która siedziała na taborecie i bujała się na boki.

Przez chwilę w ogóle się nie odzywała. Wstałem i miałem wyjść z kuchni, kiedy usłyszałem jej głos:

— *Michał... ja... Nie powinniśmy więcej o tym mówić.* — Jej oczy wypełniły się łzami.

— *Wiesz, że dla policji jestem głównym podejrzanym?*

Z pewnością o tym wiedziała. Sprawiała wrażenie przerażonej.

— *Michał, czy ty... Możesz mi powiedzieć? Tylko ty i ja...* — podjęła.

— *Mamo, mamusiu!* — Podleciałem do niej i uklęknąłem przed nią. — *Spójrz na mnie.*

Odwróciła wzrok.

— *Oczywiście, że tego nie zrobiłem. Jak możesz tak sądzić?*

— *Nigdy za nim nie przepadałem...* — Łzy płynęły jej po policzkach.

— *Masz rację: nie znosiłem go, ale to nie znaczy, że poszedłem za nim i zepchnąłem go w przepaść. Byłem na niego wściekły, ale to nie znaczy, że go zabiłem.*

Oczywiście gazety podłapały temat. Nasze nazwiska znalazły się w żadnych sensacji brukowcach. Byłem przesłuchiwany. Na szczęście mam wujka w policji, który trochę mnie uspokoił, że nie mam się czego bać.

Przed przesłuchaniem zamieniliśmy kilka słów.

— *Michał, sprawa jest czysta, nie obawiaj się, chłopie. — Poklepał mnie po plecach. — Prokurator zdecyduje, co dalej. Jasne, wezwą cię na przesłuchanie. Ale to tylko pro forma. Sekcja wykaże brak udziału osób trzecich. Ciało nie nosi żadnych śladów od noża czy kuli.*

— *To po co to przesłuchanie? — Byłem zdenerwowany.*

— *Pro forma, żeby potem nikt nie posądził prokuratury, że spierdoliła sprawę.*

— *Zamkną mnie na dołku?*

— *Nie można kogoś trzymać na dołku bez podania przyczyny. Przesłuchają cię, tę małą... i kopa do domu.*

— *A jeśli ona skłamie?*

— *Dlaczego miałyby to robić? Zresztą postraszą ją, że za składanie fałszywych zeznań grozi jej osiem lat w pierdlu. Pewnie się przerazi. Była z tobą?*

— *Była.*

— *No to widzisz. Przesłuchają cię i zakończą sprawę. I jeszcze jedno: policja i prokurator mają terminy, a nie prowadzą tylko tej jednej sprawy, więc nie będzie tak jak w filmie. Sam mam na tapecie kilkadziesiąt spraw i już po tygodniu nie pamiętam szczegółów. Nikt się nad nimi nie spuszcza, rozumiesz? Jak jest N-ka, sprawa rokuje na niewykrycie, to się ją skręca, to znaczy, w miarę szybko kończy.*

Przesłuchanie odbyło się bezboleśnie i faktycznie wypuścili mnie do domu.

— *Według relacji świadków kłócił się pan z ojczymem dość często.*

— *Jakich świadków?*

— *To ja zadaję panu pytania — powiedziała funkcjonariuszka, która wyglądała niczym stary, rozsierdzony buldog.*

— *Nie lubiliśmy się, ale to jeszcze nie znaczy...*

— *Gdzie pan był dwudziestego drugiego lipca między godziną szesnastą a siedemnastą?*

— *Z przyjaciółką. Zaprosiłem ją do domu.*

— *Co robiliście?*

— *Kochaliśmy się. — Spojrzałem na nią nieprzyjaźnie, zastanawiając się, od ilu lat ta kobieta nie uprawiała już seksu. — Potem do domu wpadł rozeźlony ojczym. Naubliżał mi.*

Trochę się poszarпалиśmy. Wybiegł z domu. Potem wybiegłem za nim razem z Żanetą, ale nie było po nim śladu.

— *Pańska dziewczyna to Żaneta Mikołajczyk? — Funkcjonariuszka zajrzała do notatek.*

— *Zgadza się.*

— *Czy nadal się pan z nią spotyka?*

— *Nie.*

— *Dlaczego?*

— *Co to za pytania odnośnie do mojego związku?*

— *Czy ona może to potwierdzić? To, że byli państwo wtedy razem?*

— *Tak, myślę, że tak. — Przeczesałem ręką włosy.*

— *W ogóle — Michał przestał opowiadać — niepotrzebnie cię tym obarczam.*

— *Nie. Dobrze, że wszystko się wyjaśniło.*

— *Szkoda mi, że człowiek nie żyje, ale nie żal mi ojczyma. Nie wiem, czy rozumiesz, o co mi chodzi.*

— *Domyślam się.*

Pociągnęli po kilka łyków kompotu.

— *Jak on cię traktował?*

— Raczej źle.

— Czy twoja mama o tym wiedziała?

— Na początku nie było tragicznie. Nigdy nie było między nami jakiejś wielkiej przyjaźni, ale wrogości też nie. Zresztą mama była bardzo szczęśliwa. Kiedy mój biologiczny ojciec umarł, miałem zaledwie dwanaście lat. Pamiętam go, ale czasem jak przez mgłę, dobrze pamiętam za to smutek mamy. Kiedy na jej drodze pojawił się Józek, mama promieniała. Była taka radosna! A ja niczego nie pragnąłem tak bardzo, jak jej szczęścia.

Znów odpłynął na moment myślami.

— On naprawdę ją kochał. Mnie już mniej. Zresztą chyba nikt nigdy nie pokocha swoich dzieci tak, jak biologiczni rodzice. Tolerował mnie. Nauczył kilku rzeczy i za to jestem mu wdzięczny. Niestety, jakieś dwa lata przed wypadkiem stosunki między mną a ojczymem zaczęły się pogarszać. Oczywiście wiedziałem, że jest chory, ale jego urojenia doprowadzały mnie do szału. Któregoś lata, kiedy mama pojechała do swojej siostry nad morze, ojczym wyrzucił mnie z domu. Uroił sobie, że go okradam. Zapomniał już, że sam dał mamie pieniądze na podróż, dlatego w kasetce brakowało banknotów. Nie uwierzył w moje tłumaczenia, tylko kazał mi się wynosić.

Westchnął ciężko.

— Miałem swoją dumę, więc spakowałem plecak i wyszedłem z domu. Koczowałem kilka dni u kolegi w garażu, a w ciepłe noce spałem pod gołym niebem. Pomagałem przy sianokosach, to i dostałem trochę grosza. Kiedy wróciła mama, odnalazła mnie i prawie siłą przyprowadziła do domu. Oczywiście ojczym zważył całą winę na mnie, a ja nie chciałem już niczego wyjaśniać. Patrząc na rozpacz mamy, nie miałem serca się kłócić.

Wiktoria chwyciła go za rękę.

— Jesteś wspaniałym mężczyzną. Po tym wszystkim odnalazłeś wielką

pasję. Robisz niesamowite rzeczy!

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Zaproponował Wiktorii spacer. Szli kawałek wśród zbóż i przez ukwieconą łąkę, aż w końcu przystanęli. Posłali sobie długie spojrzenia; nie musieli nic mówić. Michał wplótł dłoń w jej włosy, po czym się nachylił i pocałował Wiktorię. Delikatnie. Kiedy się od niej oderwał, spojrzał na nią z czułością.

— Cieszę się, że zajrzałem wtedy do kawiarni i że cię poznałem.

Dziewczyna skinęła głową, bo nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Michał

uśmiechnął się i uniósłszy jej podbródek, jeszcze raz ją pocałował.

Poszli nad strumyk, trzymając się za ręce.

Rozdział 33

— Te trzy tygodnie tutaj szybko minęły — zwrócił się Przemek do Miśki.

Michalina uśmiechnęła się do niego.

— Zawsze mi jest smutno, kiedy goście odjeżdżają. Dokończyłeś pisać pracę?

— Tak. — Przemek odwzajemnił uśmiech. — To miejsce jest niezwykle. Nie żałuję, że tutaj przyjechałem. No i... mam dla ciebie prezent.

— Prezent? Dla mnie?

Przemek zaczął przeszukiwać kieszenie spodni. W końcu znalazł materiałową torebkę i podał ją Miśce.

— Proszę, otwórz.

Odwiązała wstążeczkę i wyjęła srebrny łańcuszek z delikatną zawieszka w kształcie anioła.

— Kochasz anioły i sama jesteś jak taki anioł!

Michalina poczuła, że się czerwieni.

— Dziękuję! Naprawdę nie wiem, co jeszcze powiedzieć...

— Że się cieszysz i że będziesz nosiła ten wisiołek.

— Tak, oczywiście. — Michalina podeszła i pocałowała go w policzek. Przemek dotknął

miejsca, gdzie przed chwilą paliły go usta Michaliny.

— Jeśli będziesz miała ochotę, to wpadnij kiedyś do Poznania. Zapraszam. Mój numer telefonu masz... Zadzwonisz, a przyjadę po ciebie na dworzec, lotnisko... czy nawet do Złotkowa.

— Będę o tym pamiętać.

— Do zobaczenia!

Wiedział, że jeszcze tu wróci. Wkrótce.

Marek siedział w fotelu, a Patrycja opowiadała o życiu w stolicy, swoim

awansie, pracy, znajomych, z którymi było mu nie po drodze. Jakoś nie miał ochoty jej słuchać i po prostu się wyłączył. Ze smutkiem stwierdził, że chciałby, aby już wyjechała. Nie pragnął spędzać z nią czasu. Zatęsknił za Amelią.

Uśmiechnął się. Ludzie spotykają się i rozstają. Marek zastanawiał się przez chwilę, ile takich spotkań odbywa się ukradkiem. Nigdy nie należał do mężczyzn, których ciągną potajemne schadzki, ale jedyne, o czym teraz marzył, to właśnie żeby w tajemnicy przed żoną spotkać się z Amelią. Uciec od Patrycji pod byle pretekstem. Pretekst zawsze towarzyszy ukradkowym spotkaniom. „Muszę zostać dłużej w pracy”, „byłem na kolacji z kontrahentem”, „wpadłem na dawnego kolegę”, „muszę wyjść do sklepu po kawę”. Kłamstwo to ich nieodłączna część.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała go żona.

— Nie śmieję się, ale uśmiecham.

— Możliwe. — Patrycja popijała wodę. — Wiesz, że Wasilewscy spodziewają się dziecka?

— Doprawdy? — powiedział bez entuzjazmu Marek, po czym spróbował nakierować rozmowę na temat, który bardziej go interesował. — Pati... Czy my się jeszcze Kochamy?

Na twarzy kobiety odmalował się strach.

— Słucham?

— Nic. Tak tylko pytałem.

— Chcesz, żebym się tu przeprowadziła?

„W żadnym wypadku” — przemknęło mu przez myśl.



— Nie chodziło mi o przeprowadzkę.

— A o co? — Kobieta wpatrywała się w męża przenikliwie. Zawsze cieszył się na jej przyjazd. Tym razem był jakiś nieobecny. Ale ona to naprawi, bo wreszcie zrozumiała... Tak wiele rzeczy zrozumiała.

— O wszystko. Tak mi się wydaje, że...

— Że co?

— Że mamy inne problemy. Co innego nas cieszy.

— A co ciebie cieszy?

— To, że mam swoje mleko, że chodzę sobie po lesie.

— Czyli krowy i las dają ci szczęście. — Patrycja położyła dłoń na jego przedramieniu.

— Tak. — Marek uśmiechnął się. — I jeszcze kilka innych rzeczy mnie cieszy. Ogólnie życie tutaj sprawia mi radość.

Był poranek. Patrycja przywarła do niego całym ciałem. Ustami zaczęła muskać jego nagie ramię. Pocałował ją w czoło. „Tak jak ojciec całuje córkę” — pomyślał. I nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

Jednym ruchem Marek poderwał się na równe nogi. Odczuł dziwną ulgę, kiedy wyskoczył z łóżka. Włożył spodenki i poszedł otworzyć. To sąsiadka,

przyszła po jajka.

„Jak ja nie lubię takich upierdliwych ludzi” — pomyślała o swoich nowych gościach Michalina. Podczas gdy spisywała ich dane, młode małżeństwo narzekało... na wszystko. A to, że korek do Sanoka, a za Sanokiem drogi zbyt kręte, a to, że widoki inne niż na zdjęciach w internecie, a to, że Złotkowo to taka dziura, a oczekiwali czegoś większego. Miśka pocieszała się faktem, że zostaną w pensjonacie tylko trzy doby, inaczej mogłaby stracić cierpliwość.

Państwo Zaleśniakowie mieli niezadowolone miny. Miśka poprowadziła ich na górę.

Kiedy skrzypnęły schody, pani Zaleśniak jeszcze bardziej się skrzywiła.

— Może przed obiadem napiją się państwo kawy albo herbaty w ogrodzie? Mam też smaczne ciasto i ciasteczka.

Pan Zaleśniak wyjrzał przez okno, po czym stwierdził:

— Upał.

— W altance nieco chłodniej.

— Dobrze — odpowiedział wspaniałomyślnie mężczyzna, jakby był co najmniej papieżem udzielającym błogosławieństwa. — Wypijemy kawę.

Kiedy zeszli na dół, Miśka zaprowadziła ich do ogrodu.

— W łazience nie ma szlafroków — zwrócił się do niej nowy gość, poprawiając kapelusz.

— Nie mamy szlafroków.

— Cóż... — Jego żona wyduła wargi.

— Zaraz przyniosę kawę i ciasteczka.

Miśka wypuściła pomału powietrze z płuc i zanim do nich wróciła, policzyła w myślach do trzydziestu. Nie było rady; rodzina z trójką dzieci odwołała przyjazd, trzeba było się trochę przemęczyć. Wiedziała, że musi jeszcze popracować nad twarzą pokerzystki.

Wieczorem, kiedy państwo Zaleśniakowie wybrali się na spacer, Miśka czmychnęła z pensjonatu. Musiała też się od nich trochę odseparować, bo inaczej by ich ukatrupiła.

Postanowiła, że odwiedzi Amelię.

Kobiety nie było w domu; Michalina znalazła ją w ogrodzie. Siedziała na nowej ławce i patrzyła na słońce, które chowało się za drzewami. Była pochylona, a ręce trzymała na kolanach.

— Co jest? — Michalina usiadła obok.

— Wszystko, Miśka, wszystko. — Amelia miała załzawione oczy i czerwony nos. — Żona Marka przyjechała.

— To nic nie znaczy.

— No, nie byłabym tego taka pewna...

— Jak długo są w separacji?

— Cztery lata, ale rozvodu nie mają. A teraz ona jest tutaj, chce ratować małżeństwo.

Dlaczego zawsze mnie to spotyka?

— Nie wiem. Mnie chyba też „to” spotyka, bo jak widzisz, nie mam żadnego faceta. Ech.

Wyglądasz jak sto nieszczęść.

— I tak samo się czuję.

— Nie możesz chodzić w przetłuszczonych włosach, ze skwaszoną miną i... — Michalina krytycznie spojrzała na poplamiony sokiem T-shirt Amelii — ogólnie wyglądać jak lump.

— A to dlaczego?

— A co, jeśli do Złotkowa przyjechałby George Clooney?

— Po co mi kolejny żonaty facet?

Parsknęły śmiechem.

— To nie wiem, jakiś wolny przystojny gwiazdor? Szukałby miłości swojego życia, a ty wyglądasz tak... — Miśka wykonała bliżej nieokreślony gest.

— Bo tak też się czuję. Kiepsko.

— Przestań marudzić! Umyj włosy, wypierz koszulkę i do przodu.

— Łatwo powiedzieć.

— Wcale nie łatwo. Idę pomóc babci. Wystawiamy kolejne stoliki na zewnątrz i rozkładamy parasole.

— Potrzebujecie wsparcia?

— Każda para rąk się przyda.

Udało się wynieść meble do kawiarnianego ogródka. Miśka je przetała. Rozłożyły parasole. Dziewczyna miała nadzieję, że wrzesień będzie ciepły i turyści wciąż będą przychodzić do kawiarni.

Kiedy tylko skończyły, zza rogu wyłonił się Marek. Szedł zdecydowanym krokiem, ubrany w czarne dżinsy i białą koszulkę.

— Dzień dobry paniom! — rzucił z uśmiechem na twarzy.

Michalina odpowiedziała, ale Amelia zamarła, jakby zobaczyła ducha.

— Cześć — powiedziała po chwili.

— Co tu robisz? — zagaiła Miśka.

— Wpadłem kupić kilka ciastek, mamy dzisiaj gości.

— To ja ci coś wybiorę — zdecydowała Michalina i odwróciła się w stronę drzwi.

— Ale...

— Wy tu sobie pogadajcie.

Zniknęła w przytulnym wnętrzu.

— Co u ciebie? — zapytał Amelię Marek.

Kobieta przypomniała sobie, że wygląda jak sto nieszczęść. Spojrzała na swoją bluzkę i jej wzrok padł na plamę po soku.

— W porządku.

— Nie odwiedzasz mnie — powiedział ciszej.

Amelia podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Żona do ciebie przyjechała, więc chyba rozumiesz...

— Tak. Ale mogłabyś wpaść.

— Daj spokój... Sam dobrze wiesz, że to byłoby głupie.

— Marek, tutaj jesteś!

Odwrócili się. Za mężczyzną stanęła drobna kobieta ubrana w białe spodnie i niebieski T-shirt; blond włosy miała związane w luźny kucyk. Amelię uderzył jej ciepły uśmiech. Marek wyprostował się jak struna i dokonał prezentacji.

— Moja żona Patrycja, a to Amelia.

— Cześć. — Nieznajoma podała jej rękę.

Amelia uścisnęła ją niepewnie. Z przykrością odnotowała regularne rysy kobiety, niebieskie oczy i lekko zadarty nos. Była śliczna.

— Amelia jest moją koleżanką... — zaczął się tłumaczyć Marek.

— To może wpadniesz do nas po południu? Przyjeżdżają inni nasi znajomi.

— Ja nie, nie wiem... — Amelia czuła, że zachowuje się dziwnie. Przesępowała z nogi na nogi, dłonie się jej pocily.

— Jeśli nie masz żadnych planów, to czuj się zaproszona. — Patrycja uśmiechała się ciepło.

Amelię zaskoczyła życzliwość kobiety. No tak, nie miała powodów, by przypuszczać, że „koleżanka” spała z jej mężem. Na samą myśl o tym Amelię ścisnęło w dołku.

— Tak, pewnie, przyjdź. — Do zaproszenia żony dołączył Marek.

— Dziękuję. Będę.

O dwudziestej Amelia zapukała do drzwi domu Marka. Otworzyła jego żona, a Amelia wręczyła jej butelkę wina. Patrycja uśmiechnęła się i gestem ręki zaprosiła ją do środka. Salon był wypełniony gwarem i nieznanymi ludźmi.

— Przyjechało tu pół Warszawki — zaszcebiotała Patrycja. — Za chwilę przenosimy się na taras.

Marek otworzył przeszklone drzwi i towarzystwo wysypało się do ogrodu. Amelia w przelocie uchwyciła jego wzrok. Był wyraźnie zakłopotany.

„Po co w ogóle tu przychodziłam? — pomyślała. — Po co on mnie zaprosił?”.

Wraz z gośćmi wyszła na zewnątrz. Mężczyźni i kobiety usiedli na płóciennych poduszkach rozrzuconych wszędzie dookoła stołu, na którym stały przekąski i paliły się świece.

Ogród tonął w mroku. Kwiaty roztaczały miły, słodkawy zapach.

Pili wino, jedli znakomite przekąski, rozmawiali o życiu i szczęściu, o książkach. Nikt nie wspominał o pracy w korporacji. Patrycja co chwila pytała Amelię, czy niczego nie potrzebuje lub czy dolać jej wina. Ta ostatnia chciała czuć do niej antypatię, bo przecież to właśnie ta kobieta stała między nią a Markiem, ale nie znajdowała w sercu niczego poza serdecznością.

Na początku w ogóle nie myślała o Patrycji. Dopiero teraz, kiedy ją poznała, zobaczyła, że jej również bardzo zależy na Marku. I to Patrycja, a nie Amelia, była jego żoną.

Nie miała pojęcia, jak dotrwała do końca wieczoru. Kiedy wreszcie znalazła się w swoim pokoju w domu matki, długo nie mogła usnąć.

Rozdział 34

Michalina została zaproszona na targi rękodzieła do Poznania. W ostatniej chwili zwolniło się miejsce. Bardzo ucieszyła ją ta wiadomość — w końcu to topowa impreza.

Pensjonatem pod jej nieobecność zgodziła się zająć babcia. Przez dwie noce poprzedzające wyjazd Miśka lepiała anioły i szyła lalki. Mogłaby zadzwonić do Przemka, bo na pewno chętnie by ją przenocował, ale serce jej podpowiadało, aby zarezerwować pokój w hotelu. Tak też zrobiła. Nie była gotowa, żeby spać u niego.

Po targach, które skończyły się późnym popołudniem, Miśka spacerowała uliczkami Starówki, kiedy nagle zobaczyła... Artura. Wydawało jej się, że to złudzenie. Bo jak to: on?

Teraz, tutaj?

Jednak to nie były halucynacje. Szedł jakby wprost na nią. Artur. Roześmiany.

Zauważył ją. Przystanął. Wystraszył się? W każdym razie zupełnie pobrał.

Michalina ruszyła ku niemu. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć. Nie mogę uwierzyć, że ty... tutaj... — On także był zaskoczony.

— Niemożliwe. Nieprawdopodobne. Też w to nie mogę uwierzyć. Co za zbieg okoliczności... żeby nie powiedzieć: przeznaczenie?

Uśmiechnęli się. Oboje zażenowani, zawstydzeni.

— Co tu robisz?

— Przyjechałam na targi rękodzieła. A ty?

— W delegacji jestem.

— Gdzie się zatrzymałaś?

— Yyy... — Artur zaczął się jąkać.

— Czy to tajemnica? — Michalina świdrowała go wzrokiem.

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Jesteś z kobietą i boisz mi się o tym powiedzieć? — zapytała wprost.

Artur potarł ręką podbródek.

— Tak. Jest kobieta, ale to nic poważnego.

— No tak... Żadna cię nie zatrzyma — stwierdziła z przekąsem.

Te słowa były dla Artura niczym uderzenie w twarz. Michalina zdała sobie sprawę, że go zraniła, więc zaczęła się wycofywać.

— Przepraszam... Nie powinnam. Nie chciałam, żeby moje słowa cię dotknęły.

— Zasłużyłem sobie na to.

— Nie. Nie zasłużyłeś. Nikt nie zasługuje na takie czy inne słowa.

Zawstydziała się i odwróciła wzrok.

— Często o tobie myślę. Tęsknię...

— Nie napisałeś ani razu. Ani razu nie zadzwoniłeś. — Miśka nie chciała, by w jej głosie zabrzmiała pretensja, jednak tak się stało. Wyrzucała mu to, że milczał.

— Nie chciałem psuć twojego spokoju, bo wiem, że nic dobrego z tego nie wyjdzie.

— Znowu wiesz, co dla mnie najlepsze?

— Ta rozmowa do niczego dobrego nie doprowadzi.

— Chyba nie.

— To cześć. — Artur wyminął ją, a ona poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

— Cześć — rzuciła cicho, nie oglądając się nawet przez ramię.

Michalina wróciła do hotelu roztrzęsiona. Nie mogła się na niczym skupić. Rozsypywała się na drobne kawałki. „Niech go szlag trafi. Niech go piekło pochłonie! — złorzeczyła. — A już było tak dobrze!”.

Chwyciła słuchawkę i wybrała numer Przemka. Nie powinna tego robić. Nie powinna.

— Tak, przyjadę. Zabiorę cię do siebie — zapowiedział. — Daj mi godzinę albo dwie.

Dwie będzie dobrze.

— Będę na ciebie czekać.

Rozłączyła się. Wypłakała morze łez; ulżyło jej, ale wciąż była wściekła. Pożałowała, że zadzwoniła do Przemka. Nie chciała traktować go jak koła ratunkowego, jednak teraz głupio by wyszło, gdyby wszystko odwołała.

Dwie i pół godziny później Miśka znalazła się w mieszkaniu starego znajomego. Było nadzwyczaj przestronne. Przypominało Michalinie jakąś halę: jedynym pomieszczeniem z drzwiami była łazienka. Podobało jej się tutaj.

— Zapraszam do stołu. Zrobiłem kolację. — Przemek zgiął się w pół niczym usłużny kelner.

— Naprawdę?

— Dla ciebie wszystko! — Skłonił się ponownie w pas, a ona się zaśmiała. — Nie wiem, czy sprostam twoim wymaganiom, ale się starałem.

Usiedli przy stole, na którym stała misa z sałatą, serem camembert, prażonymi orzechami i plasterkami ananasa polanymi dipem sojowo-oliwnym. Obok na talerzu leżały pieczone ziemniaki w rozmarynie, a na trzecim talerzu mięso.

— Jak się z tym wszystkim wyrobiłeś?

— Hmm. — Zabawnie zmarszczył nos. — Słodkie kłamstwo czy gorzka prawda?

— Wal prosto z mostu. — Michalina uśmiechnęła się.

— Mięso i ziemniaki przywiozła mi mama. Wpada tutaj z wałówką raz na jakiś czas. Taki urok mam.

Roześmiali się.

— Ale sałatkę sam zrobiłem. Napijesz się wina?

— Z przyjemnością.

Po kolacji i wypitych kilku kieliszkach usiedli na kanapie. Michalina podkuliła nogi, a Przemek rozparł się wygodnie. Oparła głowę na poduszce i

poczuła błogość rozlewającą się po jej ciele. Po chwili poczuła na swoich ustach ciepło innych warg. Raz jeszcze się uśmiechnęła.

Przemek zaczął jej dotykać, a w niej wezbrało pożądanie. Nie wiedziała, czy powinna ulec, czy nie. W końcu uznała, że liczy się ta chwila, a na zastanawianie się przyjdzie czas potem.

Całowali się, jego palce rozpięły suwak sukienki, a potem uwolniły piersi ze stanika.

— Chcesz tego? — zapytał, patrząc jej w oczy.

Skinęła głową.

Kochali się długo i namiętnie. W końcu wyczerpani zasnęli wtuleni w siebie.

Po kilku godzinach Michalina się obudziła. Przez chwilę leżała bez ruchu i zastanawiała się nad tym, do czego doszło. Powoli, żeby nie obudzić Przemka, zsunęła jego rękę ze swojego brzucha i spróbowała po cichu ześlizgnąć się z łóżka. Przeszła kawałek dalej, gdzie leżały jej bielizna i sukienka. Włożyła majtki i ledwo zdążyła zapiąć stanik, kiedy u jej boku pojawił się on.

— Masz zamiar uciec cichaczem? — zapytał.

— Ja? Ja... — Michalina błyskawicznie włożyła sukienkę.

— Masz ochotę na jajecznicę i wychodzisz do sklepu? — Przemek przeczesał palcami włosy.

— Nie strój sobie żartów. — Michalina była wyraźnie skrepowana. — Po prostu czuje się dziwnie.

— Dlaczego? — Przemek podszedł do niej i uniósł jej podbródek.

— Sama nie wiem. Muszę lecieć do hotelu. Mam dzisiaj wystawę.

— Podwiozę cię.

— Nie. Nie, dziękuję.

— Za jakiś tydzień, może dwa, znów przyjadę do Złotkowa.

— Dobrze.

— Zrobić ci śniadanie?

— Spieszę się. — Michalina ruszyła w stronę drzwi, potykając się o własne nogi.

— Może chociaż kawy się napijesz?

— Nie. Naprawdę się spieszę. Odezwę się — rzuciła przez ramię.

— Zadzwonisz?

— Zadzwonię.

Przemek nic nie zdołał dodać, bo już jej nie było.

Rozdział 35

Rano Amelię obudził świergot ptaków siedzących na gałęziach lipy. W

oddali miauknął

kot. Rozsunęła zasłony. Otworzyła szerzej okno, które w nocy było tylko uchylone. Do pokoju wdarło się słońce. Osłoniła ręką oczy. Wśród krzewów róż brzęczały pszczoły. Po prawej stronie rozciągały się złote pola zbóż. Amelia w jednej chwili pomyślała, że chciałaby tu zostać. Czuła się tutaj tak dobrze...

Wiktoria weszła do pokoju babci. Przez ostatnie tygodnie bardzo się ze sobą zżyły.

Zaniepokoiło ją to, że Jadwigi nie ma jeszcze w kuchni. Odkąd przyjechały wnuczki, babcia krzątała się już od rana. A dziś Wika zastała ją w łóżku.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała. Jadwiga miała ziemistą cerę i przeszkłone oczy.

— Jakoś kiepsko się czuję.

Wnuczka podeszła do niej i odgarnęła jej z czoła kosmyk włosów.

— Chcesz pojechać do lekarza?

— Chyba tak. — Jadwiga jęknęła. Bolało ją całe ciało.

— Pójdę do mamy. Zaraz wrócę.

Kiedy Wiktoria rozmawiała z Amelią, z pokoju Jadwigi dobiegł łoskot.

— Co to? — Dziewczyna odwróciła się.

Obie pobiegły do sypialni gospodyni.

W pokoju okazało się, że Jadwiga spadła z łóżka. Była blada jak śmierć. Amelia wybrała numer pogotowia.

Mary Ann została u Miśki, natomiast Amelia z Wiktorią ruszyły za karetką.

Kiedy dotarły pod szpital, zauważyły, jak sanitariusze na noszach wiozą Jadwigę na ostry dyżur. Podążyły za nimi. Jakiś lekarz wytłumaczył im, że Jadwiga doznała rozległego wylewu.

Ma sparaliżowaną lewą połowę ciała. Amelia poczuła się tak, jakby ziemia się pod nią rozstąpiła.

Wiktoria chwyciła ją pod ramię.

— Chodź, usiądziemy. Przyniosę wody. — I poszła w stronę dystrybutora, a Amelia wyciągnęła z kieszeni telefon.

Marek był właśnie z żoną na obiedzie, kiedy jego komórka zawibrowała w kieszeni spodni.

— Przepraszam na sekundkę — zwrócił się do Patrycji.

Przyglądała się, jak mąż rozmawia: jego twarz stężała, ściągnął brwi. Wreszcie się rozłączył.

— Przepraszam cię, ale muszę jechać do szpitala — zwrócił się do żony.

— Czy coś się stało?

— Tak, mama Amelii miała wylew. Przepraszam za to. — Wstał od stolika.

— Pewnie, leć.

— Masz pieniądze? — Marek podniósł się z krzesła.

— Zapłacę. Leć.

„Mama znajomej” — dudniło w uszach Patrycji. Widziała, jak Marek patrzył na tę kobietę. Między nimi coś się wydarzyło, tego była pewna. Jakieś zauroczenie, fascynacja, a może nawet coś więcej. Poczwała się zdradzona, oszukana. Chociaż... chyba wcale nie powinna się tak czuć? To ona zażądała separacji; to ona zgodziła się na rozstanie.

Marek odnalazł Amelię na korytarzu, gdzie siedziała obok córki.

— Jestem. — Chwycił ją za rękę.

Kobieta podniosła wzrok. Jej oczy lśniły od łez.

— Przepraszam, że zadzwoniłam. Wiem, że twoja żona... — zaczęła się jąkać.

— Dobrze, że zadzwoniłaś. — Objął ją w pól.

Po chwili na korytarzu zjawił się dyżurny lekarz, by porozmawiać z córką pacjentki.

— Obawiam się, że z pani mamą nie jest najlepiej. — Na te słowa Amelia poczuła, jak w skroniach dudni jej krew. Lekarz wymienił wszystkie powikłania i komplikacje.

Kiedy skończył, ona i Wiktoria weszły do pokoju, gdzie leżała Jadwiga. Podeszły do jej łóżka. Kobieta wyglądała blado i krucho. Amelia przez chwilę nie mogła złapać oddechu.

Usiadła na taborecie. Wiktoria dotknęła ręki babci i przez długi czas wszystkie milczały.

Do domu wrócili po północy. Amelia zadzwoniła do Miśki, która zakomunikowała jej, że Mary Ann śpi i nie ma sensu jej budzić.

— Przyjedź jutro. Wypocznij.

— Dzięki, Miśka. Dzięki.

Wiktoria ruszyła do swojego pokoju.

— Chcę być sama — oznajmiła Amelii.

— Na pewno?

— Tak.

Schody skrzypnęły, kiedy córka wchodziła na górę.

Amelia została sama z Markiem.

— Dziękuję, że przyjechałeś, że jesteś tutaj ze mną... Ale chyba powinieneś już jechać do domu.

— Nie. — Pokręcił głową. — Zostanę. Potrzebujesz mnie.

— Ale...

— Ciii. — Przytknął palec do jej ust, a potem mocno ją do siebie przytulił.

Usiedli na kanapie. Marek zdjął baleriny z nóg Amelii i otoczył ją ramieniem.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytał.

— Nie...

Siedzieli na kanapie ciasno objęci. Telefon Marka zawibrował. Mężczyzna jedną ręką sięgnął do kieszeni i wyłączył go.

Patrycja odłożyła komórkę na stolik nocny. Mąż nie wróci na noc, była o tym przekonana.

Odkąd przyjechała do Złotkowa, wiedziała, że coś z nim nie tak. Coś się zmieniło. Dotąd niemal na siłę próbował zatrzymać ją w Bieszczadach. Tym razem było inaczej. I kiedy ona w końcu zrozumiała, że Warszawa wcale a wcale jej nie kręci, kiedy w końcu doceniła Marka i zdecydowała się do niego wrócić, kiedy potrzebowała go jak nigdy, on się od niej odsunął!

Wstała z krzesła i podeszła do barku. Nalała sobie wina.

„Co robić?”

W nocy Jadwiga dostała rozległego zawału, a następnego ranka lekarz poinformował

Amelię, że obie komory serca zostały uszkodzone.

— Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy. Jeśli pani chce, może pani wejść na oddział.

— Tak, oczywiście, że tak. — Amelia pokiwała głową.

Jadwiga podłączona była do urządzeń monitorujących pracę serca. Miała

zamknięte oczy.

Córka chwyciła jej dłoń.

— Cześć, mamó, jestem przy tobie... — mówiła drżącym głosem.

Jadwiga nie otwierała oczu, ale Amelia czuła delikatnie drganie jej ręki, jakby kobieta próbowała zacisnąć palce na dłoni córki, ale nie miała na tyle siły.

Dzień później Jadwiga Kowalik dostała kolejnego zawału i umarła.

Amelia wraz z córkami wyszła na werandę. Zaczął padać drobny, rześisty deszcz, jakby i niebo się rozplakało. Pąki kwiatów nasiąknięte były wilgocią, chyliły się ku ziemi. Ogród był w pełnym rozkwicie. Ich serca natomiast były ciężkie od bólu i smutku.

Marek zadzwonił, kiedy dowiedział się o śmierci Jadwigi. Przyjechał po kilku minutach od zakończenia rozmowy.

— Nie musiałeś... — zwróciła się do niego Amelia.

— Pomogę ci załatwić wszystkie formalności.

I rzeczywiście pojechał z nią i do zakładu pogrzebowego, i do urzędu stanu cywilnego po akt zgonu. Amelia zachowywała się jak robot; to Marek wszystko załatwiał, a ona tylko potakiwała głową.

Z bólem serca stwierdziła, że będzie jej bardzo brakowało mamy. Żałowała, że ich więź

nie była głębsza. Za krótko. Miały za mało czasu na to, żeby się na nowo poznać. Amelia przełknęła kwaśną ślinę, która zebrała się w jej ustach. Gdyby Jadwiga nie przyjechała do Londynu, nie odnowiłyby kontaktu. Dlaczego ona nie próbowała? Przez te wszystkie lata powinna choć raz ją odwiedzić. Była przecież jej córką. Kiedyś się pogubiły, ale powinny

odnaleźć do siebie drogę. Teraz było na wszystko za późno. Teraz mogła to stwierdzić z całą pewnością, że kiedy uciekała z domu, była samolubną nastolatką. Skoncentrowaną na sobie.

Ojciec Amelii przyjechał na pogrzeb i zatrzymał się w „Różanym Pensjonacie”. Wjechał

na podjazd i od razu uległ magii tego miejsca. Duże okna w pomieszczeniach na pewno wpuszczały wiele słońca. Widok z poddasza na pobliskie połoniny i strumyk zachwycił. W dole ciągnęły się zabudowania Złotkowa, między którymi wiała się główna ulica. Nie było to zapewne turystyczne i oblegane miasteczko, ale Maciejowi niezmiernie się spodobało. Cenił sobie spokój i ciszę. Mógł zrozumieć, dlaczego Jadwiga tutaj osiadła.

Na samo wspomnienie o byłej żonie poczuł ostre ukłucie w sercu. Nie widział jej tyle lat!

Często o niej myślał. Tyle razy miał ochotę ją odwiedzić, ale zawsze odkładał tę wizytę na później. Tylko że teraz nie ma i nigdy nie będzie już żadnego „później”.

— Jeśli to dla pani nie będzie problem — zaczął lekko zawstydzony — to żywię się kanapkami. Na śniadanie, obiad i kolację kanapki.

— Nie będzie problemu i nie pani, ale Miśka. Po prostu Miśka.

— Miśka od.... Mileny?

— Miśka od Miśki. — Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— To twój pensjonat?

— Tak. A po drugiej stronie ulicy są „Cynamonowe Serca”: najlepsze ciasta i ciasteczka w okolicy.

— Czyli jesteś też właścicielką kawiarni?

— O nie! To interes mojej babci, ale zapewniam pana, że jeśli tam pan wejdzie, to pan przepadnie. A po dwóch tygodniach przytyje pan kilka kilogramów.

Roześmiali się oboje. Mężczyzna po chwili umilkł.

— Przyjechałem na pogrzeb.

— Pani Jadwigi Kowalik?

— Tak.

— Wnioskuje po nazwisku, że to pańska krewna?

— Moja była żona.

— Przykro mi.

— Mnie też. Naprawdę mi przykro.

Pan Maciej skierował się na górę. Wspinał się po schodach dość wolno. Pokonywał po trzy, cztery stopnie i przystawał. Michalina nie wiedziała, czy ma go zapytać, czy nie potrzebuje pomocy, czy milczeć. On, jakby wyczuł jej wahanie, odwrócił się.

— Mam zwyrodnienie stawów. Miałem operacje na kolano — powiedział. — Poradzę sobie. — Ponownie zaczął wchodzić na górę.

Maciej i Amelia zamienili ze sobą kilka zdań na stypie. On był dla niej

obcym starszym człowiekiem, z którym rozmowa nie bardzo się kleiła. A ona dla niego? Kim teraz dla niego była?

— Sądzę, że powinnaś pojednać się z ojcem — powiedziała Michalina, nalewając Amelii herbaty do kubka.

— Myślisz, że skoro się pojawił na pogrzebie, to już wszystko między nami jest załatwione?

— Nie, wcale tak nie myślę. I jak sama wiesz, moje stosunki z ojcem też nie są najlepsze.

— Nie widziałam go prawie dwadzieścia lat. Czy wiesz, co on mi zrobił?

— To wciąż twój ojciec.

— Kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, kazał mi usunąć Wiktorię.

— Myślał, że to słuszne.

Amelia założyła ręce na piersiach.

— Oboje siebie potrzebujecie — kontynuowała Michalina.

— Słucham?

— To twój ojciec, jedyny żyjący rodzic. On jest już starszym człowiekiem i chciałby odnowić kontakt z tobą i poznać wnuczki.

— Czasami nie jest łatwo wybaczyć.

— Ale może czas niektóre rzeczy zapomnieć? Mój ojciec to typ Piotrusia Pana, wędrowca. Pojawia się i znika. A jednak przyjmuję go z otwartymi ramionami, tak jak robiła to moja mama. I może pomyślisz, że jestem naiwna, głupia. Nic z tych rzeczy. Ja wiem, że od nas odejdzie. Za każdym razem, kiedy się pojawi. Ostatnio nawet go wyrzuciłam ze Złotkowa, nie pozwoliłam mu się spotkać z Bartkiem... Jednak dwa dni później napisałam do niego wiadomość. Ma przyjechać. Nie wiem jeszcze kiedy, ale na niego czekam... Zawsze mam nadzieję. Bo jest Bartek. A ty masz dwie córki. Jeszcze do niedawna nie miały kontaktu z dziadkami. Teraz straciły jedyną babcię. Dziadka wciąż jeszcze mogą mieć...

Amelia właśnie szła zwawym krokiem na cmentarz, kiedy zadzwoniła jej komórka.

Marek.

Spojrzała na wyświetlacz, chwilę się wahała, aż w końcu postanowiła zignorować połączenie. Bała się, że jeśli odbierze, to się rozpłaczę.

Przekroczyła cmentarną bramę. Poczuła ucisk w sercu. Dlaczego nie porozmawiała z mamą o tym, czy sobie wybaczą? Chciałyby to usłyszeć od Jadwigi. To jedno słowo: „wybaczam”. Mama na pewno też chciałyby usłyszeć, że Amelia jej przebaczyła, że nie ma już żalu.

Kiedy doszła do grobu, przystanęła. Na kopcu położyła stokrotki, które zebrała po drodze.

Nie wiedziała, czy mama lubi stokrotki, ale skoro ona je lubiła... Były przecież rodziną.

Stała przed grobem i nie potrafiła zebrać myśli. Przysiadła na ławce i patrzyła na imię oraz nazwisko. W końcu odezwała się przyciszonym, schrypniętym głosem:

— Przepraszam.

Rozdział 36

Amelia i Maciej spotkali się w „Cynamonowych Sercach”. Ojciec nie był już tym samym dziarskim mężczyzną, jakiego zapamiętała. Na pogrzebie była zbyt zrozpaczona, żeby przyjrzeć mu się dokładnie. Teraz zauważyła, że jest szczupły, wręcz chudy, włosy miał tylko po bokach.

Wyłysiał, a kiedyś miał taką bujną czuprynę.

Usiadła naprzeciwko niego i zamówiła herbatę.

— Dziękuję, że przyszłaś — powiedział.

— Było to dla mnie trudne.

— Zdaję sobie sprawę...

Zamilkli. Oboje w tej samej chwili spojrzeli w okno.

— Zawiodłem ciebie i mamę. — Po twarzy Macieja spływały łzy. Amelia chciała mu współczuć, ale jakoś nie mogła.

— Wiesz... — zaczęła. — Najbardziej bolało mnie wtedy, kiedy wręczyłeś mi zwitek pieniędzy i zawiozłeś do kliniki.

— Wiem. Nie powinienem był.

— Nawet nie wszedłeś ze mną do środka. Siedziałeś w samochodzie i dzwoniłeś po klientach z tej swojej wielkiej cegły. A ja zostałam z tym wszystkim sama... Sama...

Rozumiesz? Jakby to wszystko nie miało dla ciebie żadnego znaczenia.

Wypluwała pojedyncze słowa; mówienie sprawiało jej niewyobrażalny ból.

— Myślisz, że cię nie kochałem? — Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: — Kochałem jak nikogo innego. I kochałem też twoją matkę. — Popatrzył na swoje dłonie. — Nie, nie rozliczam się teraz z życiem, jeszcze na to za wcześnie. Pogubiliśmy się z Jadzią. Za dużo czasu spędzaliśmy w firmie. Ale chcieliśmy zapewnić ci przyszłość. Tak to się mówi.

— Chciałeś też, bym usunęła ciążę.

— Tak. Myślałem wtedy, że to najlepsze wyjście.

— Wiktoria, twoja wnuczka, jest przepiękną młodą kobietą.

Maciej zamilkł. Setki razy zastanawiał się, dlaczego Amelia tak naprawdę uciekła.

Zdawał sobie sprawę, że dołożył swoje, ale wciąż miał też w pamięci jej notes. Ta aborcja, to miało przecież być dla jej dobra. Była taka młodziutka... Liczył, że po jakimś czasie to zrozumie.

W końcu kiedy urodziła, mogła wrócić. Może i nie byli z Jadzią już małżeństwem, ale żadne z nich nie wyrzuciłoby z domu ani jej, ani wnuczki. Więc dlaczego? Czy naprawdę aż tak ich nienawidziła...?

Rok 1999

To był środowy poranek, pół roku po tym, jak Amelia zniknęła. Warstwa kurzu pokryła parkiet. Wszedł do pokoju córki z mopem. Zaczął myć podłogę. Nachylił się i zajrzał pod łóżko.

Wtedy zobaczył, że jedna z desek lekko odstaje. Odłożył mop i wczołgał się pod mebel. Z

kieszeni wyjął scyzoryk; otworzył go i podważył deskę. W dziurze znajdowało się niewielkie pudełko. Wyjął je i wczołgał się spod łóżka.

Kiedy je otworzył, zobaczył w opakowaniu niewywołany film Kodaka. Wstał i ruszył do najbliższego punktu fotograficznego.

— Z połyskiem czy mat? — zapytał znudzony chłopak za ladą.

— Obojętnie.

— Ale muszę coś zaznaczyć.

— Panie... — Maciej nie krył irytacji. — Zaznacz pan matowe.

— Teraz wszyscy wywołują na błyszczącym papierze.

— Daj mi pan spokój, do kurwy nędzy. Matowe i już!

Chłopak spojrzał na niego bez emocji.

— Dobrze. Nie musi pan krzyczeć.

— Kiedy będą do odbioru?

— W przyszły poniedziałek.

— Nie mogę czekać tak długo.

— To proponuję usługę ekspresową — zasugerował młody chłopak.

— Na kiedy?

— Na piątek.

— Nie mogę tak długo czekać! — Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

Chłopak wzruszył ramionami.

— A jest opcja superekspres?

— Nie ma.

— Zapłacę podwójną stawkę, chcę na jutro.

Chłopak uśmiechnął się przebiegle.

— Potrójną i będzie je pan miał na dzisiaj wieczór.

Maciej wyjął z kieszeni gotówkę. Był do granic możliwości wściekły, jednak nie dawał tego po sobie poznać.

Odebrał zdjęcia po osiemnastej.

Usiadł na ławce w parku i przeglądał fotografie córki. Wiele przedstawiało Amelię wymalowaną, w kusych spódniczkach. Amelię całującą się z jakimś chłopakiem. To nawet nie był pocałunek, ale lizanie się. Dwa języki stykały się koniuszkami. Zrobiło mu się niedobrze. Na chwilę odłożył zdjęcia, ale już po chwili znów je przeglądał. Sam nie wiedział, czego szukał. Nie chciał oglądać córki w takim wydaniu. To nie była jego kochana księżniczka. Na jednym ze zdjęć Amelia leżała półnaga na łóżku, a chłopak gryzł jej sutek.

— Obrzydliwe.

W końcu natrafił na zdjęcie, na którym Amelia siedziała obok koleżanki.

Kojarzył tę dziewczynę. Chodziły razem do szkoły.

Musi ją odnaleźć. Po prostu musi.

Czekał na nią pod szkołą. Co i rusz spoglądał na zdjęcie i na twarze uczennic, które wychodziły z budynku. W końcu ją zobaczył; szła z jakąś koleżanką, obie się śmiały. Podeszedł

do nich, przedstawił się i zapytał, czy może porozmawiać z tą ze zdjęcia. Niechętnie się zgodziła.

Odeszli na bok.

— Kim był chłopak, z którym spotykała się Amelia? — zapytał Maciej.

— Chodził do klasy maturalnej. Nie lubiłam go.

— Dlaczego?

— Obracał się w innym towarzystwie.

— Jakim?

— Takim, na które rodzice nie pozwalają. — Wydęła wargi.

— Co o nim wiesz?

— Nic. Odkąd Amelia zaczęła się z nim spotykać, odbiło jej.

— Czy możliwe, że z nim uciekła?

— Powiedziałam wszystko prywatnemu detektywowi. Jeśli Amelka

gdzieś związała, to na pewno z nim.

— Wiesz, gdzie go szukać?

— Nie. Zresztą ona ma już osiemnaście lat. Gdyby chciała...

— Może on ją krzywdzi. — Sam w to nie wierzył. Córka dzwoniła do domu.

— Ciekawe czemu teraz się pan zajmuje tą sprawą? Jakoś wcześniej Amelia pana nie obchodziła.

Maciej zacisnął ręce w pięści.

— Nic o nas nie wiesz! — syknął.

Tak naprawdę to oni sami, jego rodzina, nic o sobie nie wiedzieli. Sądził, że Amelia jest jego małą, porządną dziewczynką... Dopóki nie zaszła w ciążę. A teraz te obrzydliwe zdjęcia.

Dlaczego nic nie zauważył?

Dziewczyna przystanęła, spojrzała na Maćka i nagle uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia.

— Może da mi pan swój numer telefonu? Zadzwoń, jeśli coś sobie przypomnę.

— Dziękuję.

Maciek podyktował jej rząd cyfr.

— Dzwon o każdej porze dnia i nocy.

Dziś

— Tato, tato! — Jego rozmyślania przerwał głos córki.

— Przepraszam, odpłynąłem. To dla mnie trudne. — Zacisnął dłonie na kubku.

— Jak dla każdego z nas.

Napił się trochę kawy. Była już zimna. Lubił pić zimną kawę. Przypomniało mu się, że Jadwiga piła zawsze gorącą — taką, co niemal parzyła język — a on zimną.

Czekał, by porządnie wystygła.

— Czy Jadwiga... Czy mama powiedziała ci, dlaczego się rozwiedliśmy?

Amelia skinęła głową.

— Tak. To przez to... Przez tę moją ucieczkę. Oddaliliście się od siebie. Ona obwiniła cię o to, co się stało, a ty ją.

— Tak. — Teraz to on skinął głową i zamilkł.

Jadwiga mogła wyjawic córce prawdę, a jednak nie zrobiła tego. Brzydził się sobą. Ona jak zwykle postąpiła tak, jak należało. A może Amelia powinna wiedzieć, co się wówczas wydarzyło?

Rok 1999

Julia, bo tak miała na imię ta dziewczyna ze zdjęcia, zadzwoniła do niego tydzień później.

— Czy coś sobie przypomniałaś? — zapytał podenerwowany Maciej.

— Nie. Przykro mi. Oprócz tego, co mówiłam detektywowi, nic.

— Aha... — westchnął.

— Wie pan, ona też była mi kiedyś bliska i tak pomyślałam, że może...

— Co może?

— Może zechciałby pan spotkać się ze mną i porozmawiać? Może będzie panu łatwiej to wszystko znieść?

Maciej zastanawiał się przez chwilę. W domu miał zrozpaczoną żonę, która tylko płakała albo wieszała na nim psy...

— A wiesz, że to wcale nie jest głupi pomysł.

Spotkał się z Julią i rozmawiali o Amelii. Po tygodniu spotkali się ponownie. Po kilku dniach znowu. Za każdym razem coraz rzadziej poruszali temat jego zaginionej córki. Julia pytała go o pracę, opowiadał jej o klientach. Spacerowali. Maciej zaczął się uśmiechać. Młoda dziewczyna była wpatrzona w niego jak w obrazek.

To Maciej przekreślił ich małżeństwo. Zakochał się w Julii jak jakiś małolat. Sypiał z nią.

Zdradzał żonę z premedytacją w ich małżeńskim łóżku. Nie obchodziło go, czy Jadwiga się o tym dowie, czy nie. W końcu ich nakryła. On złożył

pozew rozwodowy, a ona zgodziła się na podział majątku.

— Masz drugą rodzinę? — zapytała Amelia.

— Rozwiodłem się.

Maciej rozstał się z Julią kilka tygodni po rozwodzie z Jadwigą, ale do niej wrócił. Nie z miłości, ale dlatego, że potrzebował drugiego człowieka. Potrzebował młodej kobiety. Julia urodziła mu syna.

— Ooo... Czyli mam brata? — Amelia nie kryła zaskoczenia.

— Tak. Zgłupiałem dla tej kobiety, ale mogę teraz przyznać, że nie było warto.

— Dużo rzeczy w życiu nie warto.

— Możliwe.

— Jak miała na imię twoja żona?

Maciek chrząknął.

— Julia.

Rozdział 37

Kochał ją. Ona kochała jego, ale coś się popsulo. Poszło nie tylko o dzieci. Podobał jej się styl życia, jaki prowadziła. Lubiła swoją pracę, imprezy, drogie wakacje. Mogła sobie na dużo pozwolić. Kiedy więc Marek wyjeżdżał w Bieszczady, nie oponowała.

Dopiero po latach separacji zdała sobie sprawę z tego, co straciła. Przyjechała tutaj, by się pojednać, ale wreszcie się zorientowała, że nie ma czego ratować.

Marek był zawsze taki czuły, kochany, romantyczny. Przeważnie mężczyźni ukrywają swoje uczucia, ale on się ich nie wstydził, był nawet wylewny. Całował ją, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Na środku chodnika, w parku, na koncercie. W dniu trzydziestych urodzin kupił

trzydzieści koszy róż, trzydzieści świeczek paliło się w ich mieszkaniu, a pod sufitem fruwało trzydzieści balonów. Nie doceniła tego. Pomyślała wtedy, że kwiaty zwiędną, a świeca może się przewrócić i wypalić dziurę w dywanie.

A teraz Marek jest już zakochany w innej kobiecie. Przygryzła wargę i poczuła pieczenie w okolicach mostka. Miała ochotę się rozplakać.

Dwa miesiące temu dowiedziała się o swojej chorobie. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, brzmiała: „Zadzwońię do Marka”. A potem stwierdziła, że najpierw musi się z tą chorobą poukładać, chwycić ją za rogi. Poboksować. Oczywiście, że była zła. Bardzo zła. Żal do losu przyszedł potem. Bo przecież dobrze się odżywiała, biegała. Stresu w życiu też wcale nie miała tak dużo. A jednak ją dopadło.

Weszła do „Cynamonowych Serc”. Usiadła przy pierwszym wolnym stoliku.

Dziewczyna, która stała za ladą, wyglądała na bardzo młodą. Ile mogła mieć lat? Szesnaście? Na pewno więcej, skoro została tu zatrudniona. Chyba że była tylko na praktykach...?

— Co mogę podać? — zapytała uprzejmie młoda kelnerka.

— Czarną kawę?

— Cukier? Śmietanka?

— Nie, dziękuję. — Patrycja była zdania, że cukier, śmietanka czy mleko psują smak napoju.

Niespiesznie sączyła kawę, patrząc na toczące się za oknem życie. Jakaś para nie mogła oderwać od siebie rąk. Starszy pan przeszedł, kuśtykając, na drugą stronę ulicy. Wyjął z kieszeni bułkę i zaczął karmić gołębie. Szarobury kotek biegał za unoszącym się w powietrzu piórkiem.

„Zdumiewające” — pomyślała Patrycja. Wszystko ją tutaj zachwycało. Życie toczyło się swoim własnym torem.

Amelia była zrozpaczona. Córki już spały, a ona sięgnęła po butelkę wódki. Zrobiła sobie drinka ze znaczną przewagą alkoholu. Potem następnego i kolejnego.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. Północ. Otworzyła bez zastanowienia.

— A gdyby to był morderca? — zapytał Marek, który stał na progu.

— Sądzisz, że mordercy pukają do drzwi?

— Znajomi mordercy chyba tak.

Amelia uśmiechnęła się.

— Wejdiesz?

— Po to przyszedłem, żeby wejść.

Przeszli do kuchni. Ona usiadła na stołku. Marek spojrzał na butelkę

wódki. Podążyła za jego wzrokiem.

— Musiałam.

— Jak mus, to mus.

— Nalać ci?

Pokręcił głową.

— Ty też nie powinnaś tyle pić.

— Powinnam, nie powinnam. — Kobieta wzruszyła ramionami.

— Co się stało? — zapytał z troską w głosie Marek.

— Mama mi zmarła. Zapomniałeś? — fuknęła na niego.

— Nie, nie zapomniałem... ale to nie to.

— Nie mogę się z tym wszystkim uporać.

— Z czym?

— Ze sobą. Ze swoimi wspomnieniami. Pamiętam mamę jako kochaną kobietę. To było wtedy, zanim wpadła w wir pracy, zanim rzuciła posadę nauczycielki. Była ciepłą matką, troskliwą. Spędzała ze mną dużo czasu. Czytała mi do snu książeczki. Kładła się obok mnie i tuliła do snu. Zaplatała warkocze. Piekłyśmy razem ciasteczka. Pracowała w tej samej szkole, w której i ja się uczyłam. Była przy mnie.

W tym miejscu przerwała zaskoczona, jak łatwo przychodzi jej

zwierzanie się.

— Pamiętam, że powtarzała, że jestem jej wymarzoną córeczką, tym, co najlepszego dostała od losu.

Marek dotknął jej ramienia.

— Pięknie o tobie mówiła.

— Najgorsze jest to, że teraz tak ją pamiętam. Pamiętam tylko te dobre momenty. Ale przed moją ucieczką z domu były przecież też te złe. I wkurza mnie to. Kiedy miałam trzynaście lat, mama z tatą otworzyli własną firmę i skupili się na niej. Pamiętam, jak dostałam pierwszy raz okresu i zadzwoniłam do mamy do biura, a sekretarka powiedziała, że mama nie może podejść, bo ma ważne spotkanie. Skamlałam, że to pilne, że muszę z nią porozmawiać. W końcu mama wyszła ze spotkania. Była poirytowana. I powiedziała mi, że okres to nie koniec świata, że stałam się kobietą. To tyle. — Łzy napłynęły jej do oczu. — Nie jedliśmy wspólnych posiłków, a jeśli już, to każdy był zajęty swoimi sprawami. Rodzice pracowali od świtu do nocy. Zapominali o ważnych datach. Raz nawet o moich urodzinach. Nie byłam dla nich ważna, a przynajmniej tak czułam. — Dwa strumienie płynęły jej po policzkach. Czuła, że za chwilę może stracić nad sobą panowanie. Jej głos drżał.

— Pani Jadwiga cię kochała — powiedział Marek. Otworzył ramiona i objął Amelię.

Gładził ją po plecach, dopóki się nie uspokoiła. A potem podał jej chusteczkę.

Wytarła nos i policzki. Marek nie wypuszczał jej z objęć. Uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały.

Musnął wargami jej policzek, nie odrywając od niej wzroku. Skinęła głową. Pocałował ją, a ona oddała pocałunek w przypiływie rozpaczy i złości. Chciała tego. Pragnęła wsparcia drugiego człowieka.

Dłonie Marka wsunęły się pod jej bluzkę. Na jej skórze pojawiła się gęsia skórka.

Przymknęła oczy.

— Nie powinniśmy tego robić — mruknęła.

— A to niby dlaczego?

— Choćby dlatego, że wciąż jesteś żonaty.

— Rozwodzę się. To już postanowione.

Czubkiem języka dotykał jej warg. Podobało jej się.

— Nie mogę. — Nagle odsunęła się od niego.

— Dlaczego?

— Póki jesteś mężem innej kobiety... Nie mogę. Boję się tej pustki, która nastanie już po, tej wyrwy w sercu. Kiedy ona stąd wyjedzie, kiedy faktycznie się rozwiedziesz....

Wzruszyła ramionami.

— Rozumiem.

Patrycja siedziała na krześle w ogrodzie. Marek przestraszył się, kiedy się odezwała, bo w pierwszej chwili jej nie zauważył.

— Powiesz mi wreszcie, kim ona dla ciebie jest?

— Kto?

— Ta, do której co chwilę jeździsz?

— Amelii zmarła mama — przypomniał z naciskiem.

— Wiem. Przykro mi. Ale dlaczego akurat ty się w to wszystko tak bardzo angażujesz?

— Bo ją kocham — wyrwało się Markowi. A może chciał o tym powiedzieć Patrycji już tego dnia, kiedy się tutaj pojawiła?

Żona westchnęła. Na pewno bolało, ale brzmiało to tak, jakby odczuła ulgę. Jakby kamień spadł jej z serca.

— Kochasz ją, tak? Od dawna to wszystko trwa?

— Od kilku tygodni. To świeża znajomość, ale intensywna. — Marek ukucnął

naprzeciwko niej. — Nie chcę cię ranić.

Patrycja ukryła twarz w dłoniach. Mężczyzna położył rękę na jej plecach.

— Przepraszam... przepraszam.

Patrycja przypomniała sobie nagle ich pierwszy pocałunek. Uczucie, które sprawiło, że miała ochotę odfrunąć wraz z tymi motylami, które fruwały w jej brzuchu.

Marek nigdy nie pocałuje jej tak jak wtedy, bo nie są już sobie bliscy. A nawet jeśli ją pocałował, to ona nie odczuje już tych emocji. Inaczej smakuje pocałunek kochanka, a inaczej męża. Małżeństwo, codzienność skradły część tej ekscytacji towarzyszącej początkom związku.

Marek spojrział na nią ze smutkiem.

— Patrycja... Ja nie chcę cię zranić.

Kobieta spojrzała na męża ze smutkiem w oczach. Może i nie chciał, ale i tak ją ranił.

Rozdział 38

Przemek pojawi się w Złotkowie po tygodniu. Zapukał do drzwi „Różanego Pensjonatu”.

Widząc go na progu, Miśka szeroko otworzyła oczy.

— Przemek? Co ty tu robisz?

— Przyjechałem. — Poprawił szelkę plecaka.

— Nie mam wolnych pokoi.

— Możemy spać razem.

— No wiesz! — Michalina poprawiła włosy.

— Albo prześpię się u Bartka, na podłodze, jeśli on się oczywiście zgodzi. A teraz...

mogę wejść?

— Tak, naturalnie. — Odsunęła się na bok.

Poszedł za nią do kuchni, gdzie na talerzu leżało pokrojone ciasto.

— Z samego rana byłam już w „Cynamonowych Sercach” — powiedziała Miśka, nakładając na talerzyk dwa kawałki. Koniecznie chciała czymś zagłuszyć ciszę, która między nimi zapadła.

— Wygląda i pachnie cudnie. Jak zwykle.

Usiedli przy stole.

— Fajnie, że przez ten tydzień do mnie zadzwoniłaś. — Przemek spojrzał jej w oczy.

— Chciałam. — Michalina spuściła wzrok. — Naprawdę chciałam...

— Ale co?

— Mam tyle roboty.

— Rozumiem. Miśka. — Przemek chwycił jej dłoń. — Czy ty go jeszcze kochasz?

— To już przebrzmiała historia.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Michalina chciała mu wytłumaczyć, co czuje do Artura, lecz było to zbyt skomplikowane i niezrozumiałe dla niej samej.

— Targają mną różne emocje. Czasem go nie znoszę, czasem za nim tęsknię. — Starannie dobierała słowa.

Twarz Przemka spochmurniała.

— No dobrze. — Położył obie ręce na stole. — A teraz powiedz szczerze. Czy znajdzie się w twoim życiu miejsce również dla mnie?

Miśka długo nie odpowiadała. Oglądała swoje paznokcie, potem stukała palcami o blat stołu.

— To chyba nie jest jakieś skomplikowane pytanie? — ponaglił ją.

— Nie. Nie jest. Lubię cię. I chyba znalazłoby się miejsce dla ciebie. — Uśmiechnęła się do niego.

Miała świadomość, że musi rozpocząć nowy rozdział w życiu, że nie może się tak katować.

Przemek wstał od stołu. Ukucnął obok niej. Wplótł palce w jej włosy. Ich usta zetknęły się. Michalina objęła ramionami jego szyję.

Nagle dotarł do nich dziwny dźwięk.

— Ktoś tu jest? — Miśka oderwała się do Przemka. Po chwili wyraźniej usłyszała chichot.

Wstała i podeszła do skrzyni, w której trzymała pościel. Za nią leżały dwa rozciągnięte ciałka.

Odchrząknęła.

— Dzień dobry państwu.

Bartek i Mary Ann wstali.

— Co wy tu robicie?

— Przyszliśmy po ciasto.

— I dlaczego go nie wzięliście? — Miśka zwróciła się do brata.

— Bo kuchnia jest okupowana przez dwoje całujących się ludzi.

Przemek się roześmiał.

— Co fakt, to fakt.

Michalina spojrzała na niego i cała się zaczerwieniła.

— No nic — odezwał się Bartek. — To my weźmiemy po kawałku ciasta, a wy możecie dokończyć, cokolwiek robiliście.

I już ich nie było.

Wiktoria zaczęła spotykać się z Michałem.

— Odwiozłem mamę na pociąg — powiedział jej pewnej środy, kiedy przyjechał do niej pod „Cynamonowe Serca” pani Zofii.

— No i? — zapytała zdziwiona Wiktoria.

— Nie będzie jej kilka dni — wyjaśnił lekko speszony.

— Chcesz mnie do siebie zaprosić? — Dziewczyna już wiedziała, że Michałowi niekiedy trzeba dopomóc.

— No tak... — Zapadła cisza.

Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem.

— Dobrze, przyjdę. Jednak na noc nie zostanę; wiesz, mama.

Michał uśmiechnął się.

— Ale na wieczór i kolację tak?

— Tak. — Nachyliła się w stronę kierowcy i pocałowała go.

Tamtego popołudnia kochali się namiętnie na łóżku w jego pokoju. Powietrze było parne, a ich ciała oblepione potem. Dla niej to był pierwszy raz. Początkowo się denerwowała. O seksie słyszała tylko z opowieści koleżanek, które już dawno miały to za sobą. Ona w tych sprawach była zielona.

Michał był delikatny i czuły. Ale kiedy skończyli, wstał i włożył bokserki, po czym zapalił papierosa. Wiktoria poczuła się dziwnie.

— Coś nie tak? — spytała.

Michał wydmuchał kółko z dymu.

— Boję się — powiedział, a ona faktycznie zobaczyła w jego oczach

strach.

— Ale czego?

— Że cię zranię, że...

— O co chodzi?

— Czy powiedziałaś swojej matce o tym, że się spotykamy?

— Nie. — Obróciła się na brzuch, wpatrując się w jego twarz.

— Dlaczego?

— Czy to ma dla ciebie aż takie znaczenie?

— Sam nie wiem. — Zgasił niedopałek w popielniczce. — Wiesz, co o mnie gadają.

— Nie obchodzi mnie to. Wszystko mi już wyjaśniłeś, a ja ci uwierzyłam. Jestem pewna ciebie i tego, co do mnie czujesz.

Nazajutrz Wiktoria i Amelia segregowały ubrania po Jadwidze.

— Wszystko wywieźmy na PCK.



— Możemy to spakować do tych kartonów na strychu.

— Skąd wiesz, że tam są jakieś pudła?

— Babcia mi powiedziała.

— Niby kiedy?

— Jakiś tydzień przed śmiercią.

Córka trzymała drabinę. Amelia uniosła kwadratową klapę w suficie, po czym podciągnęła się na rękach i weszła do środka. Ręką próbowała po omacku odnaleźć kontakt. W

końcu jej się to udało. Pstryknęła. Strumień światła oświetlił strych.

Pod ścianą stały trzy pudła. Otwierała je po kolei.

— I co? Masz coś? — krzyknęła z dołu Wiktoria.

— Tak. Pamiątki. — Głos Amelii się załamał.

Odnalazła albumy ze zdjęciami. Kilka ubranek, w których zapewne chodziła, kiedy była małą dziewczynką. Swoją ulubioną szmacianą lalkę. A więc mama zabrała to wszystko ze sobą, kiedy wyprowadzała się do tego miasteczka na końcu kraju!

Nigdy nie sądziła, że może odczuwać taki ból.

Tego samego dnia kobiety zjawiły się u notariusza. Dostojny jegomość usiadł za hebanowym biurkiem, a Amelia z Wiktorią i Mary Ann zajęły miejsca po przeciwnej stronie.

— Przykro mi z powodu śmierci pań mamy i babci — zaczął.

— Dziękujemy.

— Pani mama spisała ostatnią wolę. Czy możemy przejść do odczytu?

Skinęły głowami. Notariusz włożył na nos okulary, rozłożył dokumenty i zaczął czytać.

Po standardowych formułkach usłyszały:

— „...Mojej córce Amelii zostawiam dom i wszystkie rzeczy, które posiadały jakkolwiek wartość”.

Amelia nabrała powietrza do płuc. Nie spodziewała się, że matka zdążyła zmienić ostatnią wolę, odkąd się pojednały. Nie sądziła, że kiedykolwiek ją w niej uwzględni po tym, co się stało. Wiktorię, Mary Ann — tak. A nawet jeśli brała to kiedykolwiek pod uwagę...

To co ona zrobi z tą starą chałupą?

— Mamo, zostańmy tu — powiedziała Wiktoria, kiedy wyszły na zewnątrz.

— Ale Mary Ann ma szkołę.

— Tutaj też może chodzić do szkoły. Przecież po polsku mówi nie gorzej od tutejszych dzieciaków.

— A twoja przyszłość? Co cię czeka w Złotkowie?

Wiktoria pomyślała o Michale. Nie wyobrażała już sobie życia bez niego. Była w nim zakochana na zabój.

— Nie widzę się w Anglii. Chcę mieszkać tutaj!

— A ty, Mary Ann, co o tym myślisz? — Amelia zwróciła się do młodszej córki.

— Chciałabym tu zostać.

— Musimy to przemyśleć.

— Tu nie ma się nad czym zastanawiać. Zostańmy!

Michalina stała z Amelią przed kawiarnią. Amelia opowiadała koleżance o przebiegu wizyty u notariusza. Kiedy dziewczyna odwróciła głowę, zauważyła, jak zza rogu wychodzi mężczyzna. Ubrany był w dżinsy i kremową, przewiewną koszulę. Myślała, że tak dzieje się tylko w filmach, ale jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko wkoło niej zniknęło.

Pozostał tylko on. Kiedy jego wzrok zatrzymał się na Michalinie, cały zeszywniał.

— Miśka, co się stało? — Amelia dotknęła jej ramienia.

— To on. Artur.

Kobieta spojrzała w stronę, gdzie stał nieznajomy.

— Bez względu na wszystko, nie zostawiaj mnie z nim — powiedziała przez zaciśnięte zęby Michalina.

— Ale...

— Nie zostawiaj — syknęła.

Amelia skinęła głową. W tej samej chwili Artur podszedł i się z nimi przywitał.

— Cześć. — Michalina zmusiła się, by patrzeć mu w oczy.

W ciągu tego czasu, który minął, odkąd się ostatni raz widzieli, wyobrażała sobie, jak będzie wyglądało ich następne spotkanie. Chciała mu pokazać, że jest szczęśliwa i że nie żywi do niego urazy. Takie rzeczy jak rozstania się zdarzają.

— Co tutaj robisz? — zapytała z wyrzutem w głosie.

— Nie uwierzysz, ale mam zlecenie w Sanoku i pomyślałem... —
Spojrzał na nią.

Uśmiechnął się.

— Co pomyślałeś?

— Że wstąpię do Złotkowa.

— To miłe. Zatem przyjemnego spaceru po mieście.

— Miśka... — Wyciągnął do niej rękę.

Michalina odwróciła się na pięcie. Amelia ruszyła za nią.

— Wszystko w porządku? — zapytała po kilku chwilach.

— Tak. Już mi przeszło.

— Szczerze mówiąc, to nie wyglądasz na taką, której przeszło.

Turyści spacerowali, rozkoszując się słońcem. Zofia również wyszła na spacer. Lubiła patrzeć na radość malującą się na twarzach przechodniów. Latem, kiedy słońce wyglądało zza chmur, ludzie byli pogodniejsi.

Tego dnia miała wolne. Weszła do ogrodu, gdzie zastała wnuczkę wieszającą pranie.

— Przyniosłam wam bułeczki i ciastka z morelami i kremem.

— Dzięki, babciu.

Starsza kobieta usiadła na leżaku i wystawiła twarz do słońca. Michalina przewiesiła przez sznurek poszewkę i przypięła ją spinaczami.

— Widziałam go dzisiaj — powiedziała Zofia.

— Kogo?

— Żarty sobie ze mnie stroisz? Przecież wiesz o kim mówię, bo sama go spotkałaś.

— A skąd o tym wiesz?

— Może i jestem stara, ale wzrok mam dobry.

— Tak, widziałam Artura.

— Odstaw na chwilę pranie i porozmawiamy.

— Babciu! — jęknęła Michalina. — Mam dużo pracy.

— Chciałabym, żebyś zrobiła mi odrosty. — Babcia nachyliła głowę tak, że Michalina zobaczyła siwy pasek włosów na czubku głowy.

— Wieczorem się tym zajmę.

— To dobrze. A odnośnie do Artura... Ten człowiek, po tym, co ci zrobił, nie powinien się tutaj pojawiać i mącić ci w głowie. Przemek jest w porządku. — Zofia odkaszlnęła.

— Jestem już dorosła i potrafię o siebie zadbać.

— To nie znaczy, że przestałam się o ciebie martwić.

Rozdział 39

— Pani Zosieńko, on znów tu jest! — Kaśka wbiegła podekscytowana na zaplecze.

Od tygodnia do „Cynamonowych Serc” przychodził starszy mężczyzna w jasnych spodniach i lnianej koszuli, wsparty na laseczce. Na głowie niekiedy miał słomkowy kapelusz.

Przysiadł przy stoliku na zewnątrz lokalu i patrzył na Zofię rozmarzonym wzrokiem; przynajmniej tak twierdziła Kaśka, która ochrzciła starszego jegomościa Tolibowskim.

— Kto? — Zosia wbiła ostatnie jajko do miski.

— Pani Zosieńko, nie kto, tu trzeba wyjść z ukrycia, bo Tolibowski we własnej osobie pojawił się u nas ponownie. — Podeszła do szefowej. — Ja dokończę, niechże pani wyjdzie do niego.

— A gdzie mi tu jakieś wychodne planujesz? — zachnęła się Zofia. — Jestem już wiekowa i...

— Ja dokończę. Niech pani zdejmie ten czepek, umyje ręce i do dzieła. A w torebce mam szminkę.

— Ty chyba zwariowałaś? — Zośka pogroziła dziewczynie palcem.

— Nie, to on zwariował na pani punkcie.

Zofia umyła ręce. Zdjęła czepek i sięgnęła po szminkę. No, oszalała. Zachichotała do swojego odbicia w lustrze, po czym z wypiętą do przodu pierśią ruszyła w stronę Tolibowskiego.

— Dzień dobry, co dla pana? — zapytała uprzejmie.

— Kawę poproszę. — Skinął głową.

— Będzie kawa. Czy podać panu coś jeszcze? — Zofia czuła się skrępowana. Zaśmiała się w duchu, że minęło ponad pięćdziesiąt lat, odkąd ostatni raz zachowywała się tak w obecności jakiegoś mężczyzny. Ponad pięćdziesiąt lat, od kiedy była na randce.

Mężczyzna niespodziewanie wstał i wyciągnął do niej rękę. Oszołomiona Zofia podała mu swoją, a on złożył na jej dłoni pocałunek.

— Wincenty jestem.

„A więc jednak nie Józef Tolibowski”.

— Zofia.

— Miło mi.

— Mnie również.

— Może zechciałaby pani wybrać się ze mną na spacer? — zapytał, a Zofia pomyślała, że zaraz padnie tutaj trupem. Wszystko do niej wróciło. I to spojrzenie tych oczu, i tamte przeszłe emocje. Wszystko to było tak dawno temu.

— Drogi Wincenty, ja tutaj pracuję.

— Ale chyba nie dwadzieścia cztery godziny na dobę?

— No nie.

— Zatem wieczorny spacer?

— Kończę o dziewiętnastej.

— Będę na panią czekał. Tutaj. W tym oto miejscu.

— No dobrze — odpowiedziała skrępowana Zofia i czmychnęła na zaplecze.

— Kaśka, obsłuż tego pana. Jedna kawa — powiedziała na wydechu.

— Tolibowskiego?

— To nie żaden Tolibowski, ale Wincenty!

— Aha.

— Umówiłam się z nim.

— Serio? — Teraz Kaśka miała oczy jak pięć złotych.

— A co cię to tak dziwi?

— Nie no, w sumie to nic.

Obie wybuchnęły śmiechem.

O osiemnastej trzydzieści Zofia zmieniała swoje robocze ciuchy na sukienkę, na którą zarzuciła lekki sweterek. Kaśka uczesała jej włosy i podkreśliła rzęsy tuszem, a usta jeszcze raz pomalowała szminką.

— Sama nie wiem... — powiedziała Zosia.

— No teraz to go pani chyba nie wystawi?

— No nie. Ale po co mi to wszystko? Spacerów mi się zachciało.

— Niechże już pani nie gdera. Spacer fajna rzecz. Siedzi tutaj pani i miesi te ciasta, zamiast wyjść na świeże powietrze.

Punkt dziewiętnasta Zofia opuściła „Cynamonowe Serca”. Wincenty już na nią czekał.

Skłonił się, a jej zachciało się śmiać. Ostatkiem sił się powstrzymała.

Ruszyli przed siebie.

— Myślałem, że nie przyjdiesz. — Podał jej ramię.

— Powiem ci szczerze: wahałam się.

Szli kawałek w milczeniu.

— Najchętniej gdzieś bym przycupnęła — powiedziała Zosia. — Po całym dniu pracy nogi mnie już bołą.

— Rozumiem. — Znów skłonił się w pas, a jej kolejny raz zebrało się na śmiech. — Możemy gdzieś przycupnąć.

Usiedli na pobliskiej ławce. Był dość ciepły wieczór.

— Dlaczego się ze mną umówiłeś? — zapytała bez ogródek.

— To dość śmiałe pytanie. — Wincenty pogładził się po zaroście.

— Mam siedemdziesiąt trzy lata, więc chyba wypada je zadawać.

— Ja mam siedemdziesiąt siedem i lubię odpowiadać.

Zaśmiali się.

— Bo wspomnienia wróciły.

— Od razu mnie poznałeś?

— Od razu. Nawet przez chwilę się nie zastanawiałem, czy to ty, czy nie ty. Od pierwszej chwili wiedziałem, że to moja Zosia.

— Skąd przypuszczenie, że nie mam męża?

— Wiesz... Ekspedientka ze sklepu wielobranżowego.

Znów się roześmiali.

— I powiem ci, że sama zasugerowała, żebym cię gdzieś zaprosił.

— Czyli nie to, że odnalazłeś mnie po kilkudziesięciu latach. Myślałem, że specjalnie przyjechałeś na poszukiwania.

— Niezupełnie. Chociaż... — Wincenty się zamyślił. — Kilka tygodni temu spotkałem nad strumykiem pewną młodą kobietę i opowiedziałem jej o nas.

— Ale chyba nie podałeś jej moich personaliów? Wiesz, tutaj każdy każdego zna.

— Nie, no co ty.

Milczeli przez chwilę.

— A ty? Poznałaś mnie?

— Nie, na początku nie. Chociaż w twoich oczach było coś znajomego. Ale kiedy cię obsługiwałam, wtedy wszystko do mnie wróciło.

— To miłe.

— Nie było miłe, kiedy mnie zostawiłeś.

Atmosfera na moment zgęstniała.

— Zosieńko. — Wincenty dotknął jej ręki. — Byłem głupi.

— Jestem wdową — zaczęła Zofia. — Mam dwoje wnucząt, cudne dzieciaki. No, o Miśce nie powinnam tak mówić, bo to już kobieta, ale dla mnie jest jak dzieciak.

— A dzieci?

— Miałam córkę. Zmarła na raka.

— Przykro mi... — Wincenty odruchowo gładził palcem dłoń Zofii.

— A ty?

— Dwójka dzieci, jeden wnuczek. Urodził mi się pół roku temu. Już zwątpiłem, że będę dziadkiem, a tu taka niespodzianka.

— To cudownie! Gratuluję.

— Dziękuję. Mam tyle szczęścia... A jednak czuję się samotny. Rozwiedliśmy się z żoną ponad dwadzieścia lat temu. Dzieci mają swoje życie... A ja... Chciałbym z kimś czasami pogadać wieczorem, pośmiać się. Pójść na spacer.

— Gdzie teraz mieszkasz?

— W Sanoku.

— Niezwykłe. Dzieli nas jedynie dwadzieścia pięć kilometrów.

— Czyli niedużo. Szukam przyjaciółki. To znaczy... źle to ująłem. —
Był trochę zakłopotany. — Nie szukałem, dopóki nie zobaczyłem ciebie.

— Wcześniej się o mnie nasłuchałeś w sklepie.

— Co prawda, to prawda. I co teraz będzie?

— Wszystko przed nami... Wszystko przed nami...

Rozdział 40

Kiedy Marek wrócił do domu z leśniczówki, nie zastał w nim Patrycji. W pierwszej chwili pomyślał, że może poszła się przejść, ale kiedy otworzył drzwi sypialni, zobaczył, że jej rzeczy zniknęły.

Poczuł ulgę. Podeszedł do starannie zasłanego łóżka, na którym zobaczył zaadresowaną do niego kopertę. Rozerwał ją i wyciągnął na pół złożoną kartkę.

Marku,

*czuję się jak piąte koło u wozu. (Nie zaprzeczaj, wiem, że tak jest).
Wyjeżdżam. Trzeba złożyć w sądzie papiery rozwodowe, tak będzie
najprościej.*

Patrycja

Zadzwoiła do Amelii. Numer kilka dni wcześniej spisała z telefonu Marka. Poprosiła ją o spotkanie. Kobieta niechętnie, ale się zgodziła.

— Wiem, że mój mąż jest w tobie zakochany — zaczęła Patrycja, kiedy szły w stronę parku. Ciągnęła za sobą walizkę.

Amelia pokręciła głową. Nie chciała wyrządzać przykrości tej kobiecie.

— Nie zaprzeczaj.

— Mówisz to tak spokojnie.

— Bo to rozumiem. Oczywiście, że na początku byłam zła. To normalne. Ale to ja zaprzepąciłam swoją szansę na szczęśliwy związek. Nie mam żalu do Marka, że cię pokochał.

Miał do tego prawo.

Milczały przez chwilę.

— Jestem naprawdę zaskoczona twoją reakcją. Zazwyczaj żony nie cierpią partnerek czy kochanek swoich mężów.

— Na początku i ja najchętniej utopiłabym cię w łyżce wody.

Zaśmiały się, choć obie były skrepowane.

— Tak jak już wspominałam, miałam swoją szansę, ale jej nie wykorzystałam. Nie winię cię. Bądź z nim szczęśliwa. Tylko... — Patrycja przystanąła. Amelia również się zatrzymała. — Miałam ci o tym nie mówić, ale...

— Powiedz, skoro już zaczęłaś.

Żona Marka zrobiła głęboki wdech.

— Jestem chora. Nieuleczalnie chora. Dlatego tu przyjechałam. Mam

tylko jego...

Zrozum...

Amelia na chwilę straciła oddech. Usiadły na ławce. Serce Amelii zaczęło bić dużo szybciej.

Marek zadzwonił do Patrycji, kiedy ta stała na peronie.

— Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś? — zapytał tym swoim spokojnym, ciepłym głosem. W jednej chwili zapragnęła, by był tutaj przy niej, by ją przytulił.

— Bo jesteś zakochany w innej kobiecie.

— Wciąż jestem twoim mężem. Ślubowałem ci...

Patrycja wiedziała, jakim honorowym człowiekiem był Marek. Jakim dobrym i pełnym empatii.

— Amelia ci powiedziała?

— Tak.

Patrycja natychmiast poczuła jeszcze większą sympatię do tej kobiety. Mogła mu przecież nic nie mówić. Zachować sekret i być szczęśliwa z jej mężem.

— Czego to rak? — zapytał bez ogródek Marek.

— Piersi. Muszę się poddać mastektomii.

Słyszała, że Marek westchnął.

— To zrobisz to. Jeśli chcesz żyć, to zrobisz to.

— Moja kobiecość...

— Jesteś i będziesz kobietą. To nie jest rozmowa na telefon. Gdzie jesteś?

— Na stacji.

— Nie wsiadaj do tego pociągu.

— Bo?

— Nie wsiadaj.

I dopiero teraz mogła mu wszystko powiedzieć. Prawdę. Była mu to winna. Miał prawo wiedzieć.

Nie chciała wprowadzać chaosu w jego życie, ale pragnęła, by był przy niej. W gruncie rzeczy nie chciała go stracić, ale odzyskać. Tak gorąco pragnęła mieć u boku drugiego człowieka.

A tym człowiekiem był jej mąż. Tylko on.

— Masz gościa — powiedziała do Michała mama, kiedy ten wszedł do domu.

— Kto to? — zapytał zdziwiony.

— Jakaś dziewczyna.

Michał spiorunował matkę wzrokiem.

— Nie powinnaś nikogo wpuszczać do domu pod moją nieobecność.

Matka wzruszyła ramionami.

— Podałam jej herbatę.

Michał przeszedł wąskim korytarzem i otworzył drzwi do pokoju. Panował w nim bałagan. Od roku temperował matkę, żeby po nim nie sprzątała. Był prawie trzydziestoletnim facetem, a nie jakimś siusimajtkiem. Łóżko było niezasłane. Na stoliku leżały magazyny wnętrzarskie, a na krześle obok stolika siedziała długonoga piękność. Miała na sobie obcisły czerwony top i opięte dżinsowe rurki. Żaneta.

Westchnął ciężko. Kiedyś go fascynowała, ale był to pociąg czysto fizyczny.

— Co tu robisz? — zapytał zdenerwowany.

— Tęsknię — odpowiedziała z nutą melancholii w głosie.

Michał nie miał ochoty na pogawędki, szczególnie z nią.

Żanetę poznał podczas jednej z wypraw do Sanoka cztery lata temu. Został w mieście na cały weekend. Poszedł do pubu, ona tam była z koleżankami. Nie miał ochoty na żadne flirty. To ona go poderwała. Wypili kilka drinków, a potem kochali się namiętnie w pokoju, który wynajmowała. Kilka, może kilkanaście razy, kiedy był w Sanoku, zatrzymywał się u niej, ale nie nazwałby tej znajomości żadnym związkiem, mimo że trwało to prawie dwa lata.

Wtedy, tego feralnego dnia, kiedy ojczym się zabił, zabrał ją do siebie.

Miał w zanadrzu kilka godzin. Matki nie było, a Józef miał pracować u kolegi na budowie. Oj, jaki był głupi, że ją tutaj przywiózł! Niepotrzebnie pokazywał jej, gdzie mieszka. Teraz najchętniej wystawiłby dziewczynę za drzwi.

— Co tu robisz?

— Nie domyślasz się? — zapytała, a jej oczy zwęziły się w szparki.

— Nie.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Pytałam, czy rozstajemy się przez inną kobietę? Ty odpowiedziałeś, że nie.

— Bo nie — irytowała go ta rozmowa. Nie musiał się przed nikim tłumaczyć.

— A mnie się wydaje, że jednak tak. Mam znajomych w Złotkowie i ktoś was widział.

Ciebie i jakąś dziewczynę.

— Boże... — jęknął. — Spotykam się z nią od niedawna. A odkąd między nami już nic... Minęło sporo czasu.

— Taaak? — Uśmiechnęła się. — Czy ona wie, że dwa tygodnie temu byłeś w Sanoku i się ze mną spotkałeś?

— Posłuchaj! — Michał walnął ręką w stół. — To ty przylazłaś za mną do pubu. Do niczego między nami nie doszło. Namawiałaś mnie na seks, ja odmówiłem. Między nami wszystko skończone. Wyjdz.

— Moje słowo przeciwko twojemu.

— Wyjdź!

— Proszę cię... — Żaneta podniosła się i dotknęła jego ramienia.

— Przestań się upokarzać. Jesteś piękną dziewczyną. Jest wielu mężczyzn...

— Ale ja chcę ciebie.

Wyciągnęła w jego stronę ręce, ale ją odtrącił.

— Odprowadzę cię do drzwi.

Dziewczyna zalała się łzami.

— Jeszcze tego pożałujesz! — rzuciła wściekle przez zaciśnięte zęby, kiedy po prostu ją wyprosił.

Tego samego dnia Żaneta Mikołajczyk zjawiła się w komisariacie policji.

— Dwa lata temu złożyłam zeznania. Były fałszywe.

Znudzony funkcjonariusz podniósł na nią wzrok.

— Czy wie pani, co grozi za składanie fałszywych zeznań?

Artur od paru dni był w Sanoku. Kilkakrotnie odwiedził też Złotkowo, ale tylko raz udało mu się spotkać Michalinę, która go spławiła. Nie mógł dłużej tak żyć. Była przecież na wyciągnięcie ręki!

Myślał tylko o tym, aby ją przytulić. Nie umiał się skoncentrować na niczym innym. Było to obsesyjne pragnienie. W końcu zadzwonił do niej i poprosił ją o spotkanie.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — odparła.

— Proszę. Raz. Tylko ten jeden raz.

— Dlaczego?

— Chciałbym... — Tyle rzeczy chciał. — Po prostu się ze mną spotkaj.

— Przyjedź jutro po południu. Będę na ciebie czekać.

Stała w progu uśmiechnięta, słońce oświetlało jej karmelową skórę. Artur chciałby zatrzymać tę chwilę na dłużej. Rzucił plecak i podbiegł do niej. Miśka objęła go, a on szeptał jej czułe słowa. Obiecywał jej, że zrobi dla niej wszystko.

— Uda nam się. Obiecuję. — Artur dotknął jej podbródka.

Jego spojrzenie było miękkie i czułe. Miśka zamknęła oczy i wtuliła się mocniej w jego ramiona. Jego ręka dotykała jej dłoni. Czuła chłód wiatru na twarzy i łaskotanie w brzuchu.

— Masz ochotę się czegoś napić? — zapytała.

— Wina.

Siedzieli na tarasie i pili. Artur opowiadał o dzieciach, o nowej pracy, która wiązała się z wyjazdami po Europie. Był szczęśliwy, a Miśka wiedziała, że nie może mu tego szczęścia odebrać. Mimo to postawiła na szczerość.

— Spotykam się z kimś — powiedziała.

Artur zastygł. Krew odpłynęła mu z twarzy.

— Z kim?

— I tak go nie znasz...

— Kochasz go?

— Poznajemy się.

— Poznajecie... — westchnął ciężko.

Odłożył kieliszek wina na blat stołu i uklęknął przed Michaliną.

— Kochasz mnie.

— Artur. — Miśka dotknęła jego policzka. — Tak, kocham cię. Naprawdę cię kocham, ale... kocham też Przemka. Kocham go. Do ciebie czuję pożądanie i całą masę emocji. A z nim wiem, że będziemy budować wspólne życie. Chcę mieć dzieci, ty już swoje masz.

Artur nic nie odpowiedział, bo rzeczywiście nie pragnął mieć więcej dzieci. Nie chciał

nawet brać kolejnego ślubu.

— Spotkamy się kiedyś?

— Może...

— Obiecaj, że się spotkamy. Przyjedziesz do Wrocławia. Taki weekend tylko dla nas.

Napijemy się wina... Zjemy dobrą kolację. Zatańczymy.

— Hmm. — Michalina nachyliła się i pocałowała go delikatnie w usta.

— Kiedyś jeszcze się spotkamy — powiedziała, a on jej uwierzył. Chciał jej wierzyć.

Chciał wierzyć, że jeszcze kiedyś będzie jego. Nieważne, czy będzie mężatką, ile dzieci urodzi.

Ważne, że na kilka chwil cały świat zniknie, a oni będą mieli tylko siebie.

We Wrocławiu bardzo tęsknił za Mišką. Jednak musiał przyznać jej rację; on nie dałby jej tego wszystkiego, czego oczekiwała od mężczyzny. Nie dałby jej stabilizacji, dziecka, spokoju ducha. Nie byłby dla niej wsparciem.

Tęsknota jest jak przewlekła, nieuleczalna choroba. Nie ma na nią lekarstwa.

— Idź już. — Miśka wstała z krzesła.

— Dlaczego?

— Przemek z Bartkiem zaraz tu będą. Nie chcę, żeby cię zobaczyli.

— Skoro tego sobie życzysz...

— Tak będzie lepiej.

Kilka godzin później Artur ponownie zjawił się pod pensjonatem. Stał za drzewem i popijał alkohol z piersiówki. Dwoje młodych ludzi siedziało w ogródku.

Mężczyzna patrzył na Michalinę, która śmiała się głośno do tego swojego amanta. „Co za goguś” — pomyślał Artur ze złością. Zakręcił korek. Włożył piersiówkę do kieszeni i ruszył w stronę jej domu.

— Cześć. — Stanął naprzeciwko młodych.

Michalina zamarła. Przemek spojrzał najpierw na nią, a potem na Artura.

— Cześć — odpowiedziała po chwili milczenia Michalina. — Co ty tu robisz?

— Przyjechałem w odwiedziny. Chyba pamiętasz?

— Tak bez zapowiedzi? — Michalina improwizowała. W środku gotowała się ze złości.

— A gdybym się zapowiedział, oczekiwałabyś mnie?

Odchrząknęła.

— Przepraszam, nie przedstawiłem się. — Artur zwrócił się do jej towarzysza. — Artur jestem.

— Przemek. — Młody mężczyzna wyciągnął do Artura rękę. Ten spojrzał na nią z nieukrywaną niechęcią. Po chwili jednak mocno ją uścisnął.

— Michalina mi o panu opowiadała. — Przemek starał się przerwać niezręczną ciszę.

Artur wlepił w nią spojrzenie.

— Doprawdy? A to ciekawe... A co panu opowiadała?

— Że kiedyś się spotykaliście.

— Człowieku... — Artur w końcu odwrócił wzrok od Miśki i spojrzał na Przemka. — To nie było ot, takie sobie spotkanie. To były namiętność i pożądanie.

— Przestań! — syknęła Miśka.

— Co: „przestań”?! A nie było tak? Było! Kochaliśmy się baaardzo często. — Artur chciał dopiec temu palantowi. Nienawidził go z całego serca.

— Chyba lepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz — zauważyła Michalina.

— Nie mam zamiaru nigdzie wychodzić. Jak już mówiłem, przyjechałem w odwiedziny.

Wstała z krzesła.

— Przepraszam, porozmawiam z nim na osobności — zwróciła się do Przemka i chwyciła Artura za ramię, mocno wbijając paznokcie w jego skórę. Nawet nie syknął.

— Gdybyś mnie potrzebowała... — odezwał się Przemek.

— Spokojnie, chłopczyku, przecież jej nie skrzywdzę. — Rzucił przez zaciśnięte zęby Artur. — Jak mógłbym skrzywdzić kogoś, kogo kocham?

Odeszli w głąb ogrodu. Michalina ścisnęła go za rękę jeszcze mocniej.

— Przyjechałeś robić mi sceny? — zapytała poirytowana.

Mężczyzna nic nie odpowiedział.

— Powiesz mi, czego, u licha, ode mnie chcesz? Jesteś jak pies ogrodnika, sam nie zjesz i drugiemu nie dasz. — Michalina była tak zdenerwowana, że trzęsły jej się ręce.

— Kochasz go?

— Tak. — Popatrzyła mu w oczy. — Już ci to mówiłam. Ciebie też.

— Chcesz, żebym odszedł?

Michalina przełknęła gorzką ślinę, która zebrała się jej w ustach.

— Odejdź.

To były sekundy. Kiedy się zorientowała, Artura już przy niej nie było. Usłyszała jakieś trzaski, więc pobiegła w kierunku odgłosów. Artur siedział okrakiem na Przemku i walił go na oślep. Spróbowała przerwać to szaleństwo.

— Dość! — krzyknęła.

Artur odwrócił się w stronę ukochanej, a Przemek wykorzystał jego

nieuwagę: zrzucił go z siebie i teraz to on zaczął go okładać.

— Dość! — krzyczała Miśka.

Przerwali.

W tej samej chwili na tarasie zjawili się Zaleśniakowie. Mieli nietęgą miny.

Artur był zziębnięty. Na rękach miał krew. Jedno jego oko było podbite, a warga pęknięta.

Przemek był w trochę lepszym stanie.

— Co tu się dzieje? — zapytała pani Zaleśniak. Wyglądała na przerażoną i zniesmaczoną.

— Pobiliśmy się. — Artur rozciągnął usta w uśmiechu i syknął. Zabolęła go rozcięta warga.

— Co to za miejsce?! — parsknął pan Zaleśniak niczym rozjuszony zwierzę.

— Mówiłam, że to speluna, a nie hotel. — Zaleśniakowa odwróciła się na pięcie i pociągnęła go z powrotem do budynku. Michalinie przemknęło przez głowę, że może po czymś takim wreszcie się wyprowadzą, bo mimo ciągłych narzekań sukcesywnie przedłużali pobyt, ale była tak wściekła, że nawet ta myśl nie mogła poprawić jej humoru. Spojrzała na krajobraz bo bitwie.

— No, powiem ci, że twój goguś nie umie się bić — zwrócił się Artur do Michaliny.

Dźwignął się na łokciu i wstał. Miśka podleciała do Przemka.

— Wszystko w porządku?

Pod okiem mężczyzny wykwitło limo.

— W porządku... — syknął. — W porządku... Przyłożę sobie lodu.

Choć Miśka była bardzo zła, nie mogła pohamować odruchu współczucia. Odbijało się w jej oczach.

Artur się zatoczył.

— Idę.

— Nigdzie w tym stanie nie pójdziesz — powiedział twardym głosem Przemek. — Dzisiaj śpisz tutaj. Trzeba opatrzyć ci wargę i w ogóle twarz. Tak tylko byś turystów straszyl.

Artur był zdziwiony postawą młodego. Spojrzał mu w oczy. Dopiero teraz dostrzegł w nich miłość do Miśki. Obaj mieli ją wypisaną na twarzach. Kochali tę samą kobietę.

— Przykro mi — odezwał się. — Nie chciałem ci przyłożyć, ale mnie sprowokowałaś.

— Jak widzisz, też ci przywaliłem.

Artur roześmiał się i syknął. Z jego wargi poleciała krew.

— Wejźmy do środka — zaproponowała Michalina.

Przemek poszedł do pokoju na górze, trzymając w ręce worek z lodem.

— Powinniście chyba porozmawiać — zwrócił się do Michaliny.
Kobieta pocałowała go w policzek.

— Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko. — Spojrzała na niego z czułością.

Wyjęła z zamrażalki drugie opakowanie lodu, owinęła je w gazę i przyłożyła do napuchniętego policzka Artura. Milczała. Jej milczenie było o wiele cięższe od wszystkich oskarżeń.

— Powiesz coś? — Artur spojrzał na Miśkę.

Nasączyła wacik spirytusem i przytknęła do jego ust. Jęknął.

— Boli.

— Musi boleć.

— Kocham cię — powiedział, patrząc jej w oczy. — Trudno jest mi pozwolić ci odejść.

Odkąd cię poznałem, nie mogę przestać cię kochać, chociaż się starałem.

Michalina starała się patrzeć na zakrwawiony gazik.

— Często zadaję sobie pytanie, co by było, gdybyś tutaj zamieszkał.
Gdybyś zdecydował

się przeprowadzić. Często też myślę, że gdybyś mnie kochał, to tak byś zrobił... — westchnęła.

— Ale skoro ja nie jestem w stanie porzucić Złotkowa, tobie pewnie trudno jest porzucić Wrocław, dzieci... Spotkaliśmy się na rozdrożu, na chwilę, i było cudownie. — Podeszła do niego i z czułością pogłaskała jego policzek. — Ale jakoś nam nie wyszło... Musisz pozwolić mi odejść.

Powiem ci coś... — dodała po chwili. — Boję się. Naprawdę się boję, że jeśli teraz wyjdiesz, to stracę cię na zawsze. I mimo to cię o to proszę.

Spojrzała na twarz Artura. Zobaczyła na niej upływ czasu, cierpienie i to coś, co było między nimi. Dotknął jej policzka, a ona nachyliła się w jego stronę. Ich usta na nowo się połączyły.

Przemek, który właśnie miał wejść do kuchni, stanął jak wryty.

Kochał ją. Tak bardzo ją kochał... Ale ona kochała innego. Wiedział, że musi odejść.

Wpadł na górę i zabrał swoje rzeczy.

„To koniec. To koniec!”

Rozpłakał się, po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat.

Michalina miała zrobić test już wczoraj, ale cała ta sytuacja z Arturem zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Dodatkowo państwo Zaleśniakowie w księdze gości zostawili mało pochlebny wpis. Odgrazali się także, że w internecie narobią jej koło pióra i wszędzie będą rozpowiadać, że „Różany Pensjonat” nie spełnia odpowiednich standardów. To wszystko razem wzięte spowodowało, że Michalina zapomniała o spóźniającym się okresie. A

potem... Potem ten 

pocałunek... Uczucia wróciły. Przez chwilę chciała z nim zacząć wszystko od nowa. Tylko przez chwilę, bo przecież był jeszcze Przemek. I to z nim coś zaczęło ją łączyć. To wszystko było tak poplątane! Tyle że...

„Dlaczego nie użyliśmy prezerwatywy?!” — wyrzucała sobie. Dwoje ludzi przed trzydziestką, którzy wiedzą, co to zabezpieczenie. Dwoje idiotów, którzy dali się ponieść chwili.

Michalina zwróciła śniadanie. Nie pomyśleli, bo uznali, że gumka jest

zbędna. A teraz Przemek zniknął, Artur też wyjechał... I co teraz?

Tydzień później Michalina dostała kartkę wyrwaną z jakiejś książki. Z podkreślonym cytatem:

„Z jakichś powodów zmuszają nas, żeby wierzyć, że nie można kochać więcej niż jedną osobę. To bzdura. To kłamstwo. To jest prawdziwy powód wszystkich cierpień. Bo kochać można wiele razy, na kilka sposobów. Kochać można kilka osób, a nawet cały świat...”⁵

⁵ Carla Montero, *Zimowe wiatry na twojej twarzy*, przeł. Wojciech Charchalis, Poznań

2016.

Podziękowania

WAM, DROGIE CZYTELNICZKI I DRODZY CZYTELNICY,
dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję. Bez Was nie wydałabym kolejnych tomów. Bez Was nie byłabym tu, gdzie jestem teraz.

DZIĘKUJĘ!

ZAPRASZAM Was do odwiedzenia mojej strony:
www.gabrielagargas.pl oraz na fanpejdż na Facebooku:
www.facebook.com/gargasgabriela, a także do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Na Instagramie: @gabrielagargasautorka.

Dziękuję też mojej przyjaciółce Uli za to, że mogę na nią zawsze liczyć. Jesteśmy razem od trzydziestu kilku lat, lepszej przyjaciółki nie mogłam sobie wymarzyć.

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi i mojej rodzinie — za ogromne wsparcie, które od Was otrzymuję. Z Wami czasami wariuję, bez Was bym zwariowała. Dziękuję wszystkim, którzy są obok mnie.

Sylwii Hibner za rozmowy, śmiechy do łez i tańcowanie, wiesz gdzie. Justynce Bagnerowskiej — to moja przyjazna duszyczka, z którą uwielbiam rozmawiać i się spotykać. Pić herbatę i kawę, niekiedy wino! Kochana, jak dobrze, że jesteś!

Monice Madejek za każde ciepłe słowo i każdego mejla.

Beacie Owczarczyk, administratorce grupy „Fani powieści Gabrieli

Gargaś”. To ona tam działa i wkleja większość postów, ja jestem z fejssem na bakier — chociaż dzięki Facebookowi poznałam wielu fajnych ludzi. Tak cudownej administratorce nie mogłam sobie wymarzyć.

Joasi Wolf za cudowne grafiki i promowanie mojego dorobku literackiego na fanpejdżu NIEnaczytana (www.facebook.com/NIEnaczytana) i administrowanie grupy: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Justynce z ONA CZYTA za promowanie moich książek w facebookowym świecie.

Kasia Sikorze i Justynce Michalskiej z Kasik Recenzuje — za cudne grafiki, zdjęcia i promowanie moich książek w sieci!

Dziękuję także:

Kasi Stec, Ewie Kiskowiak, Renacie Sokół, Basi Ossolińskiej, Ewelinie Ziomek, Marcie Zając za cudowne spotkania. Tyle słów i ciepłych gestów, tyle emocji. Za każdy drobiazg, każde słowo, każdą recenzję — dziękuję!

Anetce Pimpis. Dziękuję za każdą rozmowę i ciepłe słowo. Za każdą rozmowę o książkach, nie tylko moich.

Eli Drurce i Ewie Borkowskiej za wszystkie wiadomości i kartki, a także listy.

Justynie Rohde, Marcie Szymańskiej, Joasi Jarosz, Kasi Cyprys, Joli Jastrzębskiej, Eleonorze Chojnowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Ewie Sołtysiak i jej kochanej mamci — Pani Danusi, Lidii Szarna, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Zuzi Osieckiej-Godlewskiej, Magdalenie Mazurek, Kasi Naworskiej, Renacie Mik, Agnieszce Kowalskiej, Grażynce Cybulskiej, Anicie Idzikowskiej, Kasi Chabło, Grażynce Wardach, Agacie Legun, Joannie Wierzbickiej, Monice Szydłowskiej, Karolinie Ubych, Monice Płatek, Violetcie Laskowskiej, Ani Kminikowskiej, Ewelinie Stawsińskiej, Natalii Kapeli.

Małgosi Szmyd, Joasi Jarosz, Kamili Buchoskiej, Wandzi Krakowiak — za to, że tak pięknie piszą komentarze na temat moich książek.

Wszystkim moim Dziewczynom z grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Ani Piotrowskiej — za promowanie polskich autorów. I każde ciepłe słowo na temat moich powieści.

Ekipie wydawnictwa Czwarta Strona za wsparcie i promocję moich książek na rynku wydawniczym. I pani redaktor Karolinie Borowiec za ciężką pracę, jaką włożyła w redagowanie tej książki.